



A. DRZEWIŃSKI | A. ZIEMIAŃSKI

NOSTALGIA ZA SŁUWAG SIDE



ZIEMIANSKI ANDRZEJ
Nostalgia za Sluag Side

„Daleko sięga dłoń wielkiego męża Nieraz jam trupem człowieka położył Choć go me oczy nigdy nie widziały ”

„Na dobre i na złe będzie zawsze częścią mojego ja. Na złe, pomyślałem, na pewno na złe. Teraz już wszystko przeminęło, wszystko się skończyło, została pustka bez żadnego znaczenia, ale niestety zostało tylko tyle ”

Alistair MacLean – Siła strachu

Poszarzała, zdeformowana wieloma szramami twarz patrzyła na Ashcrofta błagalnie, kiedy miażdżył ją w dłoni. Taksówkarz chwycił pomięty banknot, szybkim ruchem chowając go do kieszeni.

–Do widzenia – mruknął Ashcroft do własnego odbicia w dzielącej ich szybie.

Wyszedł na chodnik. Ratusz, o ścianach z piaskowca, stał pośrodku rynku.

–Burmistrz już czeka, panie kapitanie – człowiek stojący przed obrotowymi drzwiami zerknął na kołujące gołębie.

Uścisnęli sobie dłonie. Ashcroft nie miał ochoty zastanawiać się, czy ta uwaga ma jakikolwiek związek z jego spóźnieniem. Wejście po schodach nie zajęło im więcej niż minutę.

–Czy chce pan wracać samochodem? – spytał sekretarz, kiedy stanęli przed obitymi skórą drzwiami.

–Nie, pójdę pieszo – Ashcroft nie czekając na zaproszenie nacisnął klamkę. W głębi sekretariatu, obok regału z dokumentami, stał siwy mężczyzna.

–Jesteś nareszcie – stwierdził zasuważąc szafę. – Wchodź...

Ashcroft obszedł biurko maszynistki i zniknął za Malle'em w drzwiach gabinetu.

–Dostaliście kopię pisma z urzędu statystycznego? – spytał burmistrz i obciął cygaro naciskając gilotynkę siłą całego ciała.

–Chcesz?

Ashcroft pokręcił głową i żeby nie było wątpliwości, na które pytanie odpowiada, dodał:

–Przyszła dwa dni temu.

Osunęli się w fotele. Wypełniony słonecznym blaskiem prostokąt okna za Malle'em niemal zmuszał do opuszczenia wzroku. Ashcroft przyłożył dłoń do czoła.

–Stary ma gdzieś wszystkie dane – powiedział. – Zresztą nie muszę mówić...

Bez nacisku z twojej strony papiery pójdą do kosza.

Malle zaciągnął się cygarem.

–Cały Dennis... – mruknął obserwując z zadowoleniem siwe kółko dymu. – A ty co o tym sądzisz?

–Dane nie kłamią – Ashcroft chrząknął i dyskretnie opędził się ręką. – Fakt, że liczba morderstw bez motywu rośnie, znany był już od dawna. Nikt jednak się tym nie przejmował.

Malle przechylając się za siebie pchnął okiennice. Spirale dymu popłynęły w stronę okna.

–Dlaczego?

–Wiesz... – Ashcroft przesunął dłońmi po poręczach. – One aż tak nie odróżniają się od innych. Zawsze można uznać, że jakiś powód był, tylko nie dało się go ustalić.

Malle kiwnął głową i jakby kontynuując ten ruch, ujął leżący na blacie plik kartek.

–Twierdzą – zaczął zbliżając się do światła – że procent morderstw bez motywu od roku idzie u nas gwałtownie w górę. Wychodząc z poziomu dwóch procent wszystkich zabójstw, osiągnął obecnie pułap trzydziestu siedmiu.

Ashcroft przesunął się w fotelu prostując zagięty róg marynarki. Było mu niewygodnie i gorąco.

–Domyślasz się, co Dennis o tym powiedział?

Malle odłożył papiery.

–Domyślam. Coś nie do druku... – ponownie rozjarzył koniec cygara. – Jeszcze dzisiaj zadzwonię do niego. Dostaniesz tę sprawę.

–Dzięki – Ashcroft wyciągnął nogi przed siebie. – Sam nie rozumiem, co mnie do tego ciągnie...

Malle odsłonił w uśmiechu żółte zęby.

–Twój ojciec też by nie wiedział, jesteście tacy sami – strząsnął popiół do stojącej na biurku popielnicy. – Wracając do tej przesyłki... Macie już kogoś w areszcie?

–Co najmniej kilkanaście osób – Ashcroft machnął dłonią. – Na brak roboty nie będę narzekał, trzeba ich raz jeszcze przesłuchać.

Malle trzymał chwilę cygaro między zębami i Ashcroftowi przemknęło przez głowę, że przypomina gangstera z pośledniego filmu.

–Jesteś pewien, że ci ludzie na pewno popełnili morderstwa bez motywu? – spytał ponownie strzepując popiół.

–Chyba tak... zorientuję się, jak tylko dostanę sprawę. Zacznę od tego, który zabił Frances Rutler w pasażu handlowym.

Uśmiechnęli się obydwoj.

–Ile lat ma ten człowiek?

–Starszy, po pięćdziesiątce. Malle gwałtownie zmrużył oczy, lecz nic nie powiedział.
Dopiero wtedy

Ashcroft przypomniał sobie o jego wieku.

–Dennisa najłatwiej złapiesz do południa – powiedział schylając się nad butami.

–Mógłbym wtedy jeszcze dzisiaj zabrać się do pracy.

Ponownie uniósł głowę i dojrzał, jak Malle z uśmiechem wdusza spory jeszcze niedopalek w żłobienia popielnicy.

–Masz rację – powiedział, potem położył dłoń na słuchawce. – W twoim wieku niecierpliwość to zdrowy objaw.

* * *

Vincent Cadogan siedział na pryczy i cierpiał z powodu braku szelek.

–Przeczytał pan zeznania po raz trzeci. Jeden ze świadków jest adwokatem, drugi dziennikarzem. Ludzie o ustalonej reputacji, w pełni władz umysłowych. Więc...? Cadogan odemknął powieki, wciąż oparty o ścianę przesunął teczkę w stronę Ashcrofta.

Miał worki pod oczami.

–Absurd – stwierdził i poprawił spodnie. – To, że szedłem pasażem piętnastego koło czwartej, jest prawdą. To, że usiadłem na chwilę w jednej z tych otoczonych żywopłotem altanek, również jest prawdą. Prawdą jest też, że znalazłem tam martwą

dziewczynę. Ale ja jej nie zabiłem.

–Cadogan! – Ashcroft uniósł się nad siedzącym. – Nie pieprz głupstw!

Widziano, jak trzymałeś ją za gardło.

–Nie trzymałem! – Cadogan niemal pisnął i skoczył w kąt pryczy.

Ashcroft nachylił się i wyprostował go jednym szarpnięciem.

–Myślałeś, że nikt nie usłyszy, jeżeli szybko ściśniesz jej tchawicę? – palce

Ashcrofta zgmiotły coś niewidzialnego. – Jednak ta dwójka ze snack-baru dostrzegła to, mieli okno akurat naprzeciw wnęki. Czytałeś zeznania, czego chcesz więcej?

Cadogan skrzywił się płaczliwie, a potem jednym, nad podziw energicznym ruchem opadł na kolana. Wczepił się palcami w materiał spodni Ashcrofta.

–To nie ja... – rzęził. – Nie ja. Przecież pamiętam, co robiłem. Kiedy tam wszedłem, ona już nie żyła. Zlitujcie się, nie gubcie niewinnego człowieka.

Ashcroft musiał mu odginać palce jeden po drugim.

–Więc co...? – patrzył z odrazą, jak tamten wije się na pryczy. – Oni wszyscy zmówili się...?

Cadogan uniósł ręce ku górze.

–Tak – szepnął. – Tak musiało być, na Boga, tylko tak. Jakże inaczej.

Ashcroft zawiązał teczkę z odpisami zeznań i zastukał w płytę. Nie zważając na mamrotanie aresztowanego wyszedł z celi.

Człowiek spacerujący korytarzem schował do kieszeni białego fartucha jakąś lamigłówkę.

–Nie przyglądał się pan przesłuchaniu? – spytał Ashcroft, potem obrócił głowę w stronę strażnika. – Dalej poradzimy sobie sami – powiedział.

Człowiek w mundurze służb penitencjarnych przyłożył palec do skroni i zawrócił.

–Nie – lekarz przyjrzał się paznokciom. – Spędziłem z nim wiele godzin na testach, wystarczy...

Ashcroft zerknął nieufnie. Na ich widok rozkraczony na krześle, otyły strażnik uniósł kratę dzielącą areszt od części przeznaczoną dla personelu.

–Ten test... – mruknął Ashcroft po chwili. – Nazywa się chyba Rorschacha...? – popatrzył na psychiatrę. Ten wbił ręce w kieszenie fartucha uśmiechając się pod nosem.

–Czytuje pan „Scientific American”... – zakpił, lecz zaraz zmienił ton. – Nie, z metod projekcyjnych stosowałem jedynie Murraya. Za to maglowałem go ze struktury osobowości.

Stanęli przy drzwiach z napisem „Zespół terapeutyczny”. Lekarz wskazał go głową.

–Dobre sobie – przepuścił Ashcrofta przodem. – Zespół diagnostyki i terapii powinien mieć co najmniej sześć osób, a praktycznie jestem sam.

Powiódł wzrokiem po gorzej niż skromnie urządzonej pokoju, jakby podkreślając tragiczność swego położenia. Poza dużą szafą kartoteki, biurkiem oraz jedynym stolikiem pomieszczenie było sterylne puste. Ashcroft podszedł do okna i oparł się o parapet.

–Wracając do rzeczy – lekarz za jego przykładem oparł się o biurko – gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, czy ten człowiek jest normalny, odpowiedziałbym: tak.

Wyjął dłoń z kieszeni i jakby zdziwiony przyjrzał się lamigłówce.

–Co to znaczy normalny? – Ashcroft zerknął przez ramię; na ulicy widać było niewielkie zbiegowisko. – Nie jest mordercą?

Psychiatra wzruszył ramionami.

–Mordowanie to nie choroba. Cadogan jest typem lekko neurastenicznym, ale bez skłonności do gwałtu i przemocy. Tyle tylko chciałem powiedzieć.

Odrzucił pudełko lamigłówek na blat biurka.

–Czytał pan zeznania – Ashcroft położył dłonie za sobą na parapecie. –

Cadogan powtarza w kółko, że jest niewinny...

Lekarz siadł na blacie obejmując szczupłymi palcami kolano.

–To właśnie jest najciekawsze, testy wykazują, że facet faktycznie jest przekonany o swojej niewinności. Może hipnoza albo środki psychomimetyczne...

Ashcroft tym razem dłużej patrzył w dół przez szybę.

–W takim razie na co pan czeka? – powiedział odwracając się gwałtownie. – W naszym stanie ciągle mamy krzesła elektryczne, a to jest znacznie gorsze.

Psychiatra taksował go wzrokiem.

–Lubi pan być błyskotliwy...

–Proszę...? – Ashcroft nachylił się marszcząc brwi.

–Nic, nic – tamten zeskoczył na podłogę. – Na badania tego typu nie zgadza się adwokat.

Kretyn z urzędu. Nie rozumie, że to tylko może pomóc Cadoganowi.

Ashcroft odwrócił się do szyby.

–Przebada pan resztę ludzi, tych z mojej listy?

Psychiatra stanął z tyłu i unosząc się na palcach zerknął w dół ponad jego ramieniem.

–A można wiedzieć za jakie pieniądze? Cadogan zapracował na całą moją pensję, mogę pokazać...

–Nie trzeba. Wycisnę gotówkę dla pana – Ashcroft uniósł podbródek celując w zbiegowisko na chodniku. – Co tam się dzieje?

–Kręcą film – lekarz przytknął czoło do szyby. – Niech pan spojrzy, ten facet zaraz złamie nogę.

Na oświetlony reflektorami fragment jezdni wjechała ciężarówka. Stojący przy krawężniku mężczyzna w białym kapeluszu odrzucił kubek prażonej kukurydzy i dwoma susami znalazł się u jej boku. Źle jednak wymierzył odległość. Mimo że ręce złapały burtę, nogi nie trafiły na zderzak. Wyleciał w powietrze i trzasnął o bruk.

–Cholera – powiedział Ashcroft prostując ciało. Psychiatra położył mu dłoń na ramieniu.

–Spokojnie – uśmiechnął się. – To już dziesiąta nieudana próba. Ashcroft wolno pokiwał głową.

–Ma pecha.

* * *

–Dobre warunki, ciekawa praca, dobre warunki, ciekawa praca, dobre...

–Przestań! – Kelly usiadł na metalowej barierce ograniczającej nasłoneczniony taras, niebezpiecznie balansując nad kilkupiętrową przepaścią.

–Dobre warunki, ciekawa praca. Przyłącz się do armii, a będziemy cię kochać przynajmniej do chwili podpisania kontraktu... – Slayton zajął porzucony wózek inwalidzki i podjechał na sam skraj podestu. – Nie zapomnę tej cholernej ulotki.

–W porządku, ale jeśli nie przestaniesz się powtarzać, nie zapomnisz również moich butów.

–Pan doktor chce mnie kopnąć?

–Tak właśnie będzie, jeśli drugi pan doktor wreszcie się nie zamknie.

Slayton wyciągnął papierosa i zapalił go, osłaniając płomień zwiniętymi dłońmi.

–A co mam robić na tym pustkowiu? – mruknął wypuszczając dym. – Do miasta trzeba jechać ponad godzinę, a ten cholerny ośrodek...

–Masz siedzieć w swoim cholernym pokoju – wpadł mu w słowo Kelly – jeść cholerne posiłki i czytać cholerne gazety. Aż pewnego cholernego dnia wygrasz milion na loterii i wszystko się zmieni.

–Na jakiej loterii? – spytał zaskoczony Slayton.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, potem ryknęli chórem: –
Cholerniej!

Roześmieli się cicho. Padające pionowo promienie słońca nie pozwalały na żadną gwałtowną reakcję, a panująca wokół wręcz namacalna cisza paraliżowała każdy szybszy ruch. Slayton zdjął przeciwsłoneczne okulary i otarł pot z czoła. Potem przyłożył do oczu lornetkę i skierował ją na rząd szarozółtych wzgórz otaczających zespół budynków. W drgającym z gorąca powietrzu jedyną wyraźną rzeczą była artyleryjska podziałka na jednym ze szkieł.

–Słuchaj, Kelly, tam coś się rusza.

–Indianie? Atakują fort?

–To chyba grzechotnik.

–Bzdury, nie zauważyłbyś go z tej odległości. Slayton oparł lornetkę o koło wózka.

–I tak wiem, że tam są tylko węże i pająki. Żadnego człowieka – strzepnął popiół i zsunął przeciwsłoneczne okulary z powrotem na oczy. – Myślę, że...

Przerwał mu szelest rozsuwanych drzwi z przydymionego szkła.

–Przepraszam, czy jest tutaj doktor Kelly?

–Tak.

Sierżant zbliżył się do poręczy. W jasnym świetle słońca widać było doskonale plamy potu na jego koszuli.

–Za chwilę przywiozą rannego z miasta. Jest pan proszony do sali operacyjnej.

–Na którą? Sierżant przestąpił z nogi na nogę.

–A jest tu więcej niż jedna?

–Prawdę mówiąc, nie wiem – Kelly zeskoczył z barierki. – To wy powinniście wiedzieć.

–Tak jest. Proszę iść – sierżant spojrział w kierunku wózka. – Ja zaopiekuję się chorym.

Kelly zniknął za drzwiami dokładnie w momencie, kiedy na horyzoncie ukazał się sunący nisko nad ziemią mały śmigłowiec. Po chwili do tarasu dotarł cichy jeszcze huk silnika. Slayton podniósł lornetkę.

–Zdaje się, że ma emblemat Centrum Studiów Atomowych na burcie.

Chol...eee... Chyba będę potrzebny na dole.

Sierżant oparł ręce na uchwytych inwalidzkiego wózka.

–Czy zawieźć gdzieś pana? Z nagłą wściekłością Slayton rzucił mu lornetkę.

–Jak będę chciał jechać, wezwę taksówkę – warknął zrywając się z siedzenia. Nie patrząc na zaskoczonego sierżanta ruszył w kierunku windy. Kabina

zjawiała się jednak dopiero po dłuższej chwili. Slayton wszedł do środka i zamknął drzwi.

–Parter? – spytał stojącego w kącie mężczyznę. Tamten skinął głową.

–Tak. Ale w windzie nie palimy.

–Toteż palę sam – strzepnął popiół na podłogę. Na dole wrzucił jednak niedopalek do popielniczki i pobiegł w kierunku sali operacyjnej. Przed jej drzwiami stał już pilot śmigłowca i jakaś kobieta klócąca się z pielęgniarką.

–Mogę do środka? – spytał.

Pielęgniarka spiorunowała go wzrokiem.

–Nie widzi pan? – wskazała na jarzącą się nad drzwiami lampę. – Proszę czekać, na pewno pana wezwą.

–Pan jest lekarzem? – odezwała się stojąca obok kobieta.

–Tak. Specjalistą od napromieniowania.

–Kathreen Burns – kobieta wyciągnęła rękę. – Jestem kierownikiem personalnym w Centrum.

–Slayton – powiedział ściskając jej dłoń. – Jestem oczarowany pani urodą.

–Proszę nie żartować. Ten człowiek – ruchem głowy wskazała salę operacyjną – dostał dużą dawkę. W pewnym momencie jego dozymetr uległ zniszczeniu. Zdążył zarejestrować ponad sześćset radów.

–A ile mógł dostać w sumie?

–Nie wiem, może dziewięćset, może tysiąc. To zdanie fachowców, a oni są ostrożni w określaniu dawki

–A pani?

–Myślę, że dostał trochę więcej.

–Ile? Wzruszyła ramionami.

–Trochę więcej niż trochę. Slayton zaklął cicho. Przez chwilę pocierał brodę, potem podszedł do pielęgniarki.

–Proszę wywołać doktora Kelly’ego. Jak najszybciej.

–Ale...

–Natychmiast. Proszę go wyciągnąć za wszelką cenę. Speszona pielęgniarka cofnęła się kilka kroków. Potem, jakby pokonując wewnętrzny opór, wślizgnęła się do środka, zostawiając szeroką szparę w drzwiach. Po chwili ukazał się w niej Kelly trzymając uniesione do góry zakrwawione ręce.

–Mów szybko, czego chcesz. Stary piekli się nad stołem.

–Facet, którego tam obrabiacie, jest gorący. I to bardzo.

–Wiem. I co z tego?

–Muszę się nim zająć. Inaczej umrze.

–Umrze, jeśli go teraz wypuścimy – maska chirurgiczna tłumiała głos Kelly’ego.

–Muszę go dostać!

–Człowieku, nie rozumiesz, co się dzieje? On ma rozległy wylew krwi do mózgu, uszkodzoną wątrobę i perforację jelit. Jedna nerka jest zmiażdżona, a druga wędruje. Przywieziono go praktycznie w stanie agonii.

–Więc kiedy go oddacie?

–Nie wiem, nie mam zielonego pojęcia – Kelly spojrzał na ludzi

zgrupowanych na korytarzu. – No dobrze, powiedz, co możemy zrobić z nim sami.

–Sami? Sami nic nie możecie zrobić!

–No, słucham.

–Natychmiast wyjmijcie z niego wszystkie odłamki, jeśli takie są – Slayton wzruszył ramionami. – Nie wiem, co jeszcze... Wypompujcie mu żołądek, zaraz zaczną się torsje...

–Już się zaczęły – Kelly poprawił maskę i łokciem zatrzaskał drzwi.

Dopiero po dłuższym czasie milczenie przerwała Kathereen Burns.

–Przepraszam – powiedziała cicho. – Czy on ma jakieś szanse? Chodzi mi o pańską dziedzinę.

Slayton zerknął na zegarek.

–Niewielkie – wyjął z kieszeni paczkę papierosów, ale była pusta. –

Powiedziałbym nawet, że raczej teoretyczne. To pani znajomy?

Potrząsnęła głową.

–A czy pan nie powinien się jakoś przygotować? – spytała podsuwając mu paczkę cienkich i potwornie długich pall malli. – Kiedy chirurdzy zwolnią salę...

–Nie, nie muszę – przerwał jej. – Wszystko jest gotowe. Chodźmy stąd.

Ruszyli rzęsiście oświetlonym korytarzem. Pilot rozejrzał się wokół, jakby szukając kogoś, kto mógłby wydać mu rozkaz. Nie znalazłszy nikogo, dopiero teraz zdjął hełm i poszedł za nimi.

Klub o tej porze był zupełnie pusty. Po bezskutecznym dobijaniu się do baru Slayton przyniósł im tylko kawę i kanapki z automatów.

–Może mi pani wyjaśnić, co się właściwie stało? – spytał zaciągając się ohydny w smaku pall malle.

Papieros był tak słaby, że prawie nie czuło się dymu.

–Nie mogę panu wiele powiedzieć – Kathreen po raz pierwszy uśmiechnęła się lekko. – Kiedy wszystko się zaczęło, byłam w pomieszczeniu kontroli przecieków, z dala od reaktora. Słyszałam tylko, jak ktoś krzyknął: „Chiny! Zaraz będziemy w Chinach!” Wtedy zaczęła się panika. Czegoś takiego nigdy nie widziałam.

–Chiny? Czyżby stopił się rdzeń reaktora?

–Ależ skąd. Ktoś po prostu zwariował ze strachu. Zresztą, gdyby gorący rdzeń przepalił kulę ziemską, odczułby pan to tutaj.

–Więc co się stało?

–Poszła jakaś sprężarka – wtrącił pilot. – Słyszałem, jak mówili, że któraś z turbin zsunęła się z łoża i zablokowała wszystkie zawory. Potem była ta eksplozja.

–W gorącej strefie?

–Nie, ale chlapnęło roztworem całkiem niezłe. Kathreen skinęła głową.

–Geigery tak stukwały, że naprawdę przerażona wyskoczyłam na korytarz, a tam... – kobieta nerwowo obracała w dłoni papierowy kubek. – Trudno opisać, co się tam działo. Ludzie uciekali w takim popłochu... Nikt nie przestrzegwał dróg ewakuacyjnych, wybito większość szyb. Podobno Mark, te znaczy kierownik zmiany, został tylko z jednym człowiekiem w pomieszczeniu sterującym.

–Nieprawdopodobne. Ciekawe, co tam się dzieje teraz?

–Chyba nic szczególnego. Kiedy system kontrolny zamroził stos i wyłączył cały układ

energetyczny, sytuacja była właściwie opanowana. Zresztą, co dziwniejsze, ludzie uspokoili się równie szybko.

Slayton powiódł palcem po zatłuszczonej powierzchni plastikowego stołu.

–To chyba bezsensowne uciekać w takiej sytuacji, prawda? Kathreen uśmiechnęła się całkiem wyraźnie.

–Raczej tak.

–Zależy, kogo ma pan na myśli – mruknął pilot. – Ja na swojej maszynie miałbym duże szanse, nawet gdyby miało dojść do eksplozji. Co zresztą podobno jest niemożliwe.

Slayton, którego raczej nie wzruszały cudze sprawy, spokojnie obserwował gości. Obydwoje dopiero teraz zdradzali objawy przebytego szoku. Szczególnie Kathreen z trudem powstrzymywała ziewanie. Patrząc na jej klejące się oczy i opadającą głowę chciał właśnie zaproponować coś mocniejszego, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Kelly.

–Wiedziałem, że cię tu znajdę – ściągnął gumowe rękawice i wrzucił do kosza. – Zbieraj się, teraz twoja kolej.

–Skończyliście?

–Nie. Krótka przerwa, żeby zespół operacyjny mógł otrzymać nowe narzędzia. Ale stary zgodził się, żebyś jednocześnie z nami robił swoje.

Kelly podszedł do wielkiego lustra wiszącego na jednym z filarów i zaczął przyglądać włosy.

–Mam nadzieję, że to jest wykonalne – mruknął Slayton.

–Co masz na myśli?

–Pogodzenie naszych zadań przy jednym stole.

–Też mam taką nadzieję. Czy automat z kawą jest czynny?

–Tak. – Slayton zdusił niedopalek w popielniczce. Wyciągnął chusteczkę i wytarł czoło. – Dobrze chociaż, że facet żyje.

–Tego nie wiem.

–Co?

–Nie wiem, czy facet żyje. Połączone z nim urządzenia zajmują prawie pół piętra, a w tej sytuacji... – Kelly machnął ręką. – Co jest z tą kawą? Moneta nie wchodzi...

* * *

–Ashcroft, leniu! Weź mnie do swojej grupy. Ja też chcę wylegiwać się za biurkiem – Barry ściągnął mokry ręcznik z twarzy mężczyzny leżącego w rozłożonym fotelu.

–To ty, Barry? – Ashcroft przecierał zapuchnięte oczy. – Dobrze, że jesteś. Rany boskie, zrób coś z tą przekłętą klimatyzacją. Jeszcze minuta, a zupełnie się roztopię.

Barry przyłożył rękę do kratki osłaniającej otwór nawiewowy.

–Faktycznie, nie można powiedzieć, że jest tu chłodno. Który się zepsuł?

–Obydwa.

–Oba naraz? W takim razie to zasilanie. Dobra, idź coś zjeść, a za pół godziny wszystko będzie w porządku.

Ashcroft z trudem uniósł się z fotela, chwiejnym krokiem podszedł do szafy i zaczął zmieniać koszulę.

–Aha, byłbym zapomniał – Barry odwrócił się w jego stronę. – Na zewnątrz

czeka jakiś facet. Mówi, że ma z tobą współpracować. Wiesz coś o tym?

–Nic. Pewnie to znowu jakiś pomysł szefa. Powoli gubię się w tym wszystkim.

Ashcroft włożył swój biały kapelusz i sprawdził przed lustrem, czy wygięcie szerokiego randa jest właściwe. Zadowolony przejechał po nim palcami. Potem kiwnął ręką Barry’emu i ruszył w kierunku poczekalni. Minawszy wąski korytarz, zatrzymał się jednak przed oszklonymi drzwiami. Tylko jedno z tanich, wytłaczanych krzeseł było zajęte. Pierwszy rzut oka wystarczył Ashcroftowi, by stwierdzić, że zajmujący je mężczyzna całkiem niedawno musiał przyjechać z któregoś z północnych miast. Świadczyła o tym nienaturalnie biała skóra na twarzy, a raczej na tych jej fragmentach, których nie zasłaniała gęsta, ale dobrze utrzymana broda. Poza tym nie nosił dżinsów,

na nogach miał trampki, a na ramionach, o zgrozo, plastikową koszulę. Ashcroft mógłby się założyć, że obcy nie ma podkoszulka. Uważając, żeby się nie skrzywić, pchnął drzwi i wszedł do środka.

–Podobno miał tu na mnie czekać jakiś zarozumiały jankes, któremu wydaje się, że brudne czarnuchy mogą dorównywać białym ludziom... – Ashcroft z zadowoleniem patrzył, jak brwi tamtego wędrują do góry...

–Wszyscy jankesi – dodał, usiłując mówić z jak najsilniejszym akcentem -przyjeżdżają do naszego bogobojnego stanu tylko po to, żeby uprawiać, tfu... wolną miłość.

Tamten nareszcie się zorientował i poruszył brodą, rozciągając ją w uśmiechu.

–Pan Ashcroft, prawda? – powiedział wstając.

–Mów mi Neal. Przybysz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

–Marty Layne. W skrócie Marty. Wiesz, wyglądasz zupełnie tak, jak wyobrażałem sobie szeryfa z Zachodu.

–Tak? A ja myślałem, że białe kolnierze z Północy nazywają nas wermachtem. Z powodu mundurów.

Layne zmieszal się, nie wiedząc, co powiedzieć.

–Jesteś głodny? Brodacz potwierdził ruchem głowy.

–Oprócz śniadania w samolocie nie jadłem nic od wczoraj.

–W takim razie chodźmy. Zeszli na dół krętymi schodami, Ashcroft waląc niemilosiernie obcasami, a

Layne, jakby nie mogąc pozbyć się nieśmiałości, plaskając cicho trampkami. Przemierzyli sparaliżowaną upałem ulicę i przez wahadłowe drzwi weszli do środka idealnej kopii dziewiętnastowiecznego saloonu. Przyjemny chłód, jaki panował wewnątrz, świadczył, że potomkowie pionierów nie gardzą jednak wszystkimi wynalazkami dwudziestego wieku.

–Co wy tam jadacie na północy? Pewnie hamburgery?

–Mogą być – powiedział odruchowo Layne. – Albo wiesz – dodał, widząc pogardliwy wzrok Ashcrofta – zdam się na ciebie.

Tamten skinął głową.

–Dwa befsztyki, Ann – krzyknął w kierunku bufetu. – Tylko żeby nie były tak spalone, jak ostatnio. Prawdziwy befsztyk musi być mokry.

–Oczywiście, proszę pana.

Zanim zdążyli zająć miejsca przy stoliku, stały już na nim dwie oszronione butelki piwa. Ashcroft ze zdziwieniem obserwował, jak Layne ostrożnie nalewa swoje tak,

by sphywało po ścianie szklanki, żeby nie doprowadzić do utworzenia się piany. Sam dmuchnął mocno w szklankę. Fragmenty piany pokryły spory kawałek podłogi.

–I cóż cię sprowadza w nasze prowincjonalne progi? – spytał.

Layne uniósł głowę.

–Jestem pracownikiem tego urzędu statystycznego, który przysłał policji i burmistrzowi notatki o wzroście liczby zabójstw.

–Rozmawiałeś już z szefem?

–Z komendantem policji? Tak. Skierował mnie do ciebie.

Ashcroft wolno sączył piwo. Gdzieś z ulicy dobiegał stłumiony odgłos pracy młota pneumatycznego. W pewnej chwili kompresor zakrzuszył się i przerwał. Słysząc było przekleństwa obsługi i przeciągły, zajękliwy warkot rozrusznika.

–Czego spodziewasz się po naszej współpracy? Broda Layne'a poruszyła się.

–Tego, co zawsze było treścią mojego zawodu. Zebrania danych.

–Przecież i tak otrzymujecie od nas wszystkie zestawienia.

–Wiesz, to jeszcze zależy od sposobu, w jaki zestawia się dane. Moje kierownictwo uznało, że bardziej oplaca się trzymać na miejscu fachowca od statystyki niż łamać głowę nad, nie obraż się, stopniem wiarygodności waszych sprawozdań...

Młoda kelnerka w spódniczce ledwie zakrywającej pośladki postawiła przed nimi parujące befsztyki.

–Telefon do pana Ashcrofta – powiedziała z uśmiechem. – Można odebrać w barze.

Ashcroft, który dopiero teraz zdjął kapelusz i położył go na wolnym krześle, podniósł się niechętnie. Nienawidził zimnego jedzenia.

Kiedy wrócił, Layne był już w połowie swojej porcji. Podniósł głowę znad talerza i lekko zaniepokojony patrzył na Ashcrofta.

–Coś poważnego? – spytał.

–Powie ci, jak zjesz.

–Bez przesady, mów od razu. Ashcroft zwałił się na krzesło i podniósł widelec.

–Wykryliśmy, że wczoraj popełniono kolejne morderstwo bez motywu – odkroił kęs pieczeni i podniósł do ust. – W rzeźni miejskiej.

–W rzeźni? Wczoraj? – Layne nie wiadomo dlaczego zrobił podejrzliwą minę i spojrzął na swój krwisty befsztyk.

Na widok Layne'a stojący przy drzwiach gmachu policji strażnik poruszył się niespokojnie.

–On jest ze mną – powiedział Ashcroft i ruchem dłoni pchnął brodacza. Strażnik zamrugał niepewnie.

–Ale przepustka...?

Ashcroft przeniósł wzrok na Layne'a.

–Masz ją, prawda?

Ten skinął głową, więc Ashcroft ponownie odwrócił się do strażnika.

–Ma – stwierdził i nie zważając na nieme próby protestu ruszył do przodu.

–Ktoś by powiedział, że nie lubisz glin – mruknął Layne, kiedy szli po schodach.

Ashcroft trzymając się poręczy stanął na półpiętrze.

–Bo nie lubię. Tam... – wskazał ruchem głowy – masz archiwum. Ja idę

zobaczyć, jak chłopcom lecą przesłuchania.

Layne spojrział w wąski korytarz.

–Spotkamy się...

–Gdzieś po drodze – Ashcroft ruszył po schodach. – Nie bój się, nie będziesz spał w namiocie.

Pierwszą osobą, którą napotkał po wejściu do sali, gdzie w oddzielonych przezroczystymi przepierzeniami klatkach prowadzono przesłuchania, był Earl. Stał pod otworem wentylatora i wdmuchiwał między wirujące łopatki jedną strużkę dymu za drugą.

–Gdzie masz formularze? – spytał wyjmując papierosa z ust. – Te dla wariatów...

Ashcroft zerknął przez najbliższą szybę na siedzącą plecami do niego tęgą kobietę.

–Dla kogo?

Earl wydusił palcami żar na podłogę, a niedopalek schował do kieszeni.

–Dla mnie... – westchnął. – Chodź, sam się przekonasz.

Skręcili w lewo. Klitka różniła się od innych jedynie liczbą krzeseł. Ashcroft oparł się o taflę z pleksi i dał znak Earlowi, by kontynuował.

–Powiedz, Dombasl, raz jeszcze – zaczął porucznik. – Jak wyglądał ten człowiek, kiedy go zatrzymaliście?

Policjant z naszywkami szesnastego komisariatu zerknął niepewnie na Ashcrofta.

–Mówilem... – chrząknął. – Gdyby nie my, toby się utopił w tym dole. Nikt z rzeźni nie chciał pomóc. Facet był poowijany w kiszki jak...

Earl już od kilku chwil patrzył boleśnie na Ashcrofta.

–Chciałbym wiedzieć... – przerwał podejrzenie spokojnym głosem. – Czy ten człowiek wyglądał na wariata?

Sierżant Dombasl stuknął palcem w kieszeń bluzy. Sądząc z odgłosu musiał tam trzymać notes.

–Podaliśmy już – zerknął na swojego kolegę o twarzy skauta. – Ten Boone gadał całkiem do rzeczy, kiedyśmy go ocucili. Tylko strasznie śmierdział.

–Mówił, jak znalazł się w tym dole z odpadkami? – Ashcroft zrobił krok do przodu.

Earl skinął głową, że Dombasl ma odpowiedzieć.

–Mówił, że nie pamięta i że musiał się pośliznąć. Faktycznie, kładka jest tam cholernie wąska – dodał z przekonaniem.

–Tylko że konwojenci nie mają tam wstępu... – Earl ponownie przejmował inicjatywę.

–Ten Boone... – zaczął niskim głosem szczupły policjant. – Kiedy wieźliśmy go na posterunek, twierdził, że nie pamięta, co się z nim działo od wyjścia z wozu.

Earl spojrział na Ashcrofta.

–Wykapali go, pozwolili się wyspać i dopiero po naszym telefonie przywieźli tutaj.

Ashcroft ruszył do drzwi.

–Niech to podpiszą, idę obejrzyć panie.

Sądząc z grymasu Earla mógł oczekiwać wszystkiego.

W następnej klitce Freddie nawet nie próbował przerwać potoku słów osoby siedzącej za biurkiem.

–Proszę nie zaprzeczać, poruczniku, ten hak symbolizował fallusa. Boone chciał nas wszystkie zgwałcić. Już dawno widziałam, jak przewraca za mną oczami... Freddie zerknął rozpaczliwie na stojącego obok Ashcrofta, lecz ten położył palec na usta.

–Mówią, że chciał zabić Grazia. Po co? – kobieta plasnęła dłońmi o tęgie uda. – Ja się pytam, po co... To był pretekst, aby wejść do naszej poczekalni. Ale nie dałabym ruszyć dziewcząt – uniosła zwiniętą w kulak pięść. – Najpierw musiałby mnie...

Ashcroft domknął drzwi. Ostatnie spojrzenie Freddie'ego pokazywało, jak bardzo żałuje, że nie ma zatyczek do uszu.

Przy ostatnim boksie napotkał kolejną tęgą, lecz dla odmiany zapłakaną kobietę. Prowadzący ją nie znany mu policjant trzymał w ręku fiolkę pastylek. Na widok Ashcrofta uśmiechnął się zdawkowo.

–Zeznania Grazia, tego rannego rzeźnika, położyłem na pana biurku – wrzucił opakowanie do popielniczki.

–Według mnie Boone zwariował – dodał podając dziewczynie kubek coli z automatu.

Ashcroft mruknął coś i nacisnął klamkę. Pod sufitem, tak jak wszędzie, paliły się cztery białe jarzeniówki. Na jego widok zarówno Lionel, jak i siedząca naprzeciwko szatynka unieśli głowy.

–Pani jest bardzo rzeczowa – stwierdził Lionel i uśmiechnął się znad biurka.

Kobieta odłożyła trzymaną w ręku kopię zeznań, następnie po starannym obciążeniu spódnicy założyła nogę na nogę.

–Nikt poza panią Detmers nie wpadł na pomysł, że można się schować w przedsionku prowadzącym do chłodni.

–Gratuluję – wysapał Ashcroft siadając na nie wiadomo przez kogo przyniesionym krześle.

– Dużo pani widziała?

–Tak, te drzwi... – zaczął Lionel, lecz kobieta powstrzymała go uniesieniem dłoni.

Jak na swój zawód miała stanowczo za starannie utrzymane palce.

–Te drzwi miały okrągłe okienka – stwierdziła zerkając na swoje zeznania. –

Czy pan prowadzi śledztwo?

Ashcroft przyjrzał się swoim paznokciom, potem schował je zaciskając dłonie. Były brudne.

–Tak – odparł. – Dlaczego pani pyta? Kobieta uniosła wiszący na szyi brelok z zegarkiem.

–Mogę streścić... Patrząc na Lionela wzruszył ramionami.

–Proszę.

–Stałam w drzwiach do głównej hali... – zawahała się. – Tam, gdzie taśmociąg przesuwają tusze na wagę i sortuje. Wiszą na hakach... Nie mówię za dokładnie?

–Nie – Ashcroft był zajęty czyszczeniem paznokci. – W sam raz.

–Grazia właśnie wczoraj był wagowym. Jak tylko zobaczyłam Boona wchodzącego od rampy, wiedziałam, że coś jest nie tak. Był napięty i... taki dziwny. Odrzuciłam nawet papierosa.

–Wszystko jest... – Lionel bezskutecznie próbował przerwać.

–On zdjął wtedy hak, czasami jadą puste, i walnął Grazia – nachyliła się ku Ashcroftowi. – Chłopak uskokczył, ale dostał w ucho.

Zachichotała, zaraz czerwieniejąc.

–Przepraszam – szepnęła – ale lekarz mówił, że Grazia będzie miał ucho dziurawe na wylot. Można będzie włożyć palec.

Zerknęła niepewnie na Ashcrofta, lecz ten kiwając się na krześle zachęcająco skinął głową.

–Jak Boone uderzył go w ramię, Grazia uciekł do nas. Od razu zatrzasnęłam się w przedsionku. Zanim dziewczyny się połapały, oni już się gonili po całej poczekalni. Wrzask był jak diabli.

Uśmiech zniknął z warg Ashcrofta.

–Boone również krzyczał?

–Ani pisnął. Za to Grazia ryczał jak zarzynany, ta idiotka Sandage również. Wywalali stoły...

–Co dalej?

–Grazia dopadł tylnego wyjścia i pobiegł kładką, gdzie płyną pod spodem odpadki z produkcji. Chyba chciał się wydostać z budynku. Wtedy właśnie Boone pośliznął się i zjechał prosto w te flaki.

Spojrzenia Ashcrofta i Lionela skrzyżowały się.

–I czekaliście, aż przyjedzie patrol?

–Tak – Detmers podrzuciła swój wisiołek. – Wezwał go nadzór. Skrzypnęły drzwi i Ashcroft mógł ujrzeć przez szybę druczane okulary Layne’a.

Uniósł się z krzesła.

–Dziękujemy, wiele nam pani wyjaśniła – powiedział, widząc, jak statystyk próbuje coś podsłuchać przez dzielącą ich szybę. – Lionel, zgłosisz się do mnie po wszystkim.

Kobieta spojrziała przebiegle.

–Panie kapitanie, a dostanę zaświadczenie, że byłam tu do piątej?

Ashcroft nawet nie musiał patrzeć na zegarek, żeby sprawdzić, że jest dopiero trzecia godzina. Otworzył drzwi.

–Lionel, zrób tak, jak pani prosi – mruknął i wyszedł. Layne wskazał oczami na uśmiechającą się od ucha do ucha kobietę.

–Czym ją tak uszczęśliwiłeś? – spytał. Ashcroft wziął go pod ramię.

–Uszczęśliwiać to ją będzie zaraz ktoś inny. Dałem jej tylko alibi – powiedział ruszając korytarzem. – Zanim powiesz mi, jaki burdel jest u nas w archiwum, odpowiedz na jedno pytanie.

Layne zerknął niepewnie.

–Jakie?

Oczy Ashcrofta spoczęły na jego skroni.

–Powiedz mi, jak się czuje facet, który ma w uchu dziurę wielkości pięciocentówki? Czy to się może do czegoś przydać...?

* * *

Dwudziestu ludzi w brudnych drelichach przypadło do ziemi i popęzło w kierunku ocieniających drogę drzew. Sunący na przodzie rudzielec dotarł tam pierwszy i delikatnie, starając się nie potrącać liści, odchylił gałązki karłowatego krzaka.

–Zachować ciszę – szepnął. – Są na wzgórzu.

–Carlos – odezwał się ktoś z tyłu. – Mamy mało amunicji. Tamten jednak nawet nie odwrócił głowy.

–Uwaga – warknął szarpiąc zamek automatu. – Naprzód!!! Dwudziestu ludzi poderwało się z ziemi i biegiem ruszyło naprzód. Gdzieś z góry zagdakał leniwie cekaem.

–Wyłącz to wreszcie – powiedział Kelly.

–Dlaczego? Muszę zobaczyć, co będzie dalej.

–I tak wiesz, co się stanie – Kelly sięgnął do wyłącznika i ekran telewizora zgasł. – Nasi zdobędą to wzgórze, zatkną na nim flagę, potem zdobędą następne, zatkną na nim...

–Hej, Kelly – Slayton wstał z krzesła. – Przecież to był film o rewolucji kubańskiej. A ci na ekranie to partyzanci.

–No to co?

–A ty powiedziałaś o nich „nasi”. Rany boskie, Kelly, jesteś komunistą!

–Dobra, dla ciebie mogę być nawet wyznawcą Kriszny. Chodź, skoczmy do miasta.

Slayton spojrział na zegarek.

–Chętnie, ale muszę jeszcze zajrzeć do tego faceta na dole. Kelly podniósł się również.

–Pójdę z tobą. Chyba też powinienem go odwiedzić. Zrezygnowawszy z powolnej windy zbiegli po schodach i w zwykłych

ubraniach, nie zakładając fartuchów, weszli do sali intensywnej terapii.

–Dzień dobry pani – Slayton skłonił się czuwającej przy chorym pielęgniarce. – Pacjent nie odzyskał przytomności, encefalogram zero, impulsy czynnościowe zero, pozostałe czynniki również bez zmian.

–Tak, ale... ale to ja powinnam powiedzieć!

–Proszę się nie przejmować. Słyszałem to już od pani tyle razy, że zdołałem wszystko zapamiętać.

Stojący z tyłu Kelly podszedł do poowijanej w bandażę mumii. Zrobił ruch ręką, jakby chciał dotknąć któregoś z popiskujących urządzeń, pulsujących ekranów czy dziesiątków kabli, łączących nieruchome ciało ze skomplikowanymi układami hydraulicznymi i całymi tonami elektroniki. Dłoń zawisała jednak w powietrzu, potem Kelly cofnął ją i odwrócił się do Slaytona.

–Przecież ten człowiek nie żyje – powiedział nagle schrypniętym głosem. – Do jasnej cholery, po co oni go tu trzymają?

–Pewnie, że nie żyje. Ustawa jednak zakazuje odłączenia go przed upływem dwóch miesięcy.

–Bzdury. W tym przypadku można zastosować procedurę specjalną. Przecież trzymanie go tutaj jest zupełnie bez sensu.

Slayton rozłożył ręce.

–Stary też mówi, że to ewidentny przypadek zgonu. Na jutro czy pojutrze zapowiedziane jest zebranie w jego sprawie.

–Wyłączą go? – spytała pielęgniarka.

–Najprawdopodobniej. Chodźmy, Kelly. Slayton pożegnał dziewczynę ruchem ręki i ruszył przodem.

–Bierzemy samochód? – spytał po chwili.

–Coś ty. Ten cholerny policjant z patrolu zawziął się na mnie. Powiedział, że jak jeszcze raz zobaczy mnie pijanego za kierownicą, to zabierze prawo jazdy.

–A jesteś pijany?

–Teraz nie, ale jak będziemy wracać... Ten cwaniak zawsze czai się wieczorem.

Tuż za metalowym płotem ograniczającym teren ośrodka prawie wpadli na grupę obdartych dziewczyn. Obydwaj uśmiechnęli się automatycznie, ale żadna nie zwróciła na nich uwagi. Skwaszeni powlekli się dalej w kierunku skrzyżowania.

–Hej, Kelly, patrz! – zawołał nagle Slayton wskazując ręką pobliski pagórek. U jego stóp dwóch ludzi rozbijało mały kolorowy namiot.

–Czego oni tu chcą?

–Może to ci od węzów... no... serpentolodzy.

–W takim namiocie? Nie, to turyści albo ktoś z miasta.

–Nie turyści, tylko idioci. Chodź, pewnie autobus znowu nie przyjedzie i trzeba będzie zatrzymywać samochody.

Kelly pokręcił głową, ale nie zdążył zrobić ani kroku, kiedy tuż przed nimi zatrzymała się luksusowa furgonetka.

–Hej, wy tam – z okienka wychylił się jakiś grubas. – Chodźcie tutaj!

–My? – spytał Slayton.

–A do kogo mówię? Kelly zrobił krok do przodu.

–O co panu chodzi?

–To ja pytam, czy jest tu jakiś kemping?

–Tutaj? Co pan chce tu robić?

–To moja sprawa – grubas poczerwieniał na twarzy. – Więc jest coś czy nie?

–Nie... – zaczął Kelly, ale Slayton chwycił go za ramię i wtrącił:

–Tak, jest pole namiotowe, tu niedaleko. Ale żeby się tam dostać, trzeba objechać spory kawałek bagien. Droga jest dość długa, więc może pojedziemy z panem i pokażemy...

–Dobra – grubas otworzył tylne drzwiczki i machnął na nich ręką.

–Co ty robisz? – Kelly odruchowo nachylił się do kolegi. – Przecież w całej okolicy nie ma żadnego kempingu.

–Siedź cicho – szepnął Slayton. – On nas zawiezie do miasta.

* * *

–Znalazłeś coś w tych papierach? – Ashcroft zdjął kapelusz i rzucił go na zawalone segregatorami biurko.

–Nic ciekawego – mruknął Layne. – W twoich aktach brakuje najważniejszych danych.

–Czego brakuje? Przecież masz tu stenogramy przesłuchań, zeznania świadków i wszystkie dane o mordercach.

–Wszystkie dane? Chyba żartujesz – Layne zdjął okulary i roztarł czerwone ślady na nosie. – Słuchaj, ja potrzebuję prawdziwych danych, o rodzinie mordercy, o jego przodkach, muszę zobaczyć zestawienia rozkładu struktur społecznych w mieście, segregacje elementów napływowych i przynajmniej pobieżną listę rdzennych rodzin zamieszkujących te tereny do piątego pokolenia wstecz...

–O Boże... – westchnął Ashcroft.

–Chcę się zapoznać z konfiguracją struktury zatrudnienia w służbach miejskich, zarówno

pod względem wieku, jak i wykształcenia, chciałbym też znać główne ośrodki, skąd przybywała ludność napływowa, a u tych, którzy nie pochodzą z północy, interesuje mnie, gdzie żyły ich rodziny, zaczynając od drugiego pokolenia wstecz.

–To wszystko?

–Nie. Jest jeszcze parę innych rzeczy.

–Skąd chcesz te informacje uzyskać?

Layne wyjął i zapalił papierosa, choć zdążył się już dowiedzieć, że denerwuje to Ashcrofta.

–Wymienię kolejno: miejskie archiwum, kartoteka policyjna, dane lokalnego oddziału FBI, a przede wszystkim karty pacjentów ze wszystkich szpitali w mieście, bo oni zazwyczaj przeprowadzają bardzo dokładny wywiad. Poza tym muszę mieć wgląd w kartoteki banków udzielających kredytów i firm ubezpieczeniowych. Oni też dysponują dokładnymi danymi na temat swoich klientów.

Ashcroft pokręcił głową. Potem wypełnił jakiś formularz i podał go Layne'owi.

–Wszystko stoi przed tobą otworem. Coś jeszcze?

–Dobry, to znaczy szybki komputer i zgrany sztab ludzi otrząskanych z taką robotą.

–W komendzie mamy jeden z ostatnich modeli firmy Hawlett-Packard. Ale skąd ja ci wytrzasnę ludzi?

–Postaraj się.

Ashcroft wzruszył ramionami.

–Przynajmniej dopiero teraz dowiedziałem się, co to znaczy prawdziwy statystyk.

Layne uśmiechnął się.

–A dotychczas uważałeś mnie za prawie normalnego człowieka, prawda?

Ashcroft chciał coś powiedzieć, ale przerwało mu wejście Dennisa.

–No tak, tego się spodziewałem – prawie krzyknął komendant policji. – Siedzisz sobie w gabinecie nad jakimiś papierami, a prawdziwa robota czeka, tak?

–Ale...

–Wiesz, co się dzieje w dzielnicy portowej? Wiesz, gdzie pojechali wszyscy moi ludzie, co? Oczywiście nie, bo co by cię to mogło obchodzić.

–My też ciężko pracujemy...

Dennis wznosił ręce w geście rozpaczy.

–I ty to nazywasz pracą! A tymczasem ktoś pikietuje budynek rady. W okolicy portu demonstracje...

–Przepraszam – wtrącił się Layne. – Co było przyczyną tego wszystkiego?

–Plany nowych osiedli. – Dennis zajął ostatni wolny fotel. – A właściwie nawet nie same plany, tylko to, że robimy miejsce dla wielu nowych obywateli.

–Czy nie można wstrzymać dopływu obcych?

–Jak? Połowa członków rady miejskiej to właściciele firm budowlanych. A poza tym napływ ludzi powoduje, że miasto się rozwija. Po prostu – ruch w interesie, rozumie pan?

Layne poruszył się niespokojnie.

–To bardzo ciekawe – powiedział. – Czyli miasto rozrasta się niezwykle dynamicznie?

–Właśnie. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że pewne warstwy starych

mieszkańców obawiają się dużej liczby obcych. Zwiększa to liczbę ludzi na rynku pracy, a co za tym idzie, mogą zmaleć zarobki i coraz trudniej będzie o jakiekolwiek stanowisko.

Ashcroft korzystając z chwilowego uspokojenia Dennisa przysunął się bliżej i nachylił w jego stronę.

–Pan Layne – prawie szepnął – potrzebuje większej liczby ludzi...

–Cooo...? – Dennis poderwał się z miejsca.

–Tylko na jakiś czas – powiedział spokojnie Layne. – W tej chwili mój wujek z Partii Republikańskiej jest bardzo zajęty, ale obiecał, że jak tylko skończą się wybory, przyśle mi odpowiednich fachowców.

–Eee... Pan ma wujka w Waszyngtonie? – Dennis opadł z powrotem na fotel.

–Ja też mieszkam w stolicy. Nie mówiłem panu?

–Mmm... Tak, tak, pamiętam. Co do tych ludzi, to na jakiś czas oczywiście... Zaraz się tym zajmę. Ashcroft nadal ma zostać przy panu?

–Byłoby bardzo dobrze.

–Tak. Nic nie stoi na przeszkodzie... Wybaczcie panowie moje krzyki, ale od rana jestem bardzo zdenerwowany. – Dennis znowu rozłożył ręce. Tym razem w geście usprawiedliwienia. – Musiałem wyciągnąć siostrzeńca z aresztu – dodał.

–Coś poważnego? – spytał Ashcroft.

–Nie, nic takiego. Chłopak chciał rozbić namiot gdzieś na zachód od miasta, pytał o kemping, a dwóch spryciarzy wykorzystało go i razem zawrócili do centrum. Siostrzeniec zdenerwował się trochę i gonił ich po jakimś barze, a on jest trochę... przyciężki, rozumiecie, panowie... No, w każdym razie bar był nieco zdemolowany.

–Zamknął go patrol?

–Niestety tak.

–A tamci dwaj?

–Nie wiem, kim są. Policjanci co prawda wylegitymowali wszystkich, ale byli tam sami poważni ludzie: naukowcy, lekarze, prawnicy...

Layne, skubiąc brodę, podszedł do wielkiej mapy zajmującej prawie połowę ściany.

–Dlaczego pański siostrzeniec, żeby wypocząć, pojechał na zachód? Przecież tam są tereny prawie pustynne, a po przeciwległej stronie miasta macie brzeg morski z silnie rozbudowanym zapleczem turystycznym.

–Któż zrozumie dzisiejszą młodzież? No nic, nie będę dłużej przeszkadzał – Dennis podał rękę Layne'owi, potem Ashcroftowi i zniknął za drzwiami.

Przez dłuższą chwilę w małym gabinecie panowała cisza. Potem Ashcroft westchnął, co przypominało raczej odgłos uchodzenia powietrza pod dużym ciśnieniem, i oklapł w swoim fotelu.

–Coś takiego... Swoją drogą, mogłeś mi wcześniej opowiedzieć o tym swoim wujku.

–O kim? Ja nie mam wcale wujka ani w ogóle żadnej rodziny. Jestem samotny.

–Przecież mówiłeś Dennisowi...

–Nie chcę się chwalić – przerwał mu Layne – ale dobrze gram w pokera. I to bynajmniej nie dlatego, że mam szczęście.

Gdzieś za ścianą wrzasnęło radio. Na chwilę zagłuszył je ryk syren policyjnych wozów odjeżdżających sprzed budynku, ale kiedy zapadła cisza, usłyszeli je ze zdwojoną mocą. Ktoś w

pokoju obok najwyraźniej również nie przemęczał się pracą. Layne zerknął na pozłacany budzik stojący na rogu biurka.

–Zgłodniałem. Może odwiedzimy ładne nogi kelnerki z baru naprzeciwko?

–Nogi? – Ashcroft sięgnął po kapelusz. – A już myślałem, że polubiłeś nasze befsztyki.

–Nigdy. Możesz być pewny, że już nigdy nie zjem żadnego befsztyka na terenie tego miasta.

–Dziwne przyzwyczajenie.

–Jedząc hamburgery wiem, że zostały zrobione z ohydnych ochłapów. Ale przynajmniej zwierzęcych.

Przeszli przez wąski korytarzyk i ruszyli w kierunku klatki schodowej, ale drzwi prowadzące do poczekalni otworzyły się i stanął w nich poowijany bandażami mężczyzna.

–Przepraszam bardzo – powiedział ledwie zrozumiale. – Czy pan Ashcroft?

–Tak. Słucham pana.

–Jestem świadkiem. Moje nazwisko Henley. Słyszałem, że to pan prowadzi sprawę zabójstwa Frances Rustler...

–Owszem, ale skąd pan zna jej nazwisko?

–Z gazet... z... z gazet – Henley mówił nie tylko niewyraźnie, ale coraz bardziej nerwowo. Layne dopiero teraz zauważył, że kiedy tamten otwiera usta, widać sporych rozmiarów tampon.

–Wypuścili pana ze szpitala w tym stanie? – spytał.

–Wyszedłem na własną prośbę. Jestem świadkiem tamtego zabójstwa.

–Trzeba było zadzwonić. Przyjechalibyśmy do pana.

–Nie, nie – Henley machnął wolną ręką, druga była w gipsie. – I tak muszę jechać do Houston. Nie wierzę tutejszym lekarzom.

Ashcroft dyskretnie spojrział na Layne'a, ale nie napotkał jego wzroku.

–Widział pan, jak to się stało?

–Tak.

–Przecież wokół był wysoki żywopłot.

–Właśnie. Na moje nieszczęście – Henley postukał w gips – siedziałem w tym czasie wysoko na słupie. Jestem elektrykiem w ekipie filmowej – dodał widząc zdziwienie na twarzach Layne'a i Ashcrofta.

–To bardzo ciekawe. Proszę mówić dalej.

–Zdejmowałem właśnie stare złącza. Luther kazał mi je założyć, ale jak zwykle okazało się, że będą niepotrzebne. Reflektory czerpały energię z generatora na ciężarówce...

–I co się stało?

–Przecież mówię – Henley przelknął ślinę, a potem długo wycierał chustką spoconą twarz. – Byłem na samym końcu słupa – podjął wreszcie – kiedy reżyser krzyknął, że znalazłem się w polu widzenia kamery. Tej umieszczonej najwyżej. Na wysięgniku...

–I co dalej?

–Odwróciłem się i zacząłem schodzić na dół. Wtedy zobaczyłem, jak on ją dusi. Ten, no... Cadogan. Jego nazwisko również przeczytałem w gazecie.

–Rozumiem. Chciał pan rzucić się na pomoc i spadł na dół?

–Nie – Henley spojrział na Ashcrofta z głęboką urazą. – Zeskoczyłem całkiem sprawnie.

Zdażyłem nawet zrobić kilka kroków, kiedy ten idiota Luther najechał na mnie jeepem.

–Pana zdaniem zrobił to umyślnie? – spytał Layne.

–Nie, skąd... To zupełny wariat. Gdyby nie on, siedziałbym z kolegami spokojnie z tyłu i montował kable, a tak pchałem się nie wiadomo po co na słup i zeskoczyłem Lutherowi pod zderzak. Rozumieją panowie? Jak można kogoś takiego zrobić szefem elektryków?

–Oczywiście, oczywiście, ale... – Ashcroft nagle zawiesił głos. – Zaraz, co pan zrobił po okrzyku reżysera?

–Słucham?

–Odwrócił się pan, tak? Henley skinął głową.

–A kamera była jeszcze wyżej niż pan?

–Tak...

–Idziemy, Marty – prawie krzyknął Ashcroft. – Powinniśmy ich jeszcze złapać.

–Kogo?

–Ekipę filmową. Wiem, że wtedy kręcili w okolicy przez cały dzień. Może na taśmie jest scena zabójstwa!

*** * ***

Sześć potężnych wozów, mieszczących zarówno sprzęt jak i garderoby, jednoznacznie określało miejsce pobytu filmowców. Wymachując legitymacją Ashcroft przesuwał się wśród gapiów torując drogę sobie i Layne'owi. Po kilkunastu sekundach i paru uwagach na temat waźniaków z policji dotarli do stóp fontanny, gdzie ustawiono kamery. Ashcroft całkiem świadomie nadepnął komuś z obsługi na stopę.

–Gdzie wasz szef? – spytał.

Tamten syknął i schylił się. Ashcroft podetknął mu kartonik legitymacji.

–Muir? Reżyser stoi tam... – mruknął człowiek i ostrożnie dotknął buta. – Przy kamerze.

Ashcroft klepnął go w ramię i z uwagą stawiając nogi między rozciągniętymi kablami, dotarł do pierwszej niecki. Gdyby uruchomiono teraz rzygacze, strumień wody z najbliższego trafilby wyłysiałego faceta prosto w plecy. Palec Ashcrofta stuknął w to samo miejsce.

–Pan kieruje tym wszystkim?

Mężczyzna okręcił się na obcasie.

–Bo co...? – lypnął okiem. – Robi pan wywiad na temat konfliktu producent-reżyser?

Był niski, w ustach błyszcząły mu dwa srebrne zęby. Poza tym zajeżdżał tanią brandy. Ashcroft po raz kolejny pokazał legitymację.

–Mógłby mi pan poświęcić parę minut? Człowiek zerknął na ich buty ukazując starannie zaczesany placek łysiny.

–Od razu chce mnie pan straszyć tym, że wygasa licencja na kręcenie w mieście, czy odłoży pan to na później?

–Chcę wiedzieć, czy piętnastego koło czwartej po południu robiliście zdjęcia na pasażu handlowym.

–Łysina ustąpiła miejsca profilowi o ptasim nosie.

–Eve, dziecinko, podejdź do nas! – zawołał. Dziewczyna o spódnicy rozciętej do połowy uda ruszyła w ich stronę.

–Powiedz panom, co kręciliśmy w sobotę.

Oparła zawieszoną na szyi tabliczkę o płaski brzuch.

–Między trzecią a czwartą trzydzieści robiliśmy scenę na tarasie kawiarni z Lindą i Patrickiem...

–To mało ważne – przerwał jej Ashcroft. – Zdejmowaliście pasaż?

–Tak, był w ogólnym kadrze.

–Chcielibyśmy obejrzeć scenę nakręconą koło czwartej. Reżyser i dziewczyna uśmiechnęli się jednocześnie.

–Taśmy pojechały do obróbki.

–To ściągnijcie je, chociaż fragmenty. Od strony wozu technicznego ktoś krzyczał coś na temat akumulatorów i Muir

musiał odejść na moment. Czas ten jednak dobrze podziałał na pamięć dziewczyny.

–Słuchaj, Tony – pociągnęła niskiego człowieczka i szepnęła mu coś do ucha.

Tamten zerknął na nią, a potem na Ashcrofta.

–Macie szczęście. Te sceny przyjadą dzisiejszym... – spojrzał na zegarek. –

Właściwie to już przyjechały.

Ashcroft uderzył palcami po kieszeniach spodni.

–Powinniśmy je jeszcze dzisiaj obejrzeć.

Muir, który wrócił tymczasem, przyglądał się przez moment jego kapeluszu, wreszcie wytarł łysinę chustką.

–A zezwolenie...? Ashcroft zatknął kciuki za pasek spodni.

–Najpierw chcemy zobaczyć, czy macie szansę na Oskara... Dziewczyna mrugnęła okiem do Layne'a i wolno ruszyła w stronę

nadchodzącej grupy aktorów.

–Dobrze – odezwał się reżyser, gdy już jej ciasno opięte pośladki zniknęły w tłumie. – Przyjdźcie o piątej do „Palace Hotel”, chociaż nie mam pojęcia, po co wam to wszystko.

Ashcroft pstryknął w rondo kapelusza i odwrócił się ku zagrządzającej im drogę ciżbie.

–Na razie – powiedział Layne do Muira.

Ludzie niechętnie rozsuwali się na boki.

Ashcroft obserwował w lustrze twarz widniejącą na tle białych kafelków.

Ciągle te zbyt duże usta i za mały nos. Nie przejmował się tym, zdążył się przyzwyczaić.

Namacawszy kawałek mydła z przyjemnością splukał dłonie. Za dużo rąk dzisiaj ścisnął, za dużo raportów przeglądał. Cisnął do kosza zwiniętą kulkę papierowego ręcznika i podnosząc palcem kapelusz wyszedł do hotelowego holu. Dopiero po chwili między przechodzącymi ludźmi dostrzegł w kącie brodatą twarz

Layne'a. Stał przed naklejonym na marmurowej kolumnie plakatem z uśmiechniętym obliczem Malle'a. Właściwie Malle'a można było się jedynie domyślać. Czerwony zaciek atramentu skutecznie zniszczył zdjęcie. Layne zwrócił w stronę Ashcrofta okrągłe szkła okularów.

–Ten facet nie ma chyba przyjaciół... – stwierdził wymownie.

Ashcroft zerknął na otaczających ich ludzi. Zza kontuaru przyglądał im się portier o twarzy tak samo trójkątnej, jak wiszące za nim breloki kluczy.

–Wiesz już, gdzie jest Muir?

–W salce projekcyjnej – Layne wskazał kierunek podrzutem brody. Ashcroft zdarł uszkodzone zdjęcie.

–Zawsze znajdzie się jakiś idiota... Oderwał resztki taśmy, a plakat wrzucił za donicę z palmą.

–Sam mówiłeś o waszym temperamencie... Ashcroft dotknął koszuli Layne'a.

–Ten człowiek od piętnastu lat jest burmistrzem i jeśli miasto zawdzięcza komuś cokolwiek, to tylko jemu.

Ostatnie słowa Ashcroft wymówił głośniejszym, niż było to konieczne. Parę osób rzuciło im krótkie spojrzenia, portier zaś wymknął się na zaplecze.

–Kapitanie – przywitał ich głos Muira, gdy tylko wśliznęli się w półmrok sali projekcyjnej. – Myślałem, że pamięta pan o przysłowiu, że czas to pieniądz.

Ashcroft minął go bez słowa i usiadł dwa rzędy z przodu.

–Zezwolenie mam przy sobie – odezwał się nie odwracając głowy. – Niech pan to puszcza.

Reżyser szepnął coś do mikrofonu łączącego go z operatorem.

–Fragment kręcony prawie dokładnie o czwartej, tak?

Ashcroft skinął głową i zerknął na Layne'a. Ten przecierał okulary kawałkiem irchy, lecz zdążył je wsunąć na nos przed ukazaniem się obrazu.

Kamera rzeczywiście, tak jak opowiadał ten przejechany monter, musiała znajdować się wysoko. Swoim zasięgiem obejmowała zarówno taras kawiarni, jak leżący piętro niżej pasaż. Mimo że w kadrze przy stolikach siedziało kilkanaście osób, usadowienie dwójki aktorów momentalnie wyróżniało ich z grupy statystów.

–Jesteś pewna? – spytał kobietę mężczyzna o stalowosiwych skroniach i przechylił się ku balustradzie.

Brunetka, Ashcroft znał jej twarz z jakiegoś serialu, zmięła trzymaną w dłoni słomkę.

–Zupełnie – patrzyła na idących w dole ludzi. – On przyjdzie, a ja z nim pójdę...

–Gównu – stwierdził półgłosem Ashcroft odwracając się przez ramię. – Zatrzymajcie to!

Muir zbliżył kostkę mikrofonu do ust i postacie na ekranie zamarły w pół gestu. Ashcroft cisnął kapelusz na siedzenie.

–Widzisz? – jego wskazujący palec celował gdzieś w róg ekranu.

Layne, zlorzecząc w duchu reżyserowi, który bębnił drażniąco w poręcz, starał się dojrzeć Cadogana. Między witrynami ciągnących się po obu stronach ulicy sklepów stało bądź przechodziło wiele osób, lecz żadna nie przypominała mordercy Francis Rustler.

–Gdzie...? – zaczął, lecz umilkł widząc spojrzenie Ashcrofta.

–Za mało się opalasz, a to podobno polepsza wzrok. Tego zbiegowiska nie zauważyłeś...?

–Właśnie – powiedział Muir. – Jacyś faceci zaczęli tam wrzeszczeć i musieliśmy wsadzić mikrofon pod sam stolik.

Layne przetarł szkła, tym razem palcami.

–Jasne – mruknął nasuwając okulary. – To już było kręcone po morderstwie, ci ludzie stoją koło altanki.

Kręcąc głową Ashcroft przyglądał mu się z ironią.

–Macie poprzednią scenę? – zawołał do tyłu – sprzed kilku minut?

Skrzypnęły drzwi i wszyscy odwrócili głowy. Stojąca tam brunetka z filmowego planu posłała im uśmiech.

–To nic ciekawego – stwierdził Muir, kiedy wyszła. – Takie samo ujęcie, tylko nieudane.

Linda była za mało autentyczna...

–Niech się pan nie wygłupia – przerwał Ashcroft. – Chodzi nam tylko o to, co było na ulicy. Muir błyskawicznie otworzył usta, lecz nie wydał żadnego dźwięku.

–Poprzednią scenę – powtórzył Ashcroft.

Oczy człowieka w tylnym rzędzie były pełne bóleści.

–Tamten materiał jest do niczego – stwierdził z zadziwiającą wiarą w głosie. – Ale jak pan chce... Tylko to moment potrwa.

Ashcroft podniósł swój kapelusz, potem mrugnął do Layne'a, lecz ten nie odwzajemnił uśmiechu.

–Czytałem waszą popołudniówkę – zaczął. – Zdaje się, że koniec z tymi demonstracjami z powodu parcel...

Zza ich pleców sączył się wściekły szept Muira. Ten ktoś po drugiej stronie mikrofonu musiał być cholernie mało ważny.

–Zgadza się – Ashcroft potwierdził skinieniem głowy. – Sami się dziwimy. Gdyby nie wycofały się zakłady farmaceutyczne, nie poszłoby tak łatwo.

–Jasne – mruknął Layne. – Tam pracuje prawie pół miasta. – Pochylił ciało w zamyśleniu, lecz zaraz poderwał się znowu. Ekran na powrót rozjaśnił ten sam obraz co uprzednio.

–Jesteś pewna? – spytał aktor o cerze, co teraz było lepiej widać, zniszczonej nakładaną latami charakterystyką.

Lecz ani Ashcroft, ani Layne nie przyglądali się mu. Uwagę ich przykuł mężczyzna w szarym prochowcu, którego profil bezwzględnie należał do Vincenta Cadogana. Szedł niespiesznie pasażem, zerkając na witryny, raz tylko przelożył aktówkę z ręki do ręki.

–Rustler – szepnął Ashcroft. Obydwaj wiedzieli, że chodzi o szczupłą blondynkę wchodzącą między ławeczki.

Była o jakieś piętnaście metrów przed Cadoganem. Layne zacisnął dłoń na krawędzi oparcia, zniżając brodę prawie do tego samego poziomu. Cadogan przeszedł dzielące go od żywopłotu metry jakby usztywnionym krokiem, tam rozejrzał się szybko na boki i nagłym ruchem wszedł do środka. Nie widzieli tego, bo zasłaniały go krzewy, lecz teczkę musiał upuścić na trotuar. W każdym razie, gdy chwycił dziewczynę za gardło, ręce miał puste. Obraz zamigotał i zastygł pokryty poprzecznymi pasami.

–Co się dzieje?! – krzyknął Ashcroft, obracając się do Muira. Reżyser ostentacyjnie wzruszył ramionami.

–Sami widzieliście, jak Linda mówiła ostatnią kwestię... Layne musiał przytrzymać Ashcrofta z całej siły za rękaw.

–Oni przestali filmować – powiedział z naciskiem. – Prawda? To był koniec sceny?

Muir uśmiechnął się prawie szczerze.

–Naturalnie, trzeba było jeszcze raz kadrować. Fotel ciężko skrzypnął, kiedy Ashcroft obracał się w stronę ostatniego rzędu.

–Rekwiruję ten fragment jako dowód rzeczowy – powiedział chrapliwie. –

Podpisze mi pan zaraz papier. Muir wstał.

–A zezwolenie? Ashcroft sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął cienki flamaster.

–Wszystko po kolei.

* * *

–O rany, nic nie widzę! – krzyknął Slayton. – Kelly, gdzie jesteś?

Tuż obok rozległ się jakiś dźwięk, ale Slayton nie mógł zlokalizować jego źródła.

–Nic nie widzę! – krzyknął znowu. – Ratunku! Duszę się... Kelly zerwał koldrę z twarzy leżącego w łóżku kolegi.

–Obudziłeś się wreszcie? – mruknął. Slayton zmrużył oczy i mętnym wzrokiem powiódł po pomieszczeniu.

Znajdował się w ich własnym pokoju, ale w przeciwieństwie do sytuacji sprzed chwili było w nim stanowczo za dużo światła. Powoli rozmasował sobie skronie i usiadł na łóżku. Ból głowy nie ustępował i Slayton z zazdrością spoglądał na krzątającego się koło umywalki Kelly'ego.

–Nie bądź taki skowronek – powiedział pokonując ból w gardle. – Może i wypileś tyle co ja, ale nie sądz, że nie widziałem, jak bierzesz Alka-Selzer. Co najmniej pięć tabletek. Kelly przejrzał się w lustrze.

–Wstawaj. Zaraz zacznie się zebranie.

–Jakie zebranie?

–W sprawie tego faceta z sali intensywnej terapii. Slayton z trudem wstał z łóżka.

–Odłączą go od aparatury? – spytał starając się stać pewnie.

–Jasne. Co prawda Hutts chce go leczyć, ale i tak go przegłosują.

–Leczyć? Hutts zawsze miał samarytańskie zapędy w stosunku do nieboszczyków – Slayton wyjął z lodówki puszkę piwa. – Chociaż może ma rację? Gdybym tak zaaplikował facetowi całe opakowanie aspiryny... Słyszałem, że to na wszystko pomaga.

–Kto ci to mówił?

–Agent reklamowy koncernu Bayera – Slayton kilkoma haustami wypił piwo.

Uporczywy ból głowy zaczął powoli ustępować i czuł, że krew zaczyna krążyć coraz szybciej. Jednocześnie jednak działo się z nim coś dziwnego.

–Potwornie wczoraj narozrabiałeś, Slayton.

–Ja? To ten grubas. W dodatku śnił mi się w nocy.

–A ja śniłem o policjantach. Zabierali mi legitymację i...

–I co?

–Wtedy się budziłem. Dopiero na jawie przypomniałem sobie, że mi ją oddali ze słowami: „Przepraszamy, panie doktorze”.

Slayton poruszył głową w nieokreślonym geście. Wyjął z lodówki drugą puszkę piwa i jak poprzednio wypił zawartość kilkoma łykami.

–Slayton, dobrze się czujesz?

–Tak, czemu pytasz?

–Jakoś tak dziwnie wywróciły ci się oczy do góry.

–Nie, czuję się świetnie.

–Bo myślałem... – Kelly nie dokończył, widząc, że jego kolega runął na łóżko. Podeszedł do

niego, ale kiedy po wielu staraniach udało mu się odwrócić leżącego na wznak, machnął ręką, zawiązał krawat i wyszedł z pokoju.

Sądząc po ogromnej ilości dymu w dużej sali konferencyjnej, spóźnił się dość poważnie. Starając się robić jak najmniej hałasu, przemknął za zajętymi fotelami i zajął miejsce w miarę możliwości maksymalnie oddalone od stołu prezydyjnego.

–Reasumując to, co zostało powiedziane – kończył właśnie Werner – sędzę, że nie ma żadnych realnych przesłanek pozwalających mieć nadzieję na pozytywne zakończenie sprawy. Odczyty urządzeń rejestrujących pracę mózgu, niezmiennie od wielu dni, brak jakichkolwiek odruchów i zgodne opinie lekarzy upoważniają mnie do zastosowania procedury specjalnej przewidzianej przez ustawę. Myślę, że powinniśmy przystąpić do głosowania.

Werner rozejrzał się po sali, ale nikt nie zgłosił sprzeciwu.

–Kto jest za całkowitym odłączeniem aparatury podtrzymującej pracę organizmu i stymulującej funkcje jego organów? – powiedział podniesionym głosem, sam jako pierwszy unosząc dłoń.

Wokół uniósł się las rąk. Wbrew wcześniejszym przewidywaniom nawet Hutts głosował „za”. Werner nie był jednak zadowolony.

–A pan? – wycelował palcem w kogoś, kto siedział na samym przodzie.

–Ja?

–Tak, pan, panie Stazzi.

–Przecież jestem kierownikiem ochrony ośrodka. Nie mam zielonego pojęcia o medycynie.

–Głosować powinniśmy wszyscy.

Stazzi wzruszył ramionami.

–Dobrze, ja również jestem za odłączeniem chorego... to znaczy zwłok, chciałem powiedzieć.

–Doskonale. Dziękuję panom – Werner porządkował leżące przed nim papiery. – Żeby nie przedłużać tej nieprzyjemnej sprawy, proponuję wysłać już teraz kogoś do sali intensywnej terapii w celu wykonania niezbędnych czynności...

„Eufemistyczne określenie” – pomyślał Kelly.

–Chyba profesor Hutts i doktor Kelly, prowadzący przypadek od początku, będą najbardziej kompetentnymi osobami.

Hutts skinął głową i podniósł się ze swojego fotela. Kelly’emu nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. Przy tak ewidentnym przypadku nie miał żadnych oporów moralnych, a siedzenie w zadymionej sali jeszcze przez parę godzin i uczestniczenie w dalszym porządku obrad nie należało do przyjemności. Toteż prawie zadowolony schodził na dół, starając się nie wyprzedzać utykającego na lewą nogę siwego profesora.

Mniej więcej godzinę później wyszedł ze swego pokoju Slayton. Z trudem dowlókl się do klubu, bar jednak znowu okazał się zamknięty, a na myśl o kanapkach z tuńczykiem serwowanych przez automaty robiło mu się niedobrze. Wypił letnią kawę i zdobywając się na jeszcze jeden wysiłek odszukał drzwi sali intensywnej terapii. Uchylił je i wsadził głowę do środka.

–Hej, Kelly, odłączyłaś już tego trupa od wszystkich rurek? W kuchni bardzo

się niecierpliwia... eee... przepraszam, panie profesorze, nie wiedziałem, że pan tu jest. Hutts odwrócił głowę od spowitego w bandażu ciała.

–Ten żart był całkiem nie na miejscu – powiedział cicho.

–Tak... tak, bardzo przepraszam.

–Jednak dobrze, że pan jest. Proszę zaczekać na zewnątrz. Będzie pan uczestniczył w sekcji.

Slayton kiwnął głową z uśmiechem. Zamknął ostrożnie drzwi i skrzywił się boleśnie. Stary zawsze wiedział, jak dotkliwie ukarać. I to właśnie dzisiaj. Wściekły powlókł się do okna i nie bacząc na przepisy otworzył je na całą szerokość. Gorący wiatr nie przyniósł mu ulgi. Posępniejąc coraz bardziej obserwował skupisko kolorowych namiotów rozstawionych wokół wzgórza naprzeciwko. Czego oni tam

chcą, do cholery? – Slayton słyszał, że wśród ludzi gromadzących się wokół ośrodka zanotowano już kilka przypadków ukąszeń przez jadowite węże. Ale nie odstraszyło to nikogo. Wprost przeciwnie, nowi „turyści”, jak pogardliwie nazywali ich pracownicy, przybywali prawie o każdej porze. Nie protestowali przeciwko czemukolwiek, nie demonstrowali ani nie śpiewali żadnych pieśni. Po prostu czekali. Na co? Tego nie wiedział ani Slayton, ani nikt, kto pracował wewnątrz. Po chwili bezmyślnego wpatrywania się w ledwie widoczne poprzez drgające powietrze sylwetki Slayton zatrzasnął okiennice i zapalił papierosa. Nie zdążył jednak zgasić zapalki, kiedy uwagę jego przykuł głośny, jakkolwiek nierozpoznawalny dźwięk, dobiegający z wnętrza sali. Po chwili otworzyły się drzwi ukazując Kelly’ego i Huttsa.

–Co pan o tym myśli, kolego? – Slayton zauważył, że profesorowi drżą ręce. –

Przecież, przecież... to niesamowite!

–Co się stało, Kelly?

Tamten jednak nie zwrócił uwagi na kolegę. Powiół po otoczeniu nieprzytomnym wzrokiem i pobiegł w głąb korytarza.

–Przepraszam, co się stało, panie profesorze?

–Ach, to pan – Hutts jakby dopiero go poznał. – Werner, gdzie jest Werner? – krzyknął i nie czekając na odpowiedź ruszył w ślady Kelly’ego.

Z sali dochodził głos zdenerwowanej pielęgniarki.

–Halo, piąta sekcja? To ty, Jake? Przekaż, żeby wszyscy natychmiast obsadzili swoje stanowiska. Natychmiast! Słyszysz?

Slayton odrzucił papierosa i zaintrygowany zajrzał do sali.

* * *

Krople deszczu uderzyły niespodziewanie o szyby wozu. Ashcroft dotknął przycisku na kierownicy. Szyby, zarówno po jego stronie, jak i Layne’a, uniosły się, zostawiając na zewnątrz oświetlone prostokąty podmiejskiego osiedla.

–Dosłownie pięć minut i jesteśmy u mnie – powiedział Ashcroft wskazując ekran wyświetlający mapę.

Layne spojrział na tylne siedzenie. Kołysała się tam jego torba.

–Jesteś pewny, że nie będę ci przeszkadzał? – zapytał usiłując coś dojrzeć przez mokrą szybę. – Hotel, który załatwił ten twój szef...

Gwałtowne hamowanie rzuciło nim w pasach. Wóz Ashcrofta wykręcił o dziewięćdziesiąt stopni i wjechał na boczną, sądząc z odgłosów wysypaną tłuczniami drogę.

–Jeśli raz jeszcze powiesz coś takiego – Ashcroft zmienił bieg na niższy – to opowiem ci jakiś dowcip o jankesach.

W ciemnej, bezksiężycowej nocy światła wozu ukazywały rzędy niskich krzewów, gdzieś urozmaiconych kostropatymi drzewkami.

–Nie rozumiem – Layne dotknął aluminiowej ramy. – Macie deszcze, a wokół pustynia...

–Różnie bywa – Ashcroft skręcił kierownicą mijając dziurę. – Możemy się założyć, że deszcz skończy się, zanim dotrzemy do domu.

Podrzuciło ich, a potem w załamaniu wzgórza ukazało się światło latarni zawieszanej przy żeliwnej bramie. Widoczny w głębi dom świadczył, że posiadłości południowców nadal są w jak najlepszym guście.

–Ho, ho... – Layne zbliżył twarz do szyby. – Nafty u was nie ma, więc nie mów, że dorobiłeś się tego w policji.

Ashcroft zatrzymał wóz i dotknął pola oznaczonego kółkiem. Brama rozsunęła się.

–Ojciec – wyjaśnił i szybko przejeżdżając przed frontonem wjechał na zjazd do garażu. – To był jego dom.

Layne wbił palce w brodę.

–Przegrałbyś – rzekł Ashcroft wskazując na okna. – Deszcz już nie pada.

Wjechali w rozświetlone wnętrze, zastawione starymi i nowymi oponami, pustymi i pełnymi puszkami oraz skrzyniami podzespołów.

–Wygląda, że mógłbyś zmontować drugi wóz – stwierdził Layne, patrząc, jak Ashcroft dokonując cudów ekwilibrystyki parkuje samochód w zagraconym pomieszczeniu.

–Mój kuzyn znalazł się na tym... Przed rokiem wyjechał do Europy.

Wspięli się o kilkanaście stopni i po ominięciu ażurowej ścianki Layne mógł się przekonać, jak rozległe jest pomieszczenie na parterze. Było zarazem salonem, kuchnią i przedpokojem połączonym zgrabnie w jedną całość. Dominowało drewno oraz kamień. Layne przejechał dłonią po na pozór surowej desce, jednej z wielu zasłaniających ścianę.

–Mówiłeś, że chcesz o czymś opowiedzieć – zaczął Ashcroft zasuwając storą szerokie drzwi balkonowe. – Ale może najpierw masz ochotę na kąpiel...? Layne pokręcił przecząco głową.

–Później... Myślę, że powinieneś wiedzieć już wszystko.

Ashcroft okręcił się w miejscu i ruchem dłoni wskazał stylową sofę pośrodku pokoju. Layne rzucił kurtkę na poręcz. Sam usiadł tak, by móc obserwować policjanta.

–Mów, a ja zrobię kolację – zdecydował Ashcroft. – O.K.?

Layne pomacał się po kieszeniach koszuli, potem zerkając na kurtkę skinął głową.

Ashcroft schylił się za kontuar i sądząc z odgłosów musiał wyciągać jakieś naczynia.

–Nie ma cudów – powiedział – Cadogan dostanie te swoje dwa po dziesięć. Layne uniósł głowę znad wyciągniętego notesu.

–Jakie dziesięć?

–Tysięcy wolt – Ashcroft ponownie ukazał się we wnęce kuchni. – Zjesz omlet?

Z szynką?

Layne skinął głową i stuknął palcem w drewnianą poręcz. Ułożony z rzecznych głazów

kominek zatrzymał na moment jego wzrok.

–Nie sędzę, żeby to, co powiem, wiele wyjaśniło – zaczął – ale myślę, że trzeba będzie inaczej spojrzeć na wasze morderstwa.

Rozbijając jajka Ashcroft zerknął na niego, później zdjął wiszącą na jednym z haczyków metalową trzepaczkę.

–Po pierwsze – powiedział Layne – nie przyjechałem tutaj przypadkiem. Postarałem się, aby wysłano mnie do was. Naturalnie nie myśl, że beze mnie nie przysłano by kogoś.

–Zawsze masz takie wstępy? – głos trzepaczki niemal zagłuszał Ashcrofta. Layne uśmiechnął się pod nosem.

–W Urzędzie Statystycznym co pięć lat dokonuje się przeglądu archiwum. Trzeba zniszczyć zdezaktualizowane zbiory i zrobić miejsce na nowe. Taką właśnie robotę zaczęliśmy w tym roku. Mnie przypadły stany Minnesota, Wisconsin, Illinois, Indiana i Michigan. Właśnie ten ostatni, a dokładniej jedno z miasteczek okazało się najciekawsze. Nawiasem mówiąc, dziwię się, dlaczego nikt podczas poprzednich przeglądów nie wyrzucił tych raportów. Chyba tylko dlatego, że były na najwyższej półce. Miasto nazywało się...

Ashcroft postawił z hałasem patelnię na parze.

–Zresztą nieważne, już od dawna nie istnieje. Jak wyczytałem w dostępnych mi źródłach, historia, która wydarzyła się tam w latach dwudziestych...

Ashcroft wsadził głowę w okienko.

–Dwudziestych?

–Tak, raporty policyjne, które znalazłem, dotyczyły okresu od początku 1921 roku do maja 1923.

Cmoknęły drzwi lodówki i Ashcroft wyjął pokryty żyłkami kawałek szynki. Pomachał w stronę Layne'a automatycznym nożem.

–Mów, mów...

–Miejscowa policja donosiła w raportach, że w latach 1920-1922 gwałtownie wzrosła u nich liczba morderstw bez motywacji, o ponad 25%.

Sprawne ruchy dłoni Ashcrofta ustały, ostatni plaster odkleił się sam od noża.

–Tak... – mruknął krzywiąc się w uśmiechu. – My jesteśmy lepsi.

Wzrok Layna omiółł drewniane belki stropu.

–Tak jak tutaj, zatrzymani nie przyznawali się do winy. Mogę się domyślać, że pisma kierowane przez komendanta do zwierzchników grzęzły gdzieś po drodze i chcąc nie chcąc policja sama musiała prowadzić śledztwo.

Zaskwierzało od strony wnęki, potem zaszumiał wyciąg. Layne uniósł notes.

–Mam tu nazwiska... – urwał. – W każdym razie wśród podejrzanym było wielu szanowanych obywateli, zresztą stany wokół Wielkich Jezior należały wtedy do najspokojniejszych. Mimo próśb o posilki policja stanowa nie reagowała i lokalne władze były już bliskie uznania, że mieszkańców ogarnął jakiś amok, kiedy raptem w październiku dwudziestego drugiego morderstwa skończyły się.

–To wszystko? – Ashcroft niósł dwa syczące omlety. Layne przysunął się do lawy i ujął sztućce.

–Nie, to dopiero połowa. Pod ostrym cięciem omlet ukazał swoją spieczoną różową zawartość.

–Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jeden szkopuł. Miasteczko leżało na terenach dawnych, osuszonych bagien. Od pobliskiego jeziora dzieliła je tylko sztuczna tama.

Ashcroft wycelował w Layne’a pustym widelcem.

–Która pękła...! – stwierdził niewyraźnym głosem.

–Dokładnie. Zniszczeniu uległo trzy czwarte zabudowy, zginęła prawie połowa ludzi. Lecz nie to jest najciekawsze. Wśród ocalałych znalazły się dwie osoby, które zeznały przed komendantem...

–Co...? – Ashcroft przelknął kęs. – Komisariat ocalał?

Layne nasunął okulary nadgarstkiem.

–Zabawne, ale tak. Był na wzniesieniu – uniósł nóż. – Posłuchaj. Na wiosnę 1923 roku jednostki naszej armii przeprowadzały w tamtej okolicy manewry. Chodziło o operację forsowania przeszkód wodnych dla dostarczenia zaopatrzenia jednostkom będącym w otoczeniu. Otóż ci dwaj świadkowie przysięgali, że bezpośrednio przed zniszczeniem tamy widzieli kilku saperów. Mieli zakładać ładunki wybuchowe.

Ashcroft odsunął talerz z nie dokończonym posiłkiem.

–Skąd masz takie informacje? – spytał idąc do części kuchennej. – Też z twojego urzędu?

–Nie. Skorzystałem z narodowej ustawy o dostępie do informacji i sięgnąłem do archiwów FBI. Po tej katastrofie zjawiała się ekipa z Detroit.

–Z Detroit?

–Tak. Leżało najbliżej. Ale i oni nic nie wskórali, mimo że wojsko zachowywało się co najmniej dziwnie.

Ashcroft pomachał wyjętą z lodówki puszką piwa i Layne przytaknął z aprobatą.

–Dziwne – kontynuował – gdyż zaraz po powodzi jednostki armii otoczyły zalany teren i nikomu nie pozwalały go opuszczać pod pretekstem groźby epidemii.

Dostarczono naturalnie namioty i żywność.

Ashcroft postawił puszkę przed Layne’em.

–Ciekawe tłumaczenie... Długo to trwało?

–Jeśli chodzi o śledztwo w sprawie wojskowych, to nie. Już po tygodniu ci z FBI dostali dokument stwierdzający, że nikt z operującego tam batalionu saperów nie opuszczał terenu manewrów. Eksperci wojskowi uważali, że pęknięcie tamy było wynikiem błędów w konstrukcji. Tego ostatniego nawet federalni nie zdzierżyli, ale wszystkie ich odwołania ugrzęzły gdzieś u góry. Formalnie sprawa skończyła się jednak dopiero w sierpniu 1923 roku.

Ashcroft z cichym stuknięciem odłożył puszkę na blat stołu.

–Dlaczego?

–Po prostu. Zdjęto kordon, dano ludziom zapomogę z funduszu federalnego i kazano wyjechać. Zresztą... – Layne pstryknął w wieczko. – Miasteczko praktycznie nie istniało.

Przyglądając brodę spojrzał na Ashcrofta.

–Kojarzy ci się z czymś sierpień 1923?

Ten zmrużył na chwilę oczy, lecz w końcu pokręcił głową.

–Mnie też nie od razu się kojarzyło – odrzucił głowę. – Zmarł nagle prezydent Warren

Gamaliel Harding.

–Oczywiście – Ashcroft klepnął się w kolano. – Siedemnasta poprawka do konstytucji. Roześmiał się głośno, aż Layne wytrzeszczył oczy.

–O co ci chodzi?

–To ta stara poprawka o prohibicji – wyjaśnił Ashcroft i wytarł usta. – Strasznie mnie kiedyś ubawiło, gdy przeczytałem, że w czasie prezydentury Harding nic sobie z niej nie robił i prywatnie popijał całkiem zdrowo.

Uśmiech znikł z jego twarzy.

–Sądzisz, że był za tym? O ile pamiętam, umarł na serce. Layne wyprostował się na sofie.

–Nic nie sądzę. Jedynie kojarzę fakty.

–A jakie jeszcze skojarzyłeś? Ręce Layne’a rozłożyły się na oparciu.

–O to chodzi, że żadne. Dlatego właśnie tu jestem. Patrzyli na siebie przez dzielącą ich powierzchnię ławy.

Popielaty pył, przedostający się do środka mimo zamkniętych okien, zaścielał podłogę klubu cienką, lecz wyraźnie widoczną warstwą. Slayton wytarł mokrą chusteczką siedzenie i oparcie fotela, ale nie zdążył w nim usiąść, kiedy drzwi otwarły się z hukiem, który spowodował brzęk szyb w szerokim barze i wolno zanikające drgania aluminiowej futryny.

–Nic nie mów – mruknął, stojąc ciągle zwrócony twarzą w kierunku w połowie zabudowanej ściany. – Zgadnę, kto wszedł z takim łoskotem. Aleksander Wielki?

–Nie.

–Napoleon?

–Nie.

–Neil Armstrong?

–Nie, do cholery. To osoba łącząca w sobie cechy ludzi, których wymieniłeś.

–A więc to ty, Kelly. Już wróciłeś?

–Do Jacksonville nie jest w końcu aż tak daleko – Kelly wszedł do środka, dźwigając sporych rozmiarów pudło przewiązane czerwoną wstążką. – Załatwiłem swoje sprawy, zobaczyłem się z bratem i...

–Z tym, który pracuje w Japonii?

–Tak, ojciec go przez to wyklął.

–Dlaczego? Twój stary nigdy nie był w tym kraju? Kelly zwałił się na wytarty przez Slaytona fotel i rzucił pudło na stół.

–W nim samym nie, ale kilkakrotnie był nad Japonią za sterami B-29. I ciągle ma ochotę polecieć tam powtórnie. Tym razem na pokładzie B-52.

–Domyślam się, że za pierwszym razem powodem był Pearl Harbour, ale dlaczego uprzedził się do nich po raz drugi?

–Japońscy celnicy. Dorwali jego siostrzeńca na granicy i znaleźli u niego kilka numerów Hustlera...

–Chyba go za to nie zaaresztowali?

–Jasne, że nie. Specjalny cenzor na lotnisku zamalował niezmywalnym tuszem co ciekawsze fragmenty zdjęć rozebranych pańienek.

Slayton skrzywił się z niesmakiem.

–Zaczynam rozumieć twojego starego. Kelly rozsupłał czerwoną wstążkę, otworzył pudło i podał je Slaytonowi.

–Przywiozłem ci coś z Jacksonville. Slayton sięgnął do środka i wyjął sporą, kolorowo ubraną lalkę.

–Cholera, to dla mnie? Kelly kiwnął głową.

–A mówi „mama”?

–Oczywiście, naciśnij. Slayton zwarł palce. Lalka nagle w dość charakterystycznym geście rozwarła

nogi, jednocześnie rozległ się cichy, mechaniczny głos.

–Chodź, kochanie. Chodź!

–Kelly! Ty świntuchu, miała mówić co innego.

–Włącz jej drugi bieg. Slayton ponownie ścisnął rękę. Lalka zaczęła drzeć i usłyszeli tym razem

gardłowy głos.

–Och, och, och, mamusiu!!!

–Kelly, przecież to orga... – Slayton urwał gwałtownie, rzucając lalkę na stół tak, żeby zasłoniło ją pudło. – Dzień dobry pani – wyjąkał czerwieniąc się lekko.

Kelly odwrócił się zaskoczony, ale na widok kobiety stojącej w drzwiach śmiech powoli zamierał mu na ustach. Właściwie trudno powiedzieć, że jej koszula

była przezroczyta, prędeziej można by się zastanawiać, czy w ogóle ją miała i czy lekki, niebieskawy cień wokół jej ramion nie jest przypadkiem efektem jakiegoś promienia światła padającego z tyłu. Krótka, opięta spódniczka odsłaniała jej nogi o linii podkreślonej przez wysokie obcasy letnich sandałków. Buty były tak wygięte, że przez dłuższą chwilę Kelly zastanawiał się, czy chociaż czubki jej palców dotykają ziemi. Spojrzał na Slaytona, ale ten pochylał się właśnie, żeby sprawdzić, czy długie, spięte na czubku głowy i splecione w gruby warkocz włosy sięgają podłogi. Nie sięgały. Ale stało się jasne, dlaczego przybyła musi nosić tak wysokie obcasy.

–Przepraszam, czy panowie są lekarzami?

–Tak, tak – odpowiedzieli jednocześnie.

–Och, to dobrze. Jestem Maureen Havoc – kobieta uśmiechnęła się, co równocześnie wywołało u nich automatyczne uśmiechy. – Chciałam odwiedzić męża.

–Bardzo nam miło – wyjąkał Kelly. – Zaraz panią zaprowadzimy.

Wzmianka o mężu zatrzymała go jednak w połowie skoku, którym zrywał się z fotela.

–W której sali leży?

–Słyszałam, że w pokoju czterysta dwanaście. Slayton podszedł do niej i wskazał ręką kierunek.

–To niedaleko, proszę pani. Zaraz tam będziemy. Maureen uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

–Właściwie to jestem w trakcie sprawy rozwodowej. Dlatego byłam w Bostonie i przyjeżdżam dopiero teraz. Ale kiedy usłyszałam o tym strasznym wypadku...

–Oczywiście – Kelly, kiedy usłyszał o rozwodzie, dogonił Slaytona prowadzącego kobietę.

Kilka razy potknął się, ponieważ wzrok jego przywarł do podrygującego w takt drobnych kroków warkocza, który ocierał się ciągle o długie, idealnie ukształtowane nogi. Dopiero kiedy stanęli przed białymi, pokrytymi dźwiękoszczelną wykładziną drzwiami, uzmysłowił sobie, skąd zna jej nazwisko i z czym kojarzy mu się numer pokoju. Slayton musiał także coś sobie przypomnieć, bo zasłonił sobą klamkę i starał się powstrzymać napierającą Maureen.

–Ale... ale tam nie wolno wchodzić.

–Dlaczego?

–Bo... Pani mąż jest... po prostu, nie wolno go niepokoić.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem.

–Proszę przestać klamać. Dlaczego nie mogę tam wejść?

–On jest... – Slayton nie potrafił dobrać odpowiednich słów. – Nie można go odwiedzać.

Maureen zrobiła krok do przodu, potem odwróciła się bokiem do Slaytona. Ten, chcąc uprzedzić jej następny ruch, skoczył ku lewemu skrzydłu drzwi. Maureen cofnęła się, błyskawicznie chwyciła klamkę i wbiegła do środka. Kelly poszedł jej śladem, choć wiedział, co

zastaną wewnątrz. Delikatnie ujął jej ramię i po chwili, kiedy minął pierwszy szok, wyprowadził ją z powrotem na zewnątrz.

–Czy... czy on – Maureen odetchnęła głęboko. – Czy on nie żyje?

–Żyje – rzucił krótko Kelly podsuwając jej paczkę papierosów. Kobieta wzięła jednego, włożyła złą stroną do ust, potem wyjęła i wrzuciła do ukrytej w ścianie popielniczki.

–Nie mogę – powiedziała. – Jestem uwarunkowana, po odwykówce.

Slayton kiwnął głową. Spojrzał jeszcze raz do środka pokoju na puste, zasłane z wojskową rutyną łóżko i ścianę milczących urządzeń o ściemniałych ekranach.

Zatrzasnął drzwi.

–Co z nim jest? Kelly wzruszył ramionami.

–Coście z nim zrobili?!?

–Przykro mi. Nie możemy nic powiedzieć na ten temat. Maureen położyła rękę na ramieniu Kelly’ego. Jej długie palce zakończone pomalowanymi na czarno paznokciami przesunęły się po jego szyi.

–Proszę, niech pan mi powie... Kelly zaprzeczył ruchem głowy.

–Gdzie on jest?! – krzyknęła nagle odwracając głowę. Slayton odruchowo spojrział w głąb korytarza.

–Tam? – Maureen pochwyciła to spojrzenie.

–Nie. Proszę zaczekać – zaczął, ale ona głośno stukając obcasami już biegła we wskazanym kierunku.

–Cholera... – Slayton i Kelly ruszyli za nią.

Nie spieszyli się jednak. Napotkali ją stojącą tuż pod szklaną ścianą przegradzającą korytarz. Również szklane, przesuwane drzwi opatrzone były napisem: „Strefa specjalnego nadzoru. Wstęp tylko dla personelu pierwszej grupy!” Powodem jej zatrzymania nie były ani drzwi, ani umieszczony na nich napis. Również stojący kilka kroków dalej strażnik nie wyglądał groźnie. Jego wzrok utkwiony był w miejscu, gdzie krótka spódniczka dziewczyny odsłaniała większą część jej kształtnych ud. Na pewno nie skorzystałby z wielkiego rewolweru przytroczonego do pasa, a być może nawet nie starałby się jej zatrzymać. Niestety, z całą pewnością nie można było tego powiedzieć o jeżącym groźnie sierść na karku wilczurze warującym tuż obok. Maureen odwróciła się powoli i, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podeszła do ściany.

–Czy George... czy mój mąż czuje się dobrze? – spytała.

–Chyba tak.

–Chyba? Kelly zniecierpliwiony potarł nos.

–Nie wiemy nic pewnego.

–Tak z nim źle?

–Mówiłem już pani, to skomplikowana sprawa i nie wolno nam z nikim rozmawiać...

–Ale dlaczego? Dlaczego go zamknęliście?

Ponieważ nikt jej nie odpowiedział, ciągnęła dalej.

–Właściwie sprawa rozwodowa jest w toku. Sądziłam nawet, że... że go nienawidzę, ale po tym wypadku nie mogę tak zostawić człowieka, z którym...

–Bil panią? Maltretował?

Uśmiechnęła się smutno.

–Czy trzeba bić, żeby małżeństwo uległo rozkładowi? – dotknęła ręką ściany. –

Chciałabym się jednak czegoś dowiedzieć. Czy ktoś z kierownictwa...

–Dyrektorem jest profesor Werner, ale...

–Ale on też nic mi nie powie, prawda?

Kelly opuścił głowę. Stali dłuższy czas w milczeniu, które przerwał dopiero odgłos rozsuwanych drzwi z litego szkła.

–Kelly, Slayton, chodźcie ze mną – głos Stazziego zdradzał zdenerwowanie. – Szybko.

–Tu jest pani Havoc, która...

–Do diabła ze wszystkimi, chodźcie natychmiast! Słuchaj, Bill – Stazzi zwrócił się do strażnika. – Przez te drzwi nie może nikt przejść, obojętne w którą stronę. Nikt, rozumiesz?

–Tak jest, panie majorze – strażnik nagle zaczął wyglądać groźnie.

Sierść na karku wilczura przypominała długie i ostre kolce jeżozwierza.

–Proszę na nas zaczekać – Kelly zrobił w kierunku Maureen przepaszający gest ręką. – Pomożemy pani, my wszystko... – nie dokończył ruszając za oddalającymi się Stazzim i Slaytonem.

Przebiegli większą część korytarza, tak że kiedy dotarli do izolatki, Kelly z trudem łapał powietrze.

–Co się stało? – wysapał starając się ukryć głęboki świst i rzęzenie towarzyszące każdemu oddechowi.

–Sprawdź go – Stazzi wskazał tonącą w półmroku wnękę dla pielęgniarek.

Kelly w pierwszej chwili nie – zauważył niczego szczególnego. Kolorowe opakowania lekarstw równo poustawianych na półkach, błyszczący telefon, interkom, lśniące monitory sprawiały wrażenie idealnego porządku. Dopiero opuszczając wzrok niżej dostrzegł jakiś skłębiony kształt wciśnięty pod małe biurko. Schylił się i wyciągnął rękę, przykładając dłoń do szyi leżącego. Potem uniósł jego powiekę, drugą ręką przytrzymując głowę, i stanął na równe nogi.

–Nic już nie można zrobić. Zgon nastąpił co najmniej godzinę temu.

Slayton podniósł leżącą na podłodze strzykawkę, przyjrzał się jej pod światło i położył na blacie biurka obok pustych szklanych fiolek.

–Morfina. Końska dawka.

–Kto to był? – spytał Kelly.

–Sanitariusz – Stazzi dotknął przewieszzonego przez poręcz krzesła fartucha. Chciał dodać coś jeszcze, ale przerwał mu odgłos kroków. Werner, Hutts i Woodward sprawiali wrażenie ludzi oderwanych od dobrej zabawy.

–Ktoś tu mówił o narkotykach, tak? – Werner zlustrował wzrokiem obecnych.

–Tak. Przyczyną zgonu jest najprawdopodobniej przedawkowanie morfiny – powiedział Kelly.

–Czy on był narkomanem? – Werner wskazał leżącego końcem buta.

–Nie. Stanowczo nie – mruknął Stazzi.

–Więc co się stało? Zabójstwo? Są ślady walki?

–Nie ma...

Hutts nachylił się nad ciałem.

–Ten człowiek skarżył mi się rano na wysoką gorączkę i uporczywy ból gardła...

–Czyli pomyłka? – wtrącił Slayton. – Tu obok leży pełna ampulka penicyliny. Mógł myśleć, że wstrzykuje sobie lekarstwo...

–Penicylina w takiej ilości? Bzdury. Poza tym, kiedy tylko poczuł dziwne objawy, dlaczego nie zwrócił się o pomoc? W końcu to fachowiec.

–Morfina to silny narkotyk. Mogło go ściąć od razu. Zresztą być może były inne powody – Slayton wzruszył ramionami.

–Zaraz – Werner zbliżył się do rozmawiających. – Kto leży w izolatce?

–George Havoc. Ten z wypadku w Centrum Studiów Atomowych.

–Cooo?! I siedział przy nim chory sanitariusz? Nie bacząc na zarazki?

–A to już nie moja sprawa – Hutts wołał się wycofać.

–Woodward!

–Tak?

–Pan jest szefem personelu pomocniczego. Co to ma znaczyć?

–Ja o niczym nie wiem – wyjąkał Woodward. – Ktoś inny ustalał dyżury.

–Kto?

–N... n... nie wiem.

Werner teatralnym ruchem wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki i otarł zbierający się nad brwiami pot. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi. Po chwili młody człowiek w białym kitlu podbiegł do Wenera.

–Pana córka płacze w gabinecie.

Werner rzucił chustkę na podłogę.

–Wreszcie skończę z tym bałaganem – wyszeptał przez ściśnięte zęby. – A panu, Woodward, radzę...

–Gdzie jest pacjent? – Hutts, który przed chwilą otworzył drzwi izolatki, stał teraz w progu z bezradnie opuszczonymi rękami.

Wszyscy zwrócili głowy w jego kierunku.

–Może wywieziono go na jakiś zabieg?

–Nie – Kelly stuknął palcem w wywieszony nad biurkiem grafik. – Powinien być tutaj.

–Przecież w tym stanie nie mógł wyjść o własnych siłach. Stazzi, niech pan coś zrobi.

Szef ochrony podniósł słuchawkę telefonu.

–Wszystkie korytarze w tym skrzydle są monitorowane – mruknął wystukując numer.

–Harry, to ty? – spytał przełączając odbiór na zewnętrzny głośnik.

–Tak, szefie – rozległ się zniekształcony, nienaturalnie gruby głos.

–Kto poza personelem pierwszej grupy przechodził granice segmentów?

–Nikt.

–Słuchaj, Harry, z izolatki zniknął chory, musiałeś kogoś widzieć. A może odwróciłeś się na dłuższy czas od ekranów?

–Nie, szefie. Patrzyłem bez przerwy. Na pewno nikt nie przechodził.

–A martwe pola?

–Ich rozkład znam tylko ja i mój zmiennik. Poza tym są jeszcze ruchome kamery. Ten facet, żeby przejść, musiałby nie tylko znać konfigurację pól, ale mieć także cholerne szczęście.

Stazzi zawahał się.

–Dobrze. To wszystko – chciał odłożyć słuchawkę na widełki, ale Werner wyrwał mu ją z ręki.

–Halo, pokój kontroli? Tu Werner. Ogłaszam alarm w całym budynku!

–Nie! – krzyknął Stazzi. – Nie wywołujmy paniki. Skądś z góry dobiegł ich stłumiony ryk alarmowej syreny.

–Mamy pójść na swoje stanowiska? – spytał niepewnie Kelly.

–Bez przesady – Stazzi wściekły na Wenera rzucił się biegiem wzdłuż korytarza wypełnionego nagle tupotem wielu nóg. Usłyszeli dźwięk pierwszej tłuczonej szyby.

–A my? – spytał Woodward.

–Zostańmy tutaj. Najlepiej przeczekać ten bałagan – powiedział Hutts.

Gdzieś z boku rozległ się świdrujący dźwięk gwizdka. Potem strzał, jeden, drugi – i znowu cisza.

–Chodźmy na dół. Mają go.

Ruszyli za Wernerem, starając się iść jak najbliżej ścian. Kotłowanina w korytarzach prawie ustalała, a strażnicy przepuszczali już wszystkich przez punkty kontrolne. Nie napotykając żadnych przeszkód zeszli do klubu, gdzie po chwili dołączył do nich Stazzi.

–Złapali go? – spytał Werner krążąc nerwowo po sali. Jakoś nikt nie chciał zająć żadnego z foteli. Stazzi potwierdził ruchem głowy.

–Żyje?

–Tak. Znalazłem go na szóstym piętrze.

–To było porwanie?

–Nie. Szedł sam. Ciągnął za sobą całe metry bandaży, zataczał się, ale szedł sam. Nie reagował na nic, nawet jak Jake strzelił na postrach...

–Mógł iść w takim stanie?

Stazzi wyciągnął papierosa. Najwyraźniej nie zamierzał odpowiadać.

–A czego szukał na górze? – Werner po raz kolejny przemierzył salę. – Nie, to nie może się tak skończyć... Możecie mi panowie wierzyć, że wyciągnę konsekwencje. Winni od razu mogą szukać innej pracy...

–Chrissy...

Werner zatrzymał się w pół kroku. Kelly widział, jak jego twarz robi się czerwona.

–Tyle razy mówiłem ci, żebyś się tak do mnie nie zwracała! – krzyknął nagle do stojącej przed wejściem dziewczynki.

Mała wbiegła do środka, ale okrzyk ojca sprawił, że stanęła w miejscu. W oczach błysnęły łzy, a broda zaczęła trząść się coraz bardziej.

–Tego jeszcze brakowało – Werner zaczynał tracić panowanie nad sobą. – Woodward, niech pan się nią zajmie.

Slayton, czując, co się stanie, skinął na Kelly'ego i powoli zaczął się wycofywać. Już w

drzwiach zauważył, że Woodward sięga po leżącą na stoliku lalkę i wciska ją dziecku.

Wrzask Wenera dogonił ich już w hallu, ale ani Slayton, ani Kelly nie zamierzali się zatrzymać. Zmusił ich do tego dopiero cichy kobiecy głos:

–To całe zamieszanie wynikało z powodu mojego męża?

Obaj odwrócili się jednocześnie. Maureen Havoc czekała oparta o jasny, polerowany filar podtrzymujący przeszklony dach. Obie ręce błdziły w okolicach naszyjnika, jakby starając się zasłonić to, czego w żadnym stopniu nie ukrywała koszula. „Intuicja? A może coś wie?” – pomyślał Kelly.

Slayton uśmiechnął się z zażenowaniem.

–Odprowadzimy panią. Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej.

Maureen nie stawiała żadnego oporu, kiedy wziął ją pod ramię i wyprowadził na betonowy podest na zewnątrz budynku. Tam jednak stanęli zdezorientowani, nie wiedząc, co robić dalej.

Oblepiające sąsiednie wzgórza namioty, przyczepy kempingowe i samochody musiały być w tej chwili zupełnie puste. Nieprawdopodobnie gęsty tłum czekał na coś, skupiony tuż za ogrodzeniem. Ludzie stali w prawie całkowitej ciszy, nieruchomi, obojętni na świecące im prosto w twarze zachodzące słońce, zdawali się trwać tak od bardzo dawna.

–Chodźmy stąd – szepnął nagle Slayton. – Wyprowadzę panią od tyłu, przez kuchnię.

* * *

Ashcroft kiwał się na krześle z nogami założonymi na blat. Nie bał się upadku, gabinet był na to za mały. Przerzucał kartki, gdy zadzwonił telefon.

–Ashcroft – zaczął, lecz ożywienie zgasło w jego oczach. – Tak, przyślij go. –

Jeszcze przez chwilę zastanawiał się, czy dzwonić do Layne’a. Statystyk od samego rana siedział przy najnowszym produkcie firmy CDC. Opuścił słuchawkę na widełki, kiedy dojrzał za szklaną szybą cienie dwóch sylwetek.

–Wejź, Freddie! – zawołał.

Widział, że uniesiona do pukania dłoń zawahała się, a potem ujęła klamkę. Z trudem wcisnęli się do gabinetu Ashcrofta.

–Przesłuchałem go – porucznik poruszył swoją starannie ostrzyżoną grzywką. – To na pewno coś dla nas.

Chudy policjant stał służbiście wyprężony i tylko raz zerknął ku wiszącej na ścianie karykaturze. Poprzedni użytkownik gabinetu najwyraźniej musiał ją wyciąć z „Playboya”. Policjant był chyba pierwszą osobą, która nie zareagowała. Ashcroft poczuł, że go nie lubi.

–Proszę mówić – mruknął, widząc, jak Freddie, chyba po raz trzydziesty, mruga radośnie na widok gazetowego wycinka.

–Pełniłem patrol w okolicach skweru Trawisa między dziesiątą wieczór a szóstą rano – policjant miał głos spikera radiowego. – Przechodząc o piątej dwadzieścia koło hotelu Sheraton zostałem zatrzymany przez kierownika nocnej zmiany. Ludzie wywożący śmieci znaleźli na zjeździe do podziemi ciało dwudziestoletniej Patrycji Holgen, zamieszkałej...

–Nieważne – Ashcroft uniósł głowę. – Szczegóły opiszecie porucznikowi.

Freddie, który bez zaproszenia nie odważył się usiąść na drugim krześle, stał wciśnięty w kąt. Policjant założył ręce za pas.

–Ustaliliśmy pokój w księdze meldunkowej i poszliśmy tam. Okno było zamknięte, mimo że dziewczyna leżała dokładnie pod nim. Zacząłem od przesłuchania sąsiadów.

Odpiął guzik i wyjął z kieszeni koszuli niewielki notatnik:

–Gość z 502, Drommet, twierdził, że nic nie wie. Drugi sąsiad z 498 powiedział za to coś ważnego. Przyznał, że kiedy wracał około drugiej nad ranem do pokoju, widział, jak Drommet pukał do drzwi pod pięćsetkę, i to, że Holgen wpuściła go. Świadek nie był sam. Łamiąc przepisy hotelowe szedł do siebie z kelnerką pracującą w tamtejszym barze. Ona również potwierdziła zeznanie.

Ashcroft z ciężkim westchnieniem zsunął nogi z biurka.

–Drommet twierdzi, że całą noc spał – zaczął zmęczonym głosem – a tamci mieli urojenia, bo nie jest lunatykiem.

Policjant uśmiechnął się niepewnie.

–Tak jest – odparł. – Słowo w słowo.

–Freddie, spisz dokładny raport – Ashcroft położył dłoń na przycisku. – I powiedz, aby przysłano mi go jeszcze dzisiaj.

Freddie odkleił się od ściany.

–Mam prowadzić śledztwo?

–Naturalnie – Ashcroft podrzucił budzik w dłoni. – To twoje zmartwienie.

–Ósme z kolei – mruknął porucznik o mało nie zderzając się w drzwiach z Layne'em. Ten mierząc go wzrokiem wszedł do pokoiku, wyjął papierosa z ust i wdusił w popielniczkę.

–Jeśli chciałeś rewelacji od statystyki – stwierdził – to już je masz.

Ashcroft wciąż trzymając budzik w dłoni ponownie założył nogi na blat. Layne zerknął na podeszwy jego butów.

–Rozmiar dziewięć – powiedział Ashcroft stukając butami o siebie. – Czy wyszła ci jakaś zgodność między mordercami a obuwem?

Layne skinął głową.

–Jasne, ci z dziewiątkami to dusiciele małych dziewczynek.

–Dobra, a poważnie? Layne patrzył na dłonie Ashcrofta wciąż obracające zegar.

–Okazało się, że większość morderców pochodzi z rodzin przybyłych do Stanów w czasie wielkiej imigracji. Jest to ich czwarte pokolenie.

–Kiedy była ta imigracja? – Ashcroft uniósł zdziwioną twarz.

–Szczyt przypadł na rok 1907, lecz cały okres zamyka się w latach 1900-1920.

W tym czasie przybyło do nas prawie 15 mln ludzi.

–I sądzisz, że ma to związek z tymi morderstwami?

Layne uśmiechnął się chytrze.

–Wciąż nie wierzysz w korelacje statystyczne – powiedział z wyrzutem. – A jednak tak jest.

–Zaraz! – Ashcroft odstawił budzik na biurko. – Jeśli już mówimy o zbieżnościach... Cała heca w tym miasteczku w Michigan bodajże zaczęła się w 1920...

Klepnięcie Layne'a przesunęło buty Ashcrofta o kilka centymetrów.

–Brawo, kowboju... a już myślałem, że na to nie wpadniesz.

Ashcroft zsunął stopy na podłogę i opierając się o kant biurka przechylił się do Layne'a.

–Chcesz powiedzieć, że twoje zakurzone raporty również mówiły o ludności napływowej?

–Niestety – Layne rozłożył ręce. – Policja nie zajmowała się pochodzeniem morderców ani ich rodziców. Lecz o ile mogę się domyślać, procent był wysoki.

–O czym, twoim zdaniem, świadczą te wszystkie zbieżności? – spytał Ashcroft i skrzywił się, słysząc brzęczyk telefonu.

Uniósł słuchawkę do ucha.

–Moment.

Layne przetarł palcami powieki.

–Nie powiem ci, do czego ten proces zmierza – odparł – ani co jest jego przyczyną. Wiem jedno: ma identyczny przebieg jak ta historia z lat dwudziestych... -zawiesił głos. – Zbadalem strukturę ludności twojego miasta i aż nie chce się wierzyć. Trzydzieści procent mieszkańców to potomkowie uciekinierów z tego jednego jedyne miasteczka w Michigan. Jakimś nieprawdopodobnym, aby nie rzec niemożliwym, zbiegiem okoliczności osiedlili się tutaj.

–Zwariowałeś. Musieliby się zmówić... – Ashcroft wciąż zakrywał tubkę mikrofonu.

Layne stanowczo pokręcił głową.

–To niemożliwe. Nigdy nie ma się pełnych danych, ale z tego, co wiem, widać wyraźnie, że nie mogli utrzymywać żadnych kontaktów.

–Do diabła – zaklął Ashcroft. – Kto mógł do nas przyjechać... – Przypomniał sobie o słuchawce i z warknięciem przystawił ją do ucha.

–Mów, Lionel.

Layne miał okazję zobaczyć, jak twarz Ashcrofta ciemnieje. Potem najwyraźniej bez celu rozpiął i zapiął guzik pod szyją.

–Dobrze – stwierdził na koniec. – Sprawdzaj to dalej.

Aż dziw, że telefon nie rozleciał się pod ciężarem słuchawki.

–Dwa trupy – powiedział. – Na przystani. Jakiś człowiek zepchnął dwóch mężczyzn prosto między nabrzeże a cumujący okręt wycieczkowy.

–Utopili się!

–Nie zdążyli – Ashcroft przejechał palcami po twarzy. – To już drugi przypadek dzisiaj.

–Neal... to rośnie.

Ashcroft pochylił głowę tak nisko, że widać było tylko bujną czuprynę.

–Wiem – zabrzmiał głuchy głos. – A ty mi tu serwujesz idiotyczne zbiegi okoliczności. Może jeszcze jakąś klątwę Tutenchamona...?

Uniósł głowę i spojrzał w przesłonięte okularami oczy Layne'a.

–W porządku – powiedział po chwili. – Przepraszam, trochę przesadziłem.

Layne nie musiał nic mówić. Głośny stukot w szklaną szybę drzwi był wystarczająco natarczywy.

–Wejść! – krzyknął Ashcroft, a potem zamarł z na wpół otwartymi ustami.

–Kim pani jest? – spytał wreszcie. Kobieta podchodząc do biurka zdążyła jeszcze posłać uśmiech w stronę

Layne'a.

–Ten oficer na dole skierował mnie tutaj – powiedziała stukając wysokimi

obcasami. – Chcę złożyć zażalenie na Szpital Wojskowy.

Layne przestał się gapić na obcisły sweterek spięty w talii paskiem, bez wątpienia nieseryjnej produkcji, i spojrział na Ashcrofta. Ten miał nieszczęśliwą minę.

–Człowiek na dole – odezwał się wreszcie – nie jest oficerem... Nie rozumiem, dlaczego skierował panią do mnie.

Kobieta przerzuciła swój gruby warkocz na plecy, nieomal policzkując Layne'a. Sądząc po grubości, warkocz również nie był seryjnej roboty.

–Ten człowiek powiedział, że pan jest od nietypowych spraw. Spojrzenia obydwu mężczyzn skrzyżowały się.

–Co to znaczy nietypowych...? – zaczął Ashcroft, lecz kobieta przerwała mu:

–Jestem Maureen Havoc, mój mąż George miał wypadek w zakładach atomowych, a teraz jest przetrzymywany w szpitalu.

Stała tak, że Layne nie mógł nie pomyśleć o jej nogach. Odsunął się na tyle, na ile pozwalała mu ściana.

–Co to znaczy: jest przetrzymywany? – Ashcroft był zirytowany. – Skąd takie podejrzenia?

–Byłam tam wczoraj, nie chcieli mnie dopuścić do niego. Boję się, że robią na nim jakieś eksperymenty.

Ashcroft krzywiąc z niechęcią twarz zerknął za okno. Niebo było gładkie jak emaliowana patelnia.

–Nie przesadzajmy, to koniec XX wieku...

–Ale tam, w samym szpitalu, coś się działo – Maureen Havoc była nieustępliwa. – Słyszałam jak mówili, że ktoś zmarł w dziwny sposób. Pan musi mi pomóc.

Ashcroft odwrócił twarz od okna.

–Zmarł – powtórzył. – W szpitalach ludzie często umierają, statystycznie częściej niż gdzie indziej – łypnął w stronę Layne'a.

–Dobrze – powiedział po chwili. – Wyjaśnimy to, ale proszę nie histeryzować.

Layne uniósł się z krzesła równo z nim.

–Przepraszam – powiedział przyglądając brodę. – Długo pani hodowała warkocz?

Dziewczyna uśmiechnęła się chwytając sploty w palce.

–Ładny, prawda? – stwierdziła przesuwając po nim dłonią i wyszła za Ashcroftem.

Layne'owi nie pozostało nic innego, jak tylko postawić budzik na właściwe miejsce.

* * *

–Zakochałem się – powiedział Slayton, patrząc na szare, nieciekawe kobiety przechodzące korytarzem.

–W kim? – spytał Kelly.

–Czy to ważne? W tej chwili jest mi wszystko jedno – Slayton włożył do ust papierosa. – Nuda panująca w tym ośrodku doprowadziła mnie do takiego stanu, że runę do stóp pierwszej kobiecie, która pojawi się w tych drzwiach.

–To będzie miłość twojego życia?

–Tak.

Kelly zaciekawiony wystawił głowę na zewnątrz.

–O rany, chodźmy stąd – cofnął się i popchnął Slaytona na taras. – Nie chcę, żebyś resztę życia spędził na kontemplacji mioteł i odkurzaczy.

Ruszyli wzdłuż szeregu przyciemnionych szyb, starając się trzymać cienia rzucanego przez światłochron.

–Gdzieś tutaj jest chyba gabinet Wernera – Kelly przesłonił ręką łzawiące od blasku oczy.

–Tego starego pryka? Nie, to te okna tam, na lewo.

–A skąd... Ten tłusty sklerotyk pracuje tam, bardziej w prawo.

Okno, pod którym stali, rozsunęło się z głuchym łoskotem.

–Obaj się mylicie, jestem dokładnie pośrodku – nabrzmiała twarz Wernera nie wyrażała żadnego uczucia.

Kelly w pierwszym odruchu rzucił się do ucieczki, ale wpadł na Slaytona i obaj zatoczyli się w kierunku barierki.

–Ostrożnie – syknął Werner. – Proszę do środka, właśnie miałem was wezwać... Nie przez okno, drzwiami – wtrącił widząc usiłowania Kelly'ego. – Mamy ważną naradę.

Wewnątrz, wokół dużego stołu konferencyjnego, siedziało jednak tylko kilka osób. Zdenerwowany Woodward przerzucał leżące przed nim papiery, zerkając co chwila w stronę Stazziego.

–Chcielibyśmy bardzo przepro... – zaczął Slayton, ale Werner powstrzymał go ruchem ręki.

–Siadajcie – warknął. – A pana, profesorze, prosiłbym o uzasadnienie swojego wniosku.

Hutts zdjął z nosa grube okulary w staroświeckiej oprawie, przez chwilę przecierał je rogiem marynarki, potem położył na stole.

–Na czym to ja skończyłem? Aha, uważam, że decyzja przewiezienia George'a Havoca do Fort Dilling jest podyktowana wyłącznie motywami, nazwijmy to, prestiżowymi. Sądzę, że pan osobiście, panie dyrektorze, chce w ten sposób udowodnić dowództwu, że ponad własną sławę, wynikłą z zajęcia się tak ciekawym przypadkiem, stawia wyżej obowiązek wobec zwierzchników. Źle pojęty obowiązek, ma się rozumieć.

Werner zachnął się i zabębnił palcami po stole.

–Może konkretnie, kolego.

–Proszę bardzo. W Fort Dilling istnieje analogiczny w stosunku do naszego medyczny ośrodek badawczy podporządkowany armii. Jest rzeczywiście większy i drożej wyposażony, ale założono go dobre kilkanaście lat przed naszym i, mimo kilku przeprowadzonych kolejno aktualizacji sprzętu, śmiem twierdzić, że tu na miejscu dysponujemy dużo nowocześniejszą aparaturą i fachowcami co najmniej równej klasy.

–Rozumiem, że jest pan za tym, żeby pacjenta nie wywozić?

–Tak, oczywiście.

–A ja jestem za natychmiastowym odtransportowaniem pana Havoca – wtrącił się Woodward. – To, co zaszło w jego organizmie, wymaga badań przeprowadzonych przez bardziej kompetentne osoby niż my.

–W Fort Dilling nie ma nikogo takiego poza bonzami z dowództwa – Hutts położył na stole

obie dłonie unosząc się lekko z fotela. – A ich chyba nie uważa pan za bardziej kompetentnych.

–Stamtąd skierują pacjenta dalej. Na pewno znajdą kogoś, kto potrafi zanalizować porządnie tak skomplikowany przypadek.

–Nie demonizujmy właściwości Havoca...

–Przyzna pan jednak, że jego wyzdrowienie nie jest normalne. Sam pan mówił, że kiedy odłączyliście ciało od aparatury, to...

–Ależ kolego, wtedy byłem po prostu zaskoczony tym, co się stało.

Woodward podniósł jakiś papier i zmrużył oczy.

–A teraz, kiedy minął szok, czy zdoła pan wytłumaczyć, dlaczego... –

Woodward zaczął czytać: – „Po odłączeniu aparatury wszystkie organy pacjenta uznanego za zmarłego zaczęły funkcjonować normalnie, w niespotykanym tempie zresorbował się wylew krwi do mózgu, najprawdopodobniej nie pozostawiając żadnych uszkodzeń”.

–To jeszcze pytanie – wtrącił Hutts.

Woodward nawet na niego nie spojrział.

–Dlaczego zrosła się prawie rozcięta wątroba?! – ciągnął. – Dlaczego poważnie uszkodzona nerka podjęła pracę...

–Tylko jedna.

–Bo drugą panowie usunęli.

–Panie Woodward, żeby odpowiedzieć na powyższe pytania, musimy przeprowadzić całą serię badań...

–W Fort Dilling.

–Nie, tutaj.

–Panowie, panowie, spokojnie – przerwał im Werner. – Zanim nasza debata przerodzi się w dyskusję nad niesamowitymi rzeczywiście zdolnościami pacjenta, ustalmy najpierw, co z nim zrobić. Pan Stazzi – Werner odwrócił się w drugą stronę -oczywiście jak zwykle nie chce zabierać głosu?

–Wprost przeciwnie – odezwał się Stazzi. – Jestem za natychmiastowym wywiezieniem stąd George’a Havoca. W przeciwnym razie mogę nie być w stanie zapewnić bezpieczeństwa pracownikom ośrodka.

Wszyscy siedzący wokół stołu spojrzeli na niego zaskoczeni.

–Jak mamy to rozumieć? – spytał Hutts.

–Od czasu incydentu z próbą ucieczki postawiłem przed jego pokojem dwóch strażników. Dzisiaj w nocy odwiedziłem ich – obaj spali.

–Czy byli pod wpływem jakichś środków?

–Nie... – Stazzi potrząsnął głową. – To moi najlepsi ludzie. Gdyby jeden z nich zasnął na służbie, powiedziałbym, że to nieprawdopodobne, ale spali obaj. Jeszcze wczoraj przysięgłbym, że to zupełnie niemożliwe.

–Co jeszcze?

–Poza tym nie wyjaśniono do końca sprawy śmierci pielęgniarza. Moim zdaniem było to morderstwo...

–Sądzi pan, że zrobił to Havoc? – spytał Werner.

–Nie wiem. Nie wiem też, w jaki sposób ktokolwiek zdołałby wstrzyknąć mu bez walki

taką dawkę morfiny, ale jest faktem, że strzykawka była wytarta – bez żadnych odcisków.

–Może zrobił to sam sanitariusz? W malignie robi się różne rzeczy. Stazzi wzruszył ramionami.

–A co na to policja?

–Przysłali jakiegoś aspiranta. Czytałem jego raport. Ewidentny przypadek samobójstwa.

–A więc policja zbagatelizowała sprawę?

–Tego nie powiedziałem, ale wszystkie ekipy wydziału zabójstw pracują po osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę. Podobno w mieście rośnie fala morderstw.

Werner powoli przyglądał włosy.

–Tak, rozumiem – powiedział cicho z zamyślonym wyrazem twarzy. – A panowie? – zwrócił się nagle w bok.

–Wywieźć. – Zostawić – powiedzieli jednocześnie Slayton i Kelly i spojrzeli na siebie zdziwieni.

Slayton chciał, żeby pacjent został w ośrodku, bo lubił Huttsa, a Kelly poparł Wenera, żeby zatrzeć jakoś wrażenie idiotycznej wpadki na tarasie.

–No cóż, w takim razie pan Havoc pojedzie jednak do Fort Dilling, i to jak najszybciej – Werner wyglądał na zadowolonego. – Stazzi, pan zajmie się transportem. Nie chcę, żeby zaszły jakieś niespodziewane...

–Oczywiście. Przykuję go do jednego ze strażników i dam obstawę.

–Doskonale. Panowie Slayton i Kelly – w oczach Wenera na moment pojawił się zły błysk – również pojedą razem z nim, żeby w razie potrzeby udzielić pomocy lekarskiej.

–Jeszcze chwileczkę – Stazzi powstrzymał wstających naukowców. – Żeby nie przedłużać sprawy, proponuję ewakuować pacjenta natychmiast. Czy szpital docelowy został powiadomiony?

–Tak. Poczyniłem z nimi wstępne ustalenia – powiedział Werner. – Zaraz zatelefonuję i wszystko potwierdzę.

Stazzi skinął głową.

–W takim razie proszę panów o zaczekanie na dole.

Kelly dał znak ręką, że słyszy, i ponury powlókł się za Slaytonem.

–Słyszales? – spytał, kiedy usiedli na betonowym obmurowaniu parkingu. – On powiedział „ewakuacja”.

–Sądziś, że jest aż tak źle? Może po prostu Stazzi stosuje wojskowy żargon albo chce się popisać przed Wernerem.

–Nie, synu – Kelly w lincolnowskim geście wyciągnął rękę przed siebie. – Nie wiem jak ty, ale ja zaraz zacznę symulować ostre bóle brzucha. Nie zamierzam ulec jakiemuś wypadkowi podczas jazdy.

–Tylko nie udawaj ataku ślepej кишки, bo ci ją niepotrzebnie wytną -powiedział Stazzi, który nagle pojawił się w drzwiach.

Kelly wstrząsnął się i skrzywił, jakby coś zaczęło palić mu gardło. Slayton uśmiechnął się lekko.

–Masz dzisiaj pecha, Kelly – mruknął, a potem dodał głośno: – Już jedziemy?

–Tak – Stazzi wskazał na boczne wyjście ocienione szerokim okapem. Z cienia wynurzył się właśnie Havoc przykuty kajdankami do rosłego strażnika.

Szedł tak spokojnie i pewnie, że Slayton nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż widzi innego człowieka. Tamten Havoc, pokiereszowana i napromieniowana ofiara wypadku, nie żyje, w tym czasie zamieniono ciała i teraz zajmują się kimś innym, człowiekiem, który dla siebie tylko znanych celów postanowił udawać chorego. Slayton dopiero teraz zauważył, że za skutą dwójką idzie jeszcze jeden mężczyzna w garniturze, którego lewą stronę defasonuje ukryty pod pachą duży przedmiot. Jeszcze bardziej z tyłu, od strony hallu, zbliżał się Woodward i dwóch żołnierzy z karabinami przewieszonymi przez plecy.

Slayton podniósł się ociężale i skinął na Kelly'ego.

–Mamy być z wami w furgonetce czy możemy jechać własnym wozem?

–Jak wolicie. Gdybyście chcieli, to w jeepie żołnierzy są dwa wolne miejsca. Gdzieś z boku rozległ się charakterystyczny odgłos zapuszczanego silnika.

–Mam nadzieję, że policzą nam to jako nadgodziny? I tak jestem nieprzytomny od siedzenia w laboratorium...

Wielka niebieska limuzyna wyłoniła się z szeregu aut w równych rzędach ustawionych na parkingu.

–Kłóćcie się z Wernerem. To nie moja sprawa.

–Ale chyba wrócimy przed wieczorem. Gdzie jest ten cholerny Fort Dilling?

–Przed jutrzejszym wieczorem na pewno. Luksusowy samochód błysnął niebieskim lakierem w promieniach lekko

czerwieniejącego dopiero słońca i warcząc cicho równo pracującym silnikiem sunął w kierunku zbliżającej się z boku grupy ludzi. Pierwszy, czego najmniej można się było spodziewać, zareagował Woodward.

–Hej tam, stać! – krzyknął i podbiegł kilka kroków do przodu. – Stać, do cholery, co to za głupie kawały!

Limuzyna skręciła nagle i wyjąc przeciążonym silnikiem ruszyła prosto na Woodwarda. Ten zatrzymał się i żeby wyminąć sunącą na niego bryłę metalu, skoczył w prawo. Kiedy samochód skręcił również, mężczyzna odwrócił się błyskawicznie i ruszył w lewo. Kierowca musiał przewidzieć jednak ten manewr, bo rozległ się świdrujący uszy pisk opon i potężny, lśniący od niklu zderzak wyrzucił Woodwarda w powietrze. Ciało lecąc obróciło się kilkakrotnie i z potworną siłą uderzyło w ścianę budynku.

–Otworzyć ogień! – krzyknął Stazzi. – Strzelajcie, do cholery, na co czekacie!

Przerażony wartownik przy głównej bramie opuścił szlaban i jednym skokiem przesadził metalowe ogrodzenie. Samochód nie zamierzał jednak opuszczać terenu ośrodka. Zgrabnie zawrócił tuż przed stalową rurą zagrządzającą mu drogę i ruszył z powrotem. Dwóch żołnierzy szamotających się ze swoimi M-16 nagle zwolniło ruchy. Zupełnie sprawnie jeden obok drugiego położyli się na betonie i spokojnie wycelowali. Huk strzałów zlał się w jedno z łoskotem pustych beczek roztrącanych zderzakiem.

–Nie w opony – ryknął Stazzi. – W niego! Strzelajcie w kierowcę!

–Rany boskie, tam nikogo nie ma! – odezwał się ktoś z tyłu. Kelly obejrzał się, ale usłyszał już tylko zanikający tupot stóp.

–Za kierownicą rzeczywiście nikogo nie ma – Slayton przykląkł za ceglanym murkiem otaczającym podjazd.

–Bzdury! – Stazzi wyrwał z kieszeni rewolwer i kucnął obok niego.

Samochód tymczasem zrobił kolejny zwrot i ruszył prosto na leżących żołnierzy. Jeden z nich odrzucił karabin i odturlał się na bok, a drugi zerwał się na równe nogi przykładając kolbę do ramienia. Zdażył opróżnić cały magazynek zanim pogięty zderzak ściał go z nóg i wbił między stalowe pręty ogrodzenia. Silnik zawył na tylnym biegu i limuzyna, ciągnąc za sobą odstrzeloną pokrywę silnika, ruszyła do tyłu. W wartowni otworzyły się drzwi i żołnierze grupkami wydostawali się na zewnątrz repetując w biegu karabiny.

–Ognia! Ognia! – krzyczał Stazzi.

–Na ziemię, Kelly! – ryknął Slayton. – Jesteśmy prawie na linii strzału. Żołnierze ustawieni w nieregularną linię zaczęli strzelać do manewrującego tuż przed parkingiem samochodu. Prawie ciągły grzmot wystrzałów mieszał się z odgłosami roztrzaskiwanych szyb i masakrowanych karoserii pojazdów ustawionych na parkingu.

–Z czego się śmiejesz, wariacie? – Slayton z trudem przekrzykiwał wycie kul i przeciągłe gwizdy rykoszetów.

–Zaparkowałem swojego datsuna z tyłu, z dala od tego tu... – wrzasnął Kelly. – Nie przejmuj się, bredzę. Jestem w szoku.

–Dostali go! – Stazzi wychylił się z za obramowania podjazdu. – Niech to jasny szlag trafi, mają go.

Tuż przed nimi przetoczył się, podziurawiony seriami jak sito, wrak luksusowej limuzyny. Pobrzękująca w nagle zapadłej ciszy góra pokieroszowanej blachy, kłapiąc przestrzelonymi oponami, sunęła coraz wolniej, by wreszcie uderzyć w stojącą kilkadziesiąt kroków dalej cysternę.

–Padnij! Wszyscy, padnij!

Kelly i Slayton runęli na ziemię obok siebie. Stazzi słyszał jeszcze klekot rzucanych na asfalt karabinów i czyjś okrzyk. W niemal zupełnej ciszy przeleżał prawie minutę, a potem uniósł głowę. W tym momencie ogłuszająca eksplozja rzuciła go z powrotem na ziemię. Kiedy ponownie uniósł głowę, słup ognia wznosił się ponad dach budynku szpitala. Z tyłu i z boków znowu rozległ się pospieszny tupot wielu nóg i nawoływania, ale Stazzi podniósł się wolno, niespiesznie ocierając krew z czoła.

–Panie majorze, ewakuować ludzi ze wszystkich zabudowań? – jakiś kapral wymachujący karabinem zbliżył się do niego.

Stazzi zaprzeczył ruchem ręki.

–Jeśli nie zerwie się większy wiatr, nic im nie grozi. Cysterna była prawie pusta. Gdzie jest Havoc z obstawą?

–Zaraz sprawdzę, proszę pana.

Kapral znikł za grupą ludzi ciągnących gaśnice. Z okolic bramy doszedł ich głos wzmocniony przez ręczny megafon.

–Proszę się rozejść! Proszę się rozejść i nie utrudniać akcji ratowniczej. Jeżeli nie zrobicie drogi dla wozów strażackich, usuniemy was siłą!

–To znowu ci „turyści” z namiotów i przyczep – Slayton rozcierał potłuczone kolana. Kelly patrzył na swoje drżące dłonie.

–Chodźmy stąd – powiedział po chwili. Nie zdążyli jednak zrobić ani kroku, kiedy wrócił kapral.

–Panie majorze, nigdzie nie ma ani pana Havoca, ani skutego z nim strażnika.

–A człowiek z obstawy?

–Leży przy głównej bramie.

–Leży?

–Tak. Został zastrzelony. Stazzi zamyślił się na moment.

–Może to była przypadkowa kula?

–Nie. Żołnierze używali karabinów M-16, a on dostał z dużego kalibru. To był pistolet co najmniej 9 mm.

Stazzi pomacał policzek i wypluł wybity ząb.

* * *

Wielki samochód szumiąc oponami kołysał się łagodnie, ledwie reagując na nierówności szosy. Malejąca z każdą chwilą poświata zachodzącego słońca została z

tyłu, ale większość zdążających w przeciwnym kierunku kierowców pozapalała już reflektory, tak że Ashcroft oślepiony mrużył co chwilę oczy. Layne wystawił głowę przez boczne okno i, osłaniając twarz dłonią, usiłował odczytać migające w szybkim tempie numery rejestracyjne.

–Nic nie widzę – powiedział cofając się do wnętrza. – Ale przysięgłbym, że ci wszyscy ludzie są z miasta.

–Nie wiem, co się stało – Ashcroft pochylił się w jego stronę nie spuszczając wzroku z przedniej szyby. – Ta droga nigdy nie była tak nabita. W zasadzie prowadzi donikąd.

–Do Wojskowego Ośrodka Medycznego.

–Sądziś, że to coś znaczy?

Layne wyjął i zapalił papierosa.

–Jako jedyny w tym kraju umrzesz śmiercią naturalną – mruknął na widok krzywiącego się Ashcrofta.

–Swoją drogą, zastanawiam się, co jest w tej kobiecie – dodał strzepując resztki muszek, które przykleiły się do wierzchu dłoni.

–W której?

–Myślę o Maureen Havoc. Powiedzmy, że jest bardziej niż pociągająca. Ale czy można w ten sposób wytłumaczyć fakt, że na widok najładniejszego nawet tyłka dwóch ludzi odrywa się od ważnej roboty i biegnie spełnić jej życzenie?

–Kobiety mają swoje sposoby...

–Mylisz się. Kobiety mają tylko swój jeden sposób. Ale nie sądzę, żeby teraz właśnie o to chodziło.

Layne zaciągnął się głęboko, a potem wypuścił dym wąską strużką.

–Jest coś w pani Havoc, co... – przerwał nagle opierając wolną rękę na maskownicy.

Ashcroft nacisnął gwałtownie hamulec, potem puścił go i silnym szarpnięciem kierownicy skierował samochód na prawe pobocze. Tuż przed ograniczającym drogę pasmem uschniętych drzew skręcił ponownie i stosunkowo płynnie wrócił na jezdnię. Wszystko odbyło się tak szybko, że nieprawidłowo wyprzedzający furgonetkę kierowca brązowego buicka najprawdopodobniej niczego nie zauważył.

–Wariat – powiedział Layne zduszonym głosem. – Ale trzeba przyznać, że nieźle uczą was jeździć tu na Południu.

Ashcroft kiwnął głową.

–Nie zazdroszczę dzisiejszej nocy facetom z drogowki. A wracając do naszej rozmowy, to rzeczywiście, cały czas wydaje mi się, że już gdzieś ją widziałem. Długi warkocz, charakterystyczny sposób chodzenia...

–Nie o to mi chodzi – Layne zdmuchnął z kolan rozsypany popiół. – Ten budynek na horyzoncie to już szpital?

–Tak. Zaraz będziemy.

Minęli szereg płaskich, piaszczystych pagórków. Na każdym z nich mimo zapadających ciemności widać było ślady pobytu dużej liczby ludzi. Dalej, w pobliżu ponurej w swym oszalałym funkcjonalizmie budowli dziesiątki, a może setki postaci uwijały się, składając namioty i pakując bagażniki swych samochodów. Ashcroft zwolnił i z trudem zaczął przepychać się przez powstały korek. Layne znowu wystawił głowę przez okno.

–Przepraszam – krzyknął w kierunku wąsatego mężczyzny, zdającego się drzemać za kierownicą jaskrawoczerwonego jeepa. – Czy tu był jakiś zlot? A może protest?

–Nie, skąd. Przyjechaliśmy z siostrą trochę wypocząć. Żona została w mieście.

–Ale dlaczego tutaj? Tamten wzruszył ramionami.

–Tak samo dobre miejsce jak każde inne...

–A wy? – Layne zwrócił się w stronę rozczochranych dziewczyn opieszale tankujących z kanistrów rozklekotaną półciązarówkę.

Jedna z nich miała na sobie tylko obcisłe szorty.

–A co cię to obchodzi, yeti?

–Fakt, mógłby zgolić brodę. Nie cierpię, jak mężczyźni laskoczą włosami –dodała któraś z tyłu.

–Powiedzcie, dlaczego tu przyjechaliście? Przecież w tym zakątku temperatura w dzień praktycznie nie spada poniżej dziewięćdziesięciu ośmiu stopni!

–Myślisz, że o tym nie wiem? – powiedziała ta w szortach.

–Layne dopiero teraz zauważył na jej plecach rozległe ślady po oparzeniu słonecznym.

Gdzieś w pobliżu rozległ się huk wpadających na siebie samochodów.

–A pan? – spytał Layne przechodzącego obok wyrostka. – Po co pan tu przyjechał?

Chłopak spojrział na niego niechętnie.

–Trzeba było się w końcu wyrwać z miejskiego smrodu.

–Ale dlaczego tutaj?

–Powieś się pan razem ze swoimi wątpliwościami! Ashcroft wykorzystując lukę w zwartym strumieniu pojazdów, powstała na

skutek wypadku, ruszył ostro do przodu. Ignorując wściekle wycie klaksonów skręcił w lewo i stanął przed opuszczonym szlabanem, który blokował wjazd na teren ośrodka.

Wartownik widząc policyjną odznakę Ashcrofta przepuścił ich, ale zaraz potem opuścił szlaban tak szybko, że tylko mocy ośmiocyndrowego silnika mogli zawdzięczać nienaruszenie bagażnika. Zaraz jednak zatrzymali się znowu. Młody mężczyzna w idealnie odprasowanej koszuli i z krawatem przypiętym prostokątną, charakterystyczną dla naukowców z lat sześćdziesiątych spinką, podszedł do nich z boku machając ręką. Drugi, w trochę przybrudzonym lekarskim kitlu, włożył pod koła ich samochodu deskę najeżoną sterczącymi

gwoździami. Ashcroft wyjął swoją odznakę, ale zanim zdążył zdjąć z niej skórzaną osłonę, młody człowiek w krawacie wsadził przez boczne okno rękę i mocno uderzył go w kark.

–Chyba w porządku – powiedział. – Wyglądają na żywych ludzi, a nie na halucynacje...

–Co jest? O co tu chodzi? – krzyknął Ashcroft usiłując otworzyć drzwiczki, ale tamten przytrzymał je kolaniem.

Layne w poszukiwaniu pomocy spojrzął na stojących niedaleko żołnierzy, ale ci wydawali się sympatyzować z poczynaniami oprawców.

–Jestem z policji! Wasze nazwiska!

–Kelly – powiedział facet w krawacie. – A ten tam to Slayton.

–Policzę się z wami.

–Przecież powiedziałem, że w porządku. Możecie jechać. Ashcroft wściekle przycisnął pedał gazu. W sekundę później jednak zwolnił go

znowu. W pierwszej chwili wydawało się, że syk uchodzącego z opon powietrza podziałał na niego uspokajająco.

–Chyba zapomniałem zabrać tę cholerną deskę – mruknął Slayton.

Ashcroft powoli wysiadł z samochodu. Mimo prawie całkowitych już ciemności mrużył oczy.

–Kelly i Slayton, tak? – spytał cicho. Tamci wyglądali na trochę skonfundowanych, ale potwierdzili.

–Możecie być pewni, że zapamiętam wasze nazwiska.

–Spokojnie, panowie – z tyłu rozległ się czyjś niewyraźny głos. – Jestem Carlo Stazzi, kierownik ochrony ośrodka. Przepraszam za wszystko. Zapłacimy za opony.

Layne dopiero teraz zdecydował się wysiąść.

–Proszę nie brać ludziom za złe tego, co robią – Stazzi cały czas trzymał namoczoną w czymś chustkę przy spuchniętym policzku. – Nie sądziliśmy, że przybędziecie panowie tak szybko, a to, co się tu wydarzyło...

–Właśnie, co z Hawokiem?

–To już panowie o wszystkim wiecie? Ashcroft spojrzął na niego zdziwiony.

–Przyjechaliśmy z powodu skargi pani Maureen Havoc.

–Nie dostaliście naszego wezwania?

–Nie. Ale jeżeli wzywaliście niedawno nasz patrol z miasta, to nie przybędzie szybko. Na drodze jest straszny korek. Mimo wszystko może usłyszymy jednak, co tu się dzieje?

Stazzi zmienił położenie chusteczki.

–Właściwie to sprawa jest ta sama. George Havoc uciekł.

–Był waszym więźniem?

–Pacjentem.

–Ale to na jedno wychodzi, prawda? – wtrącił Layne. Stazzi spojrzął na niego krzywiąc usta.

–Mam nadzieję, że wieczne tarcia między armią a policją nie staną na przeszkodzie naszej współpracy...

–Nie jestem policjantem.

–A kim? Pacyfistą? Ashcroft podszedł do Stazziego.

–Co tu zaszło? – spytał.

–Chciała nas rozjechać niebieska limuzyna. Layne spojrział na pokiereszowane samochody na parkingu.

–Która z nich? Stazzi uśmiechnął się krzywo wskazując zdemolowany i wypalony wrak leżący

w miejscu, gdzie przedtem stała cysterna.

–Ukaraliście ją przykładowo – mruknął Ashcroft. – Czy jest pan jednak pewny, że to tłumaczy zachowanie... eee... Kelly'ego i Slaytona?

–W tym samochodzie, w środku... nie było nikogo!

–Wierzy pan w duchy?

–Nie, w zdalne sterowanie.

–Więc o co chodzi? Stazzi splunął krwią.

–Żeby z taką precyzją sterować z oddali samochodem, trzeba go widzieć. Powiedziałbym nawet, że tak idealną kontrolę można uzyskać dysponując minimum dwoma punktami obserwacji.

–Słucham dalej.

–Obstawiłem budynek i cały teren. Nie złapaliśmy nikogo. Nie było też żadnych śladów. Na twarz Ashcrofta wypełził złośliwy wyraz.

–Może trafiliście na lepszych fachowców?

–Tak? A sam samochód? W środku powinno coś zostać. Powiedzmy, że zupełnie roztopiła się cała elektronika, że eksplozja wywalila wszystkie kable... ale silowniki? Powinny zostać chociaż ślady po dodatkowym układzie hydraulicznym. A nie ma niczego.

Ashcroft powoli włożył sobie do ust drażetkę gumy do żucia.

–Pozwoli pan, że wszystkie oceny odłożymy do czasu zbadania wraku przez naszych fachowców?

–Jasne. Źle mnie pan zrozumiał. Ja też chcę znaleźć realne rozwiązanie i zdaję sobie sprawę, że moje oględziny były pobieżne.

–Są jakieś ofiary?

–Żołnierz i lekarz. Niestety, korzystając z zamieszania, uciekł właśnie George Havoc.

–Nikt go nie pilnował?

Stazzi zrobił ruch ręką, jakby chciał uderzyć w nie istniejący blat stołu.

Rozprostował jednak zwiniętą pięść i znowu zmienił położenie chustki.

–Był skuty kajdankami ze strażnikiem. Drugi strażnik miał ich eskortować, ale znaleziono go tuż obok siatki z pistoletową kulą w głowie.

–Mógł go zastrzelić ktoś z tłumu – powiedział Slayton. – Za ogrodzeniem zebrali się ci wszyscy ludzie, którzy obozowali wokół ośrodka od dłuższego czasu.

–Strzał nie padł stamtąd – zaprzeczył Kelly. – Układ ciała i rana wskazują, że kula przyleciała dokładnie z przeciwnej strony.

–Kto jeszcze na terenie ośrodka ma pistolet? – spytał Ashcroft. – Chodzi mi o ludzi, którzy wtedy byli względnie blisko ofiary. Budynek jest zbyt oddalony jak na zasięg krótkiej broni.

Stazzi podrapał się w głowę.

–No, ja i... strażnik, do którego przykuty był Havoc.

–A więc wszystko jasne.

–Nie... niemożliwe. Znam go bardzo dobrze – Stazzi zaprzeczył ruchem głowy. – To pewny człowiek.

–Być może. Ale jak widać nie pracuje dla pana.

–Mógłby mi pan powiedzieć – wtrącił się Layne – co robili ci ludzie na wzgórzach naokoło?

–„Turyści”? Nie wiem, obozowali tutaj od dłuższego czasu. Wokół ogrodzenia ośrodka zebrali się tylko dwa razy. Dzisiaj oraz w dniu, kiedy Havoc próbował uciec po raz pierwszy. Ashcroft i Layne spojrzeli na siebie.

–Wtedy zginął sanitariusz – powiedział Slayton.

–Umarł, kolego. Nie zginął, tylko umarł – rozległ się z tyłu głos Wenera. – Policja stwierdziła, że było to samobójstwo.

–Policja? – spytał Ashcroft.

–Przysłaliście tu jakiegoś aspiranta – Werner nie wyglądał najlepiej.

Worki pod oczami napęczniały, a zawsze nienagannie uprasowaną koszulę szpeciły teraz zgniecione fałdy i duże plamy potu.

–Zresztą mniejsza z tym. I tak będę musiał wszystkich przesłuchać, a teraz nie ma na to warunków...

–Mam nadzieję, że potrwa to krótko – Werner przerwał Ashcroftowi. – Poza strzelaninami na parkingach mamy także inne zadania.

–Muszę się dowiedzieć...

–Przypominam panu, że członkowie armii nie podlegają jurysdykcji cywilnych organów ścigania.

Ashcroft zmełł przekleństwo.

–Zamierza pan utrudniać śledztwo?

–Nie, ale nie mogę tracić na nie czasu. Daję panu po dziesięć minut rozmowy z każdym ze świadków – prywatnie. Prawdziwym śledztwem zajmą się odpowiednie służby wojskowe.

–Chciałbym jednak dostać kogoś na dłużej, kogoś, kto zna wszystkie fakty...

–To wykluczone – Werner odwrócił się, żeby odejść, nagle jednak zatrzymał się i dodał z cynicznym uśmiechem: – Zresztą dobrze. Dam panu Slaytona i Kelly’ego. I proszę naprawdę docenić moją wolę współpracy.

Stazzi popatrzył za odchodzącym, potem zwrócił się do majstrującego przy samochodowym radiu Ashcrofta:

–Nie musi pan wzywać swoich ludzi. A przynajmniej niech nie lecą tak szybko, żeby groziło im pogubienie portek. Rozesłałem za Havokiem patrole z psami.

–Macie tu nawet psy? – miny Ashcrofta nie można było określić jako pogodną. Stazzi kiwnął głową. Podniósł wiszącą na pasku krótkofalówkę i starając się nie nadwerężyć spuchniętych ust wywołał patrole.

–Tu piątka, panie majorze – rozległ się stłumiony głos. – Trafiliśmy na świeży ślad.

–Gdzie jesteście?

–Północ, północny wschód. Kierujemy się w stronę wybrzeża.

Stazzi wyłączył aparat. Potem wyjął papierosa i delikatnie włożył go między nabrzmiałe wargi. Kiedy jednak Slayton podał mu ogień, potrząsnął głową i rzucił

papierosa na ziemię. Nagle zapalenie się sodowych lamp wokół podjazdu uświadomiło im, że mrok już zapadł.

Layne usiadł na rozgrzanej masce samochodu.

–Co robimy? – spytał.

–Czekamy – powiedział Ashcroft. Zdjął swój szeroki kapelusz i otarł pot. Gorący wiatr znad pustyni nawet po

zmierchu nie przynosił ulgi. Było coś takiego w tym suchym, pełnym pyłu powietrzu, że nikt nie kwapił się, by podtrzymać rozmowę. Ponure rozmyślania przerwał dopiero brzęczyk krótkofalówki.

–Panie majorze, tu piątka. Znaleźliśmy rękę.

–Co?

–Znaleźliśmy obciętą rękę. Stazzi dłuższą chwilę patrzył tępo przed siebie.

–Czekajcie tam, idziemy do was – powiedział wreszcie. – Człowieka z psem poślijcie dalej.

–Tak jest. Ale trop tutaj się urywa. Znaleźliśmy ślady opon.

Stazzi zaklął cicho i machnął ręką do stojących wokół osób. Prawie biegiem ruszyli na północny wschód.

Patrol nie odszedł daleko. Kilkaset metrów za ogrodzeniem napotkali dwóch ludzi z karabinami, prowadzących małego chłopca z wielką papierową torbą przewieszoną przez ramię.

–A gdzie jest... no... – zdyszany Stazzi z trudem dobierał słowa.

–Tam za wzgórzem. Pilnuje jej reszta ludzi – sierżant wskazał palcem najbliższy płaski wierzchołek. – Ten chłopak mówi, że wszystko widział.

–Tak, chłopcze? – Ashcroft nachylił się nad nim. – Skąd się tu wzięłeś?

–Przyjechałem z wujkiem. Ale on cały czas lazi z innymi, a ja się nudzę.

–I naprawdę widziałeś wszystko?

–Tak, proszę pana. Kiedy tam niedaleko znalazłem Jacka...

–Kto to jest Jack?

–Nie wie pan? – chłopak zdjął z ramienia torbę, ale nie otworzył jej, tylko obracał w palcach spoglądając nieufnie na Ashcrofta.

–A ile Jack ma nóżek? – spytał przymilnie Kelly.

–Jack nie ma ani jednej nóżki. – Chłopak wyjął z torby wijącego się węża. Stojący najbliżej odskoczyli, ale nie był to grzechotnik ani żmija piaskowa.

–Kelly, niech mu pan zabierze to zwierzę! – warknął Stazzi. Kelly rozejrzał się bezradnie.

–Eee... Sierżancie, proszę zaopiekować się Jackiem. Sierżant usiłując ukryć drżenie ręki zabrał chłopcu węża i trzymając go z dala

od siebie za sam ogon, odrzucił kilkadziesiąt kroków dalej. Chłopak popatrzył na niego spokojnie i nagle, jak to tylko dzieci potrafią, wybuchnął płaczem. Odtrącił wyciągniętą w jego kierunku rękę Stazziego z gumą do żucia i przyjął dopiero pistolet Ashcrofta. Odbezpieczył go zupełnie fachowo, na szczęście z powodu braku magazynka nie udało mu się zarepetować broni.

–Mógłbyś opowiedzieć, co widziałeś?

Chłopak uśmiechnął się i wycelował w Layne'a.

–Kiedy tam, przy budynkach, coś wybuchło, przybiegło dwóch panów skutych kajdankami.

A tu – chłopak wycelował w podnóże pagórka – stał terenowy willys 1700D.

–Samochód czekał na nich?

–Chyba nie, kierowca opalał się z taką panią, a potem się całowali...

–Może robili to dla niepoznaki.

Chłopak wzruszył ramionami.

–Byli całkiem rozebrani. Ale jak ten pan, co się chwiał na nogach, kiwnął na nich ręką, to od razu do niego pobiegli.

–I co było dalej?

–Ten pan coś powiedział do drugiego pana, z którym był skuty. I tamten obciał sobie dłoń.

–Co? Jak to obciał?

–No, wyjął nóż i...

–To przecież niemożliwe.

–Jak mi pan nie wierzy, to niech pan tam idzie i zobaczy. Stazzi powstrzymał Ashcrofta.

–Co zrobili potem? – spytał.

–Wskoczyli do auta i pojechali.

–Pamiętasz może numer? Chłopak zrobił obrażoną minę.

–Panowie mają mnie za amatora? – wyjął zza koszuli pomięty komiks z Flashem Gordonem.

W poprzek tylnej strony okładki biegł rząd cyfr i liter. Ashcroft przepisał go do swojego notesu.

–Co o tym myślisz? – spytał Layne’a.

–Nie wiem. Nie mam na przykład pojęcia, dlaczego strażnik mógł to zrobić.

–Właśnie – wtrącił się Kelly. – Można to zrobić w szale, mając dajmy na to siekierę. Ale nożem... To zupełnie niemożliwe. Zresztą po co...?

Stazzi zdjął z szyi łańcuszek z przyczepionym do niego kluczykiem.

–Tylko tym można było otworzyć kajdanki. – Przez chwilę patrzył przed siebie.

–Może pan Havoc chciał być szybko wolny...

Kelly spojrzal na Slaytona i zauważył, że ten lekko się uśmiecha.

Klimatyzacja ukryta za stylową boazerią szumiała jednostajnie. Ashcroft odłożył sztucce i wycierając usta zerknął na Layne’a. Ten wpatrywał się osowiale w wystygłą porcję. Ashcroft przechylił się do kelnerki i charakterystycznym gestem rozwarł palce na kilka centymetrów.

–Nie lubisz ketchupu? – spytał życzliwie.

–Po pierwsze – Layne uniósł oczy – źle dziś spałem, po drugie chciałem kiedyś iść na medycynę...

–I co?

–I przypomniałem sobie o zajęciach w prosektorium.

–Może sobie chlapniesz? – Przyniesiony kieliszek lśnił wilgocią.

–Samo przejdzie... Hałas za ich plecami sprawił, że odwrócili głowy. Freddie uśmiechnął się

przepraszająco do kelnerki i podszedł do nich.

–Stary chce cię widzieć – stwierdził.

Ashcroft powąchał zawartość kieliszka, a potem wlał do ust.

–Ciepła... – otrząsnął się. – Czego chce? Freddie dał znak dziewczynie w firmowej

spódniczce, że również zamawia porcję.

–Mówił, że zajmujemy się bzdurami.

–Aż taki ostry... – Ashcroft zerknął na Layne’a. – Myślałem, że już mu to wytłumaczyliśmy.

–Widać nie. – Freddie spojrział w kierunku wędrującej na stół pizzy. – Wspominał też o jakimś gościu ze szpitala. Mówił, że twój raport jest mętny.

–Mętny... w takim razie powiedz, że pojechałem do Centrum Studiów Atomowych – przechylił głowę ku oknu, gdzie widniał gmach policji – właśnie w sprawie tego śledztwa.

–Nie pójdziesz do niego?

–Nie teraz.

Layne oderwał wzrok od oblanej czerwienią porcji porucznika i spojrział na wstającego Ashcrofta. Ten skinął głową.

–Jak będzie coś z drogówki, to zostaw na biurku – dodał w przestrzeń baru. Przepuścili idącą chodnikiem kobietę.

–Jedziemy twoim wozem czy służbowym? – spytał brodac. Ashcroft zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy.

–Powinieneś zauważyć, że nie jeżdżę wymalowanymi mydelniczkami. Na ukos, po drugiej stronie, stał jego reliant chloride ze świeżo założonymi oponami. Wsunęli się do wnętrza przypominającego wannę z gorącą wodą. Layne glucho jęknął.

–Musiałeś stawiać go w słońcu?

Ashcroft idąc śladem Layne’a opuścił szybę aż do ramy.

–Nie denerwuj mnie... – warknął. – Mówilem, że te bałwany wciąż szukają willysa, którym pojechał Havoc?

–Mówileś... – Layne z niechęcią przyglądał się plamom wilgoci na chustce. – Tylko że wtedy nazwałeś ich sukinsynami.

Z wizgiem opon samochód Ashcrofta ruszył do przodu, o milimetry mijając jasnego volkswagena, przeleciał skrzyżowanie na czerwonym świetle i zanurzył się w nie znanej Layne’owi dzielnicy.

–Gdzie jest ten ośrodek? – Layne mówił niewyraźnie, bo głowę wystawił na zewnątrz. – Za miastem?

–Prawie. – Ashcroft ustawił nawiew na twarz. – Za parkiem Bradbeera.

Ciężarówka, która pojawiła się z przodu, zmusiła Layne’a do błyskawicznego cofnięcia głowy. Widoczna przez moment twarz kierowcy wyrażała autentyczne szczęście.

–Co tam mają? – spytał oglądając się jeszcze do tyłu. – Reaktor powielający? Ashcroft pokręcił głową.

–Jakiś inny... prawdę mówiąc, nie wiem dokładnie, czym się zajmują.

–A my...? – Layne tym razem ostrożnie wychylił się za okno. – Po co tam jedziemy?

Znowu dla długiego warkocza i reszty...

–Nie – Ashcroft wyminął kilka wozów. – Dla mordy Dennisa. Poza tym ciekawi mnie facet, który ucieka wojskowym spod noża, przekonując przy tym kogoś do oderżnięcia sobie ręki.

Layne zaczął głębiej oddychać. Pewnie dlatego, że wjechali w cień parku. Zza drzew przezierały sylwetki zaciekle biegające po tenisowych kortach.

–Zapał sobie – odezwał się niespodziewanie Ashcroft. Oczy Layne rozszerzyły się do granic możliwości.

–Co... Biorąc ostry zakręt Ashcroft rzucił rozbawione spojrzenie.

–Masz ostatnią szansę. Nie ma tam takich rygorów jak w Krzemowej Dolinie, ale sądzę, że przynajmniej nie wolno palić.

Dłoń porażonego tą wizją Layne’a odruchowo powędrowała do kieszeni.

–Nie fatyguj się już – Ashcroft ruszył podbródkiem. – Dojeżdżamy.

Na wylaniającej się spomiędzy drzew olbrzymiej betonowej polanie ukazał się otoczony białym drucianym płotem zespół budynków. Największy zamiast dachem został przykryty stalową kopułą o widocznych wręgach. Layne wciąż z dłonią przy kieszeni nachylił się ku szybie.

–Muszą tu mieć ciekawy reaktor – stwierdził półgłosem, nie zważając, że Ashcroft podjeżdża do rozsuwanej bramy z dużym znakiem stopu. – Ciekawe... to ośrodek cywilny?

–Cywilny – Ashcroft z piskiem zahamował prawie na przegrodzie. – Finansuje ich zarówno uniwersytet stanowy, jak i budżet federalny.

Wysiadł z wozu zostawiając Layne’a samego. Strażnik, który już od dłuższej chwili przyglądał się im z zainteresowaniem, wyszedł naprzeciw. Ashcroft pokazał swój znaczek i przez szybę na migi zażądał wpuszczenia.

–W porządku – powiedział po pięciu minutach. – Musimy zostawić samochód, ale przyjdzie po nas kierownik personalny.

Wysiedli z auta i Layne wymownie zerknął na jego oświetloną karoserię. Ashcroft wzruszył ramionami.

–Nie zakręcajmy okien – powiedział i z dezaprobatą zerknął na Layne’a. – Mówiłem ci, żebyś już nie palił.

Brodaty statystyk otworzył usta, a kiedy na wpół wypalony papieros upadł na ziemię, roztarł go obcasem.

–Chyba jedzie ten facet... – powiedział wskazując wylaniający się z przerwy między budynkami niewielki wózek elektryczny.

–Facet...? – Ashcroft uniósł brwi. – Jeśli ten głos należał do mężczyzny, to przygotuj się na spotkanie z transwestytą.

Zdziwienie na twarzy Layne’a widać było jedynie przez moment.

–No tak... – stwierdził poprawiając okulary. – To nie facet.

Przeszli przez bramę w chwili, gdy biały wózek hamował.

–Kathreen Burns – powiedziała dziewczyna wyciągając rękę. – Czy George naprawdę żyje?

Ashcroft poczekał z odpowiedzią, póki nie wgramolił się na wąskie siedzenie.

–Nie tylko żyje, ale i uciekł ze szpitala. Dziewczyna spojrzała przez ramię.

–To niemożliwe.

–Fakt... lekarze mówili nam coś takiego i dlatego chcemy uzyskać pewne informacje o nim.

Z cichym szumem zajechali przed wejście „C”.

–Rozumiem. – Kathreen zeskoczyła na podjazd. – Postaram się pomóc.

Zawieszoną na nadgarstku plakietkę wsunęła w szczelinę identyfikatora.

Rozległo się parę melodyjnych dźwięków i drzwi zniknęły w ścianie. Layne wszedł ostatni, wyraźnie nadsluchując.

–To chyba Chopin... – zaczął spoglądając na dziewczynę. Uśmiechnęła się szeroko.

–Brawo.

Z głębi korytarza wyłoniła się dwójka mężczyzn. Pchali przed sobą na wózku prostopadłościenny pojemnik, cały oblepiony żółto-czerwonymi znakami. Blondyn o płowych włosach uśmiechnął się na ich widok.

–Kate – powiedział. – Widzę, że masz dwie nowe ofiary. Otaksował wzrokiem najpierw Ashcrofta, potem Layne'a.

–Pan to może ma już dzieci – westchnął. – Ale ciebie, młodzieńcze, szkoda...

–Nie przesadzaj, Mark.

Drugi z mężczyzn również odwrócił głowę i obydwaj z blondynem wyszczerzyli zęby.

–Co to było? – spytał Layne, kiedy przeszli kilka dalszych metrów sterylnej białego korytarza.

Dziewczyna zachnęła się.

–Mark, główny dyspozytor. Myślał, że was przyjmuję do pracy i jak zwykle...

–Chciałem wiedzieć, co było w tej skrzyni...

–W skrzyni? Paliwo. – Odruchowo poprawiła przypięty do kieszonki kostiumu długopis. – Dostajemy je z oczyszczalni w Knops. Pracują tam na uraninie.

Layne skinął głową.

–Od razu będziemy mogli dostać wydruk z danymi Havoca? Dziewczyna zatrzymała się.

–Kłopot w tym, że siadł mój terminal. Mają go wymienić po południu. Layne skrzywił się.

–Właściwie to najważniejsze...

–Marty, nas interesuje nie tylko życiorys, ale też i sam wypadek. Po dane przyjedziemy później. Pani tu będzie? Ashcroft odwrócił się do dziewczyny.

–Wieczorem z pewnością. Robimy symulowany rozruch reaktora

termojądrowego, chcę przy tym być. Ale teraz mogę wam pokazać miejsce wypadku.

Skinęli głowami i ruszyli do jednego z bocznych korytarzy. Potem były schody i zamykające je drzwi. Dziewczyna otworzyła stojącą obok szafkę. W jej dłoni znalazły się dwa długopisy, identyczne z tym, który nosiła przy kieszonce.

–To dozymetry. Przypnijcie je.

–Grozi jakieś niebezpieczeństwo? – zamruczał Ashcroft mocując się z zapięciem.

–Nie, ale będziemy na rampie ponad halami i takie są przepisy.

Oczom ich ukazała się potężna, sztucznie oświetlona hala. Pod kopulastym sufitem biegly stalowe belki suwnic zbiegając się przy ścianach, gdzie warkocze kabli tworzyły swoistą płataninę. Na obwodzie kopuły widniały czarne łukowate skrzynie detektorów.

Kiedy weszli na rampę, Burns spojrziała w dół.

–Tam będzie nasz reaktor, a tam... – uniosła dłoń – jest centralna dyspozytornia.

Jedyne co mogli obejrzeć w głębi hali, to wielki betonowy krąg z potężnymi wypustami.

Dyspozytornia musiała się kryć gdzieś za ścianą. Layne oparł dłonie na barierce i przechylił się stojąc na palcach.

–O ile wiem... – powiedział – reaktory termojądrowe jeszcze nie istnieją.

–Zgadza się. Mamy nadzieję, że to będzie pierwszy – wycelowała palcem w stronę długich, ustawionych wokół kręgu rur. – Lasery elektronowe...

Chrząknięcie Ashcrofa zabrzmiało szczególnie znacząco.

–Widzę, że również interesujesz się fizyką, ale możesz odłożyć to na później –

uśmiechnął się przymilnie. – Panna Burns miała nam opowiedzieć o wypadku Havoca.

Dziewczyna puściła barierkę i przeszła na drugą stronę.

–To, o czym mówię, ma o tyle związek z wypadkiem, że zdarzyło się właśnie podczas pierwszego rozruchu.

–Rozruchu? – Stukając butami o nity Ashcroft zbliżył się do niej.

–Uruchamiania programu symulującego dla reaktora termojądrowego. Tam, w starym budynku... – wskazała dłonią, gdzieś za mury – mamy inny reaktor, zamontowany na początku pracy ośrodka. Jest to reaktor basenowy, praktycznie zerowej mocy.

Ashcroft przyglądał się anonimowym pulpitom umieszczonym w dole na niewysokich postumentach. Dalej, za grubą szybą, przesuwały się jakby ludzkie sylwetki.

–Tego dnia Havoc miał za zadanie sprawdzenie sprężarki przy pompie podającej wodę destylowaną do basenu – kontynuowała Burns. – Reaktor umyślnie przerzucono na bieg jałowy, tak aby obciążenie pompy było najmniejsze. Kiedy Havoc zdjął zabezpieczenie i miał przystąpić do oględzin, jeden z ludzi nadzoru popełnił kardynalny błąd. Uniósł rdzeń na poziom roboczy. Siedział właśnie tam... Wskazała na widoczne w oddali pulpity.

–Na stanowisku bezpośrednim. W centralnej dyspozytorni Mark był zajęty symulacją i zanim spostrzegł, co się dzieje, zadziałał automat podając wodę, i to pod dużym ciśnieniem. Pompa odprowadzająca, którą naprawiał Havoc, nie wytrzymała. Zanim go wyciągnęliśmy, dostał grubo ponad LD, nie mówiąc o urazach mechanicznych.

–LD?

–Letalis dosis.

–Co było później? – Ashcroft oparł się plecami o poręcz.

–Pracę przejął układ awaryjny, a Havoca odtransportowaliśmy do szpitala. To cud, że żyje.

–A ten człowiek, ten, który uniósł rdzeń?

–Odesłaliśmy go do uniwersytetu stanowego na testy psychofizyczne. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego uruchomił dźwig. – Burns popatrzyła w stronę niewyraźnych ludzkich postaci. – Nie sędzę, aby miał tu wrócić.

Layne podążając za jej wzrokiem zmarszczył brwi.

–Poddaliście wszystko dezaktywacji?

–Całą przepompownię, dlatego dopiero dzisiaj ponawiamy symulację.

–I już weszli tam ludzie?

–To nie są ludzie... Burns ruszyła szybkim krokiem.

–Pozwólcie... pokażę wam coś. Niemal biegiem przemierzyli pomost i weszli do windy.

–Jeśli nie ludzie, to co? Roboty...? Dziewczyna poprawiła kostium.

–W pewnym sensie. Zaraz pokażę... Ashcroft spojrział na jej plecy i bezgłośnie poruszył wargami. Przez całą długość korytarza miał głęboko zamyślony wyraz twarzy.

–Zajrzyjcie – dziewczyna wskazała podłużne okienko biegnące wzdłuż ściany. Posłusznie podeszli bliżej. Wewnątrz pogrążonego w półmroku pomieszczenia siedziało pięciu mężczyzn. Wyprostowani, z głowami zanurzonymi całkowicie w głębokich hełmach, tkwili przed pulpitemi. Zielone światło ekranów rzucało łagodny blask na sufit, mżąc na powierzchni szyby.

–Poprzez te helmy sterują robotami?

–Dokładnie tak. – Policzki Burns pokrył rumieniec emocji. – To system łączności bezpośredniej. Po wypadku przyznano nam dotację i mogliśmy zakupić serię robotów używanych przy testowaniu wahadłowców. Teraz żaden człowiek nie musi wchodzić tam, gdzie istnieje choć cień ryzyka.

Ashcroft odpiął dozometr.

–Gratuluję, ale na nas już pora. Będziemy koło siódmej, dobrze?

–W sam raz, będę czekała. Droga do elektrycznego wózka i jazda trwały nie więcej jak dziesięć minut.

Stojąc przy bramie, razem ze strażnikiem przyglądali się nikszej sylwetce dziewczyny, kiedy z tyłu rozległ się donośny dźwięk klaksonu. Za ich samochodem tarasującym wjazd widniała potężna ciężarówka. Bez słowa wsiedli do wozu.

–Nikt ci nie mówił o obciążeniu z koca? – wycedził Layne patrząc ze zgrozą na przylepiony do deski rozdzielczej termometr.

Ashcroft splunął na dłonie i przerzucił dźwignię automatu.

–Zastanawiam się – powiedział przekrzykując hałas ryczącego silnika – czym te kobiety się różnią?

Layne rozpostarł chustkę.

–Taki upał... a jemu się chce.

–Co mówisz?

–Tym się różnią – powiedział Layne mrużąc oczy na wietrze – że mając Maureen za żonę musiałbyś jeździć kabrioletem.

Ashcroft odwrócił twarz.

–Czemu? Layne z zadowoloną miną poprawił okulary.

–Dlatego... że w innym rogu nie zmieściłyby ci się pod dachem.

* * *

–Głosuj na Malle'a! Głosuj na Malle'a! Jeśli nie chcesz być ze sfrustrowaną mniejszością, przyłącz się do większości. Głosuj na Malle'a! To nie będą wybory! To będzie jatka przeciwników demokracji i dobrobytu...

–Mam dość jatek na dzisiaj – mruknął Layne i zakręcił szybę samochodu.

Jednak wzmocniony przez ręczny megafon głos mężczyzny machającego różnobarwną flagą stanu dobiegał do nich z tym samym natężeniem:

–Głosuj na Malle'a! Ostatnie badania wykazały, że obecny burmistrz ma zapewnione osiemdziesiąt siedem procent głosów. Przyłącz się do większości! Głosuj na dobrobyt i demokrację!

–To tutaj? Niezły hotel – Layne pochylił się do przodu oceniając wysokość wieżowca.

Ashcroft zaparkował pod plastikową markizą i rzucił kluczyki boyowi w liberii. W hallu było chłodno i przyjemnie. Podeszli do obitego prawdziwą skórą kontuaru, oddzielającego recepcję od rzędu foteli otaczających wielką fontannę.

–Chcielibyśmy odwiedzić panią Havoc. Który pokój zajmuje? – spytał Ashcroft stojącego w cieniu rozłożystej palmy portiera.

–Panowie też do niej? – tamten uśmiechnął się złośliwie. – Tak od razu? Radzę zająć miejsce w kolejce... – wskazał na kilku playboyów okupujących najbliższe fotele.

–Policja! – warknął Ashcroft nawet nie sięgając po odznakę.

–Tak, tak, przepraszam. Już mówię! – portier krzyknął nagle, patrząc przerażony na Layne'a sięgającego do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Odetchnął, kiedy zobaczył paczkę papierosów.

–Pięćset jedenaście – wyrzucił z siebie rozluźniając kołnierzyk. – To na piątym piętrze... Zaprowadzić panów?

–Nie.

Zanim drzwi windy zamknęły się, usłyszeli jeszcze głos portiera mówiącego do kogoś z tyłu:

–Rany Boskie! Mafia idzie do pięćset jedenaście. Gdyby szef o mnie pytał, to jestem w...

Maureen otworzyła dopiero po dłuższej chwili. Była owinięta w cienkie, nieskazitelnie białe prześcieradło kąpielowe.

–To panowie? Proszę – potrząsnęła prawie ukrytą pod ogromnym turbanem z ręcznika głową. – Czy wiadomo już, co się dzieje z moim mężem?

Ashcroft zajął miejsce na kanapie pod ścianą, a Layne przysiadł na parapecie.

–Czy pani mąż pracował dla jakichś tajnych służb rządowych?

–George? O co panom chodzi?

–A może utrzymywał kontakty z... powiedzmy, ze światem przestępczym? Przychodzili do niego podejrzani ludzie?

Maureen przerażona patrzyła to na jednego, to na drugiego. Ręka przytrzymująca prześcieradło bezwiednie rozluźniła chwyt i jego poły powoli zaczęły się rozchyłać.

–O Boże, co oni zrobili z moim mężem? Proszę... Bardzo panów proszę, powiedzcie, gdzie on jest?!

Ashcroft rozpostarł ramiona opierając je na miękkich poduszkach kanapy. Delikatnie, końcem buta strącił jakąś muszkę, która przysiadła na nogawce spodni.

–Sami chcielibyśmy wiedzieć – prawie szepnął. – Uciekł z ośrodka medycznego.

–To niemożliwe. To jakaś prowokacja. Na pewno wszystko ukartowała armia, żeby zatrzymać George'a.

–Nie wykluczamy i tej możliwości. Ale po tym, co zobaczyliśmy... Musiałoby im bardzo zależeć na pani mężu. Maureen spojrzała na niego niezdecydowana.

–Tak... Na pewno tak się stało.

–W takim razie chciałbym usłyszeć, kim takim jest George Havoc, że wielu poważnych ludzi angażuje się dla stworzenia pozorów.

Maureen patrząc gdzieś w dal usiadła na poręczu fotela. Prześcieradło rozsunęło się na boki ukazując spore fragmenty nóg.

–Nie wiem – powiedziała ze smutkiem w głosie. – Może jest to związane z jego pracą w Centrum?

–Nie – powiedział Ashcroft. – Gdyby w grę wchodził jakiś banalny sabotaż czy coś w tym stylu, armia nie robiłaby sobie tyle zachodu. Nie mówiąc już o tym, że to nie ich sprawa.

Ashcroft wydawał się być zadowolony z udręki siedzącej przed nim kobiety. Przyglądał się jej przez cały czas z bacznością, pochylając od czasu do czasu głowę na boki, jakby chciał uchwycić ciekawsze ujęcie profilu.

–Skoro nie mamy niczego, co wskazywałoby na perfidię naszych dzielnych żołnierzy, zastanówmy się, jaki cel miała ucieczka... tym razem z punktu widzenia pani męża.

–Ale...

–Ona była zorganizowana! – krzyknął nagle Ashcroft. – Zorganizowana piekielnie dobrze. Ktoś o bardzo długich rękach musiał mu pomóc!

Maureen zsunęła się z poręczu na siedzenie fotela i podkurczyła nogi pod brodą.

–Nie wiem, o co tu chodzi – prawie chlipnęła. – Naprawdę nie wiem.

–Proszę się uspokoić – powiedział Layne spod okna. – Może opowie nam pani coś o swoim mężu.

–Co?

–Na przykład, dlaczego się rozchodzicie. Gdzieś z korytarza dobiegł stłumiony tupot nóg, potem walenie w jakieś drzwi i krzyk:

–Kate, wpuść mnie, Kate! Nie bądź nieludzka.

Maureen wstała i zamknęła wewnętrzne drzwi.

–Na początku wydawało mi się, że będzie nam znośnie. Nigdy go nie kochałam. Wyszłam za niego zmuszona przez rodzinę...

–Dlaczego?

–Słucham?

–Dlaczego rodzina panią zmusiła?

–Nie wiem, nie było żadnych finansowych czy prestiżowych powodów. Po prostu zwariowali na jego punkcie.

–I zgodziła się pani?

Maureen jednym ruchem zdjęła z głowy ręcznik, a jej długie włosy rozsypały się wzdłuż całego ciała lśniąć wilgocią w rozproszonym świetle.

–Właściwie to nie była moja prawdziwa rodzina. Przygarnęli mnie, jak byłam mała. Przedtem przymierałam głodem w jakiejś norze udającej sierociniec, a oni zapewnili mi wszystko. Czulałam się zobowiązana...

–Przepraszam – wtrącił się Layne. – Gdzie to było?

–W Bostonie. Tutaj sprowadziliśmy się dopiero kilka lat temu.

–A skąd pochodzi pani rodzina?

Maureen wzruszyła ramionami.

–Z jakiegoś miasteczka nad Wielkimi Jeziorami. Chyba niedaleko była kanadyjska granica... a może są z samej Kanady? Nie wiem.

Layne i Ashcroft wymienili spojrzenia.

–I co było dalej?

–Już po ślubie zrozumiałam, że popełniłam błąd, ale... wie pan, jak to jest. Zawsze trudno zdecydować się na rozstanie. Niestety, ostatnio stał się nie do zniesienia. Zaczął mi rozkazywać... Pod koniec, tuż przed wypadkiem, już w ogóle nie mówił do mnie normalnie. Ciągłe krzyczał i rozkazywał. Czasem coś go ruszało i brał mnie na spacer po mieście, ale krążył tylko po jakichś strasznych miejscach...

–Dlaczego strasznych?

–No... wiem, że mnie panowie wyśmiejają, ale... następnego dnia po każdym spacerze czytałam w gazecie, że w miejscu gdzie byliśmy, kogoś zabito. I... i zawsze czas morderstwa przypadał na kilka minut po opuszczeniu przez nas tej okolicy.

–Czy mąż się od pani oddalał?

–Nie. Przez cały czas, zawsze, byliśmy razem.

–Czy pamięta pani nazwiska morderców albo ofiar? Z gazet? Czy był między nimi Vincent Cadogan?

–Tak. Chyba tak.

Ashcroft wymienił jeszcze kilka nazwisk. Maureen za każdym razem potwierdzała.

–Mamy nasze morderstwa bez motywu, Marty – powiedział w końcu Ashcroft.

–Zgadza się co do sztuki.

Layne siedział nieporuszony.

–Wiem też, dlaczego pani twarz wydawała mi się znajoma. Była pani na taśmie.

–Na jakiej taśmie?

–Spacerowała pani z mężem po bulwarze handlowym, wtedy właśnie, kiedy Cadogan zamordował kobietę. Obok kręcili film i kamera panią złapała.

–Ma pan znakomitą pamięć do twarzy.

–Owszem. Szczególnie że tylko mignęła pani w oddali.

–Więcej samokrytyki, Neal – uśmiechnął się Layne. – A może wiesz już, co łączy Havoca i te wszystkie zabójstwa?

–Jeszcze nie. Mam jednak nadzieję, że to sprawa czasu. Czy... czy domyśla się pani – Ashcroft zwrócił się do Maureen – gdzie może teraz przebywać pani mąż?

–Niestety nie.

–Chcemy mu pomóc.

–Rozumiem, ale naprawdę nie mam pojęcia. Ashcroft podniósł się z kanapy.

–Cóż, w takim razie nie będziemy dłużej pani niepokoić. Chodź, Marty.

–Jeszcze chwileczkę – Maureen też wstała z fotela. – To drobiazg, ale może panom się przyda.

–Tak?

–Tuż przed wypadkiem mąż zamówił coś u antykwariusza, tego z Dellen Avenue. Być może to glupstwo, ale jeśli nie zapomniał, pewnie się po to zgłosi.

–Dziękuję. Postawimy tam kogoś.

Ashcroft przepuścił przed sobą Layne'a i zamknął drzwi.

–Co o tym myślisz? – spytał, kiedy znaleźli się w windzie.

–Albo nasza piękność ma zbyt bujną wyobraźnię, albo rzeczywiście coś w tym jest.

–Nie da się ukryć, że była na bulwarze tuż przed dokonaniem morderstwa.

–Tak. Mnie też się wydaje, że mówiła prawdę. Jej przybrana rodzina pochodzi z zatopionego miasta.

–To takie ważne?

–Może... W hallu natknęli się na Freddie'ego i kilku policjantów.

–Cześć, szefie, mam dla ciebie wiadomość.

–Zaraz, skąd wiedziałeś, że tu jestem?

–Nie wiedziałem. Przypadkiem przybyłem na wezwanie. Podobno jacyś mafioso kręcą się tutaj.

Layne spojrział w kierunku kontuaru, ale przestrzeń za nim była pusta.

–Co masz dla mnie, Freddie? – spytał Ashcroft.

–Znaleźliśmy tego willysa, którym zwał Havoc.

–Oczywiście porzucony?

–Wprost przeciwnie. Stał spokojnie zaparkowany pod domem właścicieli. Rozmawiałem z nimi. W bagażniku leży trup faceta bez ręki z naładowaną spluwą w kaburze, a oni nic nie wiedzą. Skonfrontowaliśmy ich z tym chłopcem. Mały rozpoznał oboje, a oni ciągle nic. Zdaje się, że mają lukę w pamięci, jak ci wszyscy mordercy w stylu Cadogana. Kompletna paranoja.

–Masz ich pod kluczem?

–Jasne. Bekną za tego gościa, co im się wykrwawił w bagażniku. A jak dobrze pójdzie, to i za pomoc w ucieczce.

Ashcroft spojrział na Layne'a.

–Do antykwariusza? – spytał tamten.

–Nie. Na razie jedziemy do Centrum Atomowego. Muszę mieć zdjęcie Havoca.

Antykwariusza każę na razie obserwować z ukrycia.

–A ci ludzie?

–Potem, potem. Chcę jeszcze przesłuchać Slaytona i Kelly'ego, żeby zorientować się, co naprawdę zaszło w wojskowym ośrodku. – Ashcroft spojrział na zegarek. – Chodźmy.

Słońce świeciło w szczelinie między budynkami Centrum, wyznaczając cel, ku któremu zdążali. Ashcroft bębnił niecierpliwie po poręczu wózka.

–Sprzed ilu lat będzie to zdjęcie Havoca?

Burns przechyliła głowę tak, jakby nie dosłyszała pytania.

–Weryfikujemy dane co rok – odpowiedziała w końcu. – Nie musicie się obawiać, będzie aktualne.

Zakręciła wózką i z podejrzaną gwałtownością zahamowała. Dźwięki Chopina znowu otworzyły drzwi, lecz tym razem skierowali się od razu do windy.

–Pojedziemy do mnie – wciskając klawisz Burns zerknęła na zegarek. –

Przyjechaliście tuż przed rozruchem...

Layne obrócił się ku swemu odbiciu w szybie, potem zapiął guzik koszuli.

–Czy przeprowadzacie również pomiary antropomorficzne? Odpowiedział mu szmer rozsuwanych drzwi.

–Nie. – Dziewczyna przestąpiła próg. – Po co? Idąc korytarzem jeszcze przez moment przyglądała się twarzy statystyka, lecz

ta, ukryta pod gęstwiną brody, była nieodgadniona.

Pokój, jak na pomieszczenie szefa personalnego, wyglądał typowo, oczywiście jeśli uwzględniło się fakt, że szef był kobietą. Na szerokim biurku, obok pojemnika z dyskietkami, leżała puderniczka i pudełko kolorowych kredek o trudnym do ustalenia przeznaczeniu. Opadli w fotele, między którymi ustawiono ruchomy barek.

–Jeśli macie ochotę na piwo czy colę... – powiedziała dziewczyna wskazując mebel.

Obydwaj przecząco pokręcili głowami, co byłoby nie do pomyślenia kilka godzin wcześniej. Ale wiatr od Zatoki zepchnął znad miasta duszne powietrze.

–To chwilę potrwa – stwierdziła dziewczyna przebierając palcami po klawiaturze.

Z cichym pomrukiem ekran zapelniły litery stanowiące życiorys, wyniki testów i inne dane George'a Havoca. Drukarka kreśliła jego wierny portret.

–Jeszcze minuta... – Burns przeniosła spojrzenie na Layne'a. – Szkoda, że nie będą mogli panowie zobaczyć komputera używanego do dzisiejszej symulacji. Jednostkę centralną zbudował nasz były pracownik i niewiele przesadzę, mówiąc, że zrobił ją w piwnicy.

–W piwnicy? – Wiadomość nie wiadomo dlaczego zainteresowała Ashcrofta.

–Tak, miał tam warsztat.

–Co się z nim stało? – Layne poprawił obydwojma dłońmi okulary. – Założył własną firmę?

–Nie. Zmarł na zawał i zostawił nam jedynie prototyp.

–Jak to... A technologia wytwarzania procesora?

Dziewczyna oderwała wydruk i podała go Ashcroftowi.

–Dwa lata temu mieliśmy z tym straszne kłopoty. Po śmierci konstruktora nie udało się jednak znaleźć opisów.

Okulary Layne'a zjechały prawie na czubek nosa, wcisnął je gwałtownie.

–Nie chce się... – zaczął, lecz umilkł, a potem wyjął zdjęcie Havoca z palców Ashcrofta.

–Tak, jakbym... – zamruczał, lekko kręcąc głową.

Palec Burns opadł na wyłącznik komputera.

–Jeśli chcecie zobaczyć rozruch, to chodźcie. Możecie już nie mieć takiej okazji.

Ashcroft wyjął papier z rąk wciąż zamyślonego Layne'a i uśmiechnął się nienaturalnie.

–Nie sądzę, aby nas to interesowało... Dziewczyna roześmiała się.

–Ale i tak będziecie musieli czekać na mnie, bo nie ma was kto odprowadzić.

–Stawia nas pani w głupiej sytuacji... – Ashcroft uniósł wzrok. – Ile to potrwa?

–Do pół godziny... – jej głos wahał się między rozbawieniem a urazą. – Sądzę, że pański kolega chętnie to obejrzy.

Layne uśmiechnął się blado.

–Nie mamy wyjścia... Kiedy szli do drzwi, Ashcroft ostentacyjnie złożył arkusz wydruku.

–Pani pewnie kiedyś chciała iść na fizykę? – spytał zjadliwie.

–To widać? Korytarze ośrodka były tego dnia zadziwiająco puste. Minęli warcząco cicho automat z kawą.

–Myśli pani, że uda wam się spełnić kryterium Lawsona? – spytał Layne.

–Naturalnie, jeśli zmniejszymy koncentrację plazmy, ale musimy wydłużyć czas.

Znów weszli do oszklonej klatki windy. Ashcroft opierając się o ścianę zmierzył ich ponurym spojrzeniem, lecz dziewczyna uniosła przegub z zegarkiem.

–Mamy szczęście, że na „jaskółce” siedzą Coghill i Stol. Na pewno nie będą mieli nic przeciwko waszej obecności.

Korytarz najwyższego poziomu miał metalową podłogę, tak że ich szybkie kroki bębniły głucho.

–Co to jest „jaskółka”?

–Pokój, skąd kontroluje się wszystkie ważniejsze sekcje, łącznie z dyspozytornią. Ashcroft roześmiał się.

–Pozostałość ery maccartyzmu?

–Nic z tych rzeczy. Dyspozytornia zajmuje się pracą urzędzeń, zaś dyżurni w „jaskółce” ludźmi. Jako jedyni mogą uruchomić system autonomiczny.

Minęli zakręt korytarza i w uchylonych drzwiach obitych grubą tkaniną dojrzeli wysokiego mężczyznę. Wzrok Layne’a przyciągnął papieros w jego dłoni. Nie zdążył jednak sięgnąć do kieszeni, gdy rozległ się głos panny Burns.

–Erich! Zwariowałeś?

Mężczyzna nie miał wątpliwości co do przyczyny nagany. Uniósł lewą nogę i rozgniół niedopalek o obcas.

–Boże, Kate, czasami mam wrażenie, że przyjęto do nas o jedną kobietę za dużo.

Burns zajrzała do środka.

–Nie sil się na dowcipy... – Wskazała palcem przed siebie. – Możemy wejść?

Mężczyzna skinął głową rzucając niedopalek na podłogę.

Weszli do przyciemnionego wnętrza, gdzie jedną ze ścian zajmowały cztery rzędy monitorów, nadając salce charakter telewizyjnego studia. Głowa Stola, który okazał się łysy jak kolano, odbijała światło padające z ekranów.

–Widzicie – Burns wskazała zegar. – Jeszcze moment... Te podglądy to strefa gorąca i zimna, a to jest dyspozytornia.

Widoczna na monitorze sala zastawiona była zespołami pulpitów sterowniczych, które pokrywały rzędy oświetlonych sygnalizatorów, zegarów i instrumentów pomiarowych. Prawie wszyscy dzierżyli w dłoni kubki z kawą. Kilka osób nadzorowało drukarki wypluwające bezustannie strugi papieru.

–Jeśli będzie O.K. – szepnęła Burns – macie u mnie drinka.

Stol posłał im niechętnie spojrzenie. Layne wpatrzony w narożny monitor dostrzegł, jak palec płowego blondyna wciska duży czerwony taster. Ukazał się napis: „procedura symulacyjna”.

–Włącz fonię – powiedział sucho Stol.

Tu, gdzie stali, szmer z głośnika był słabo słyszalny. Ashcroft nudząc się niemilosiernie spojrział na Burns. Wyglądała na zahipnotyzowaną. Layne patrzył na kolorowe punkty sygnalizatorów biegające po widocznych w kadrze pulpitach.

Wtedy właśnie ktoś zaczął krzyczeć wysokim, histerycznym głosem. Naga czaszka Stola natychmiast pochylila się nad stołem.

–Dyspozytornia, Mark! – ścisnął kostkę mikrofonu. – Co się dzieje?!

Parę osób odskoczyło od pulpitów, kawa z przewróconych kubków popłynęła między klawiszami.

–Mark! – wrzasnął Coghill. Dyspozytornię przeszył jęk syreny. Ktoś krzychał:

–Dekompresja plazmy! Dekompresja... Blady jak ściana mężczyzna wyszarpywał komputerowe wydruki, rozrzucił je wokół. Trzasnęło szkło i plastik, gdy metalowy stół wyrzwał w jedną z kamer powlekając monitor czernią.

–Spokój! – nad rozgardiasz przebił się ryk Marka.

–Dyspozytornia! – zawtórował Stol. – Co się dzieje? Panika zwielokrotniona na ekranach przybierała rozmiary szaleństwa. Dwóch ludzi odciąganych przez trzeciego usiłowało wylamać plastikowe osłony wskaźników. Ktoś się modlił.

–Co robicie?! – głos Stola odbijał się w niewielkim pokoju. – To tylko symulacja!

–Tam! – Coghill wskazał nagle ekrany wielkiej hali reaktora termojądrowego. Ashcroft i Layne dopiero po chwili spostrzegli to, co Stol pojął od razu.

–Mark! Blokuj szóstkę, ktoś uruchomił laser. Rzeczywiście, umieszczona na potężnych łapach rura lasera elektronowego drgnęła i ruszyła w górę.

–Mark...! – powtórzył Stol, ale nie zdołał dokończyć.

Zupełnie nagle Burns skoczyła mu na plecy i przewróciła na podłogę. Jej paznokcie żłobiły skórę głowy Stola głębokimi bruzdami. Coghill zakolysał się niepewnie w fotelu, lecz Ashcroft był szybszy. Bez zastanowienia uderzył kobietę w tył głowy. Na jednym z ekranów widać było białą smugę laserowego światła. Mimo odległości poczuli wstrząs, kiedy zwała się ściana hali montażowej.

–Szóstkę! – wrzeszczał Coghill. – Odłącz szóstkę! W głośniku trzasnęło.

–...wszystko. Nie mogę, szóstka zerwana... Ashcroft pomagał oszołomionemu Stolowi, kiedy kolejny impuls lasera rozciął rampę na dwoje. Jedna z części obsunęła się i wisząc jeszcze moment runęła na dno sali.

–Erich... – wymamrotał Stol. – Jeśli trafią w reaktor...

–Powiedzcie – Ashcroft pchnął go na miejsce – co mam robić? W dyspozytorni znowu ktoś krzychał.

–Promieniowanie na korpusie!

–Oszałeli – mruknął Coghill. Stol nie zwracał na niego uwagi.

–Obwód autonomiczny... – zaczął, ale zaraz drgnął i spojrzał za siebie. To krzychał Layne. Cofając się przed pełznącą w nieludzkich podrygach Burns, szukał za sobą drzwi.

–Zostaw – Ashcroft przeskoczył nad nią i chwycił Layne'a. – Nie widzi cię. Przyciągnął statystyka do stołu. Nawet nie zauważyli, gdzie trafił następny strzał. Odpowiedziały mu wzmożone wrzaski.

–Plomby... – powiedział Stol ocierając zalane krwią oczy.

Obydwaj mężczyźni zerwali białe nici zabezpieczeń i chwycili za dwie identyczne dźwignie.

–Teraz...

Nad monitorami momentalnie ukazał się napis: „automatyczna procedura wygaszania”. Krzyki w głośniku ucichły jak nożem uciął. Ashcroft poszukał wzrokiem monitora. W jakby zamarłej dyspozytorni jedynie parę osób trzymało się na nogach.

–Co wyście zrobili?

Coghill uniósł wzrok.

–Odłączyliśmy komputer centralny, działa inny, wyłączony i zastępuje wszystkie procedury.

–A laser?

Coghill rzucił Stolowi chustkę i wskazał na ekran. Rura lasera właśnie siadała na powrót w łożu.

–Wyprowadźcie ją – powiedział niewyraźnie Stol przykładając materiał do szramy na czole.

Usłyszeli ciche łkanie. W kącie, patrząc z niedowierzaniem na połamane paznokcie, siedziała Burns.

–Co się stało? – zapytała unosząc wzrok. – Co ja zrobiłam?

Ashcroft starając się nie patrzeć jej w oczy pchnął drzwi od korytarza.

Szare, rozwalające się kamienice na ekranie telewizora zdawały się harmonizować z senną atmosferą wewnątrz wieży kontrolnej na dachu budynku policji. Członkowie zespołu przemierzający zapuszczone podwórka i rozsypujące się bulwary nie pasowali do cichej, powolnej muzyki dobiegającej z głośnika. Bliższy jej był Ashcroft stojący w zadumie pod okapem dachu chroniącego lekko pochyłe szyby sali od mżącego deszczu. Siedzący dotąd w środku Lionel stanął w rozsuniętych na całą szerokość drzwiach.

–Zaraz będą – powiedział przesuwając dłonią po nie ogolonych policzkach.

Ashcroft skinął głową. Jego wzrok błędził po ciemniejących w szarości poranka mokrych dachach domów. Wydawało mu się, że lekka, przestrzenna mgła unosząca się w tej chwili coraz wyżej jest spotężniałym nagle dymem z papierosa Lionela. Poprawił krawat i na pierwszy odgłos silnika śmigłowca schronił się do wnętrza. Smukły Bell 206 „Jet Ranger” osiadł lekko, dokładnie na oznaczonym żółto-czarną farbą miejscu. Jego turbinowy silnik, Allison 250, zamilkł nagle i tylko szum obracających się jeszcze łopat zagłuszał melodię sącząca się z telewizora. Błyszcząc odbiciem sinego nieba w szybach, boczne drzwi otworzyły się i dwójka osłaniających się od deszczu zwiniętymi gazetami pasażerów biegiem dotarła do mrocznej sali.

–Po co te szykany? – wysapał Kelly. – Przyjechalibyśmy sami...

–Muszę was przesłuchać – powiedział Ashcroft.

–Przecież robili to już wczoraj pańscy ludzie. Zgubił pan protokoły? Layne sięgnął do tylnej kieszeni po notes.

–Wcześniej mówiłem ci, że trzydzieści procent mieszkańców pochodzi z naszego zatopionego miasteczka przy granicy kanadyjskiej...

–A teraz...

–A teraz zbadalem kartoteki tutejszego oddziału FBI, banków, szpitali, film ubezpieczeniowych i obliczyłem, że około trzech czwartych obywateli wywodzi swój rodowód właśnie stamtąd. Wiesz, o co mi chodzi... migracje niebezpośrednie, potomkowie, i tak dalej...

–Ciągłe uważasz, że to takie ważne?

Layne schował notes.

–Przyznasz jednak, że to dziwne., Takie młode miasto jak to, niczym nie różniące się od innych, w prawie osiemdziesięciu procentach składa się z ludności napływowej, z której ogromna większość pochodzi, przynajmniej w którymś tam pokoleniu, z jednego regionu.

–Nie znam się na statystyce – Ashcroft podszedł do okna, po którym spływały krople deszczu zniekształcając zarysy drzew w parku naprzeciwko.

Gdzieś daleko, nad pomarszczonym podmuchami wiatru stawem, jakiś chłopak całował dziewczynę. W pewnej chwili oderwali się od siebie i rozpryskując błotniste kałuże pobiegli wzdłuż alei, cały czas zupełnie samotni w rozmazanej perspektywie.

–Dostałem raport komisji badającej szczątki samochodu, który rozjechał tych ludzi w ośrodku medycznym.

–I co?

Ashcroft podniósł wyżej trzymaną w ręku kartkę.

–Ze względu na stopień zniszczenia wraku nie istnieje możliwość przeprowadzenia dających realne wyniki badań.

–To wszystko?

–Są jeszcze podpisy członków komisji. Layne zeskoczył z biurka, by zająć fotel Ashcrofta.

–Szkoda, że zaniedbali...

–Nie, Marty. Tu nie chodzi o zaniedbanie, takich raportów po prostu się nie pisze! Nie wiem, co się stało, ale jedyna rzecz, która mi się nasuwa, to przekonanie, że zaszło tam coś wybiegającego poza zwykłą rutynę.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

Ashcroft odwrócił się od okna.

–A ty, gdybyś był starym fachowcem o ugruntowanej opinii i miał opisać coś, co wybiega poza ramy, które nakreśliło twoje doświadczenie – powiedzmy też, że musiałbyś używać wyłącznie sztamkowych, zwykłych i jasnych zwrotów...

–Myślisz, że...

–Przepraszam – wtrącił się Slayton, który wyglądał teraz na dużo bardziej pewnego siebie.

–Bardzo mi miło słuchać o kłopotach panów, ale może zaczęlibyśmy przesłuchanie. Czas ucieka.

Layne spojrział na niego roztargniony.

–Nazywam się... – zaczął Slayton, ale Ashcroft przerwał mu ruchem dłoni.

–Porozmawiajmy poważnie. Chciałbym wiedzieć, jak to było naprawdę ze śmiercią sanitariusza podczas pierwszej próby ucieczki Havoca.

Slayton otworzył usta, ale Ashcroft przerwał mu znowu:

–Interesuje mnie pańska wersja zdarzeń.

–Hm, prawdę mówiąc nie mam żadnej. Layne położył nogi na biurku.

–Obudź mnie, gdy zaczniesz mówić do rzeczy. Slayton poruszył się niespokojnie.

–Nie wiem, co chcielibyście panowie usłyszeć.

–Wszystko, co pan wie o Havocu.

–No... trzeba przyznać, że jego wyzdrowienie jest co najmniej zastanawiające. Ale spytajcie o to Kelly'ego. On jest chirurgiem.

–A pan radiologiem. Czy dawka promieniowania, którą dostał, była absolutnie śmiertelna? Slayton uśmiechnął się rozprostowując nogi.

–Przecież równie dobrze jak ja wie pan, że nigdy nie można tego precyzyjnie określić.

Wszystko zależy od indywidualnych cech...

–Tak czy nie?

–O rany, przecież panu mówię. Zresztą mógł się zepsuć dozymetr Havoca i wskazać większą wartość, mógł dostać kierunkową dawkę albo być czymś częściowo osłonięty.

–Ale zakładając, że dozymetr był w porządku, a Havoc dostał klasycznie, tak jak przewiduje instrukcja?

–Jaka... No więc dobrze – Slayton zacisnął ręce na poręczach krzesła. – Powiem panu. Gdybym to ja był na jego miejscu, ta rozmowa, którą właśnie prowadzimy, mogłaby się odbyć tylko wtedy, gdyby pan popełnił samobójstwo.

–Słucham...?

–Spotkalibyśmy się w zaściatach. Ashcroft podszedł od tyłu do siedzącego i położył rękę na oparciu krzesła.

–Co było z sanitariuszem?

–Nie wiem. Pomylił się.

–Pomylił? Na pewno? Slayton odwrócił głowę spoglądając gdzieś w bok. Jego palce nerwowo

uderzały o kolano.

–A może został zahipnotyzowany przez Havoca? – podsunął Ashcroft.

–Naczytał się pan komiksów.

–Havoc był zamieszany w serię morderstw. Może słowo „zamieszany” jest tu nie na miejscu, ale w każdym razie można łączyć jego osobę z pewnymi zabójstwami. Czy da się kogoś zahipnotyzować przechodząc szybko kilka kroków obok?

–Nie, to zupełnie niemożliwe. Chyba że dana osoba była stymulowana już wcześniej i w konkretnym momencie otrzymała tylko zakodowany w podświadomości znak.

–Czy mogłaby wtedy zrobić coś, co wymaga ułożenia najpierw planu działania?

–Nie.

–To znaczy, że Havoc nie mógł zahipnotyzować kogoś, a potem uaktywnić go z ukrycia tak, że człowiek ten zamordowałby jakąś osobę?

–Konkretną czy przypadkową?

–A jest jakaś różnica? Slayton pokręcił głową.

–O co panu chodzi?

–Czytał pan w gazetach o serii przypadkowych morderstw? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

–Tak.

–Czy jest możliwe, żeby ukrytym sprawcą był Havoc?

Slayton roześmiał się, potem wyjął papierosa i zaczął ugniatać go w palcach.

–Bardziej prawdopodobne, że zrobili to Marsjanie. – Zapalił papierosa pocierając zapalke o but Layne'a. – Czy morderców badali lekarze sądowi?

–Psychiatrzy? Tak.

–Więc hipnoza jest niemożliwa. Odkryliby to.

Ashcroft rozluźnił krawat, podszedł z powrotem do okna.

–Jakie było prawdopodobieństwo wyzdrowienia Havoca? Tym razem z punktu widzenia zwykłych uszkodzeń ciała.

–Według mnie mało prawdopodobne, ale specjalnie dla pana powiem, że żadne.

–A więc cud?

–W medycynie zdarzają się cuda. Czasami nawet jest ich dużo.

Ashcroft oparł ręce na szybie. Atmosfera na zewnątrz nadal tchnęła spokojem i sennością. W parku na jednej z ławek siedział teraz ostrzyżony na jeża chłopak jedzący kanapkę. Jego letnia kurtka była szczelnie zapięta i miała postawiony kołnierz. Niemniej jednak chłopak wyglądał na przemokniętego.

–Panie Slayton – odezwał się nagle Layne zdejmując nogi z biurka – byliśmy wczoraj świadkami pewnego dziwnego wydarzenia. Co według pana może spowodować nagły szal wśród dużej liczby osób?

Oczy Slaytona uniosły się na chwilę ku sufitowi.

–Musiałbym wiedzieć coś więcej. Może napięta sytuacja, nagły stres...

–Nie, nie, to odpada.

–W takim razie może nagle rozpylenie w powietrzu środków psychotropowych. Słyszałem, że istnieją gazy bojowe...

–Część ludzi będących razem z tamtymi zachowywała się normalnie – przerwał mu Layne.

–Domyślam się, że przedtem nikt nie wstrzyknął im antidotum?

–Nie – Layne pochylił się do przodu. – Czy w grę mogą wchodzić jakieś rodzaje promieniowania, a może pole magnetyczne?

Slayton ze sceptycznym uśmiechem na twarzy zaprzeczył ruchem głowy.

–A może promieniowanie biologiczne? – Layne nie dawał za wygraną.

–No dobrze. Złożę oświadczenie – powiedział Slayton. – Zbiorowy szal spowodowany został czarami, czyli rzuceniem uroku. O to panom chodziło...? Sam już nie wiem, czy jestem w gmachu policji, czy na zebraniu kółka spirytystycznego.

Layne opadł z powrotem na oparcie, a Ashcroft podszedł do drzwi.

–Widzę, że nie dojdziemy do niczego. Dziękujemy panu. Wychodząc proszę zawołać tego drugiego pana.

Ashcroft otworzył drzwi.

Grupa dziennikarzy wpadła do środka przekrzykując się wzajemnie. Nad wszystkim górował jednak głos Kelly'ego.

–Slayton! Jeśli cię bili, to powiedz. Nie bój się, powiedz wszystko!

–Czy próbowano pana zastraszyć? – jakaś kobieta podtykała Slaytonowi mikrofon pod usta.

–Czy wywierano na pana presję pokazując narzędzia nacisku fizycznego? – krzyczał ktoś z tyłu.

Wysoki mężczyzna w ciemnym nieprzemakalnym płaszczu z wyrazem triumfu na twarzy fotografował wiszącą na ścianie myśliwską strzelbę. Drugi, w rozchełstanej garniturze ciągnął za sobą długi kabel rycząc cały czas do ogromnego mikrofonu:

–Drodzy radiosłuchacze, jesteśmy teraz w gabinecie oficera policji, dla którego prawo nic nie znaczy. Oto Neal „Wampir” Ashcroft, człowiek, przed którym drżą niewinni obywatele. Co

pan ma na swoją obronę?

–Proszę nie ruszać tych szuflad. Tam są poufne materiały.

Ashcroft usiłował odepchnąć mężczyznę w nieprzemakalnym płaszczu od biurka.

Człowiek z mikrofonem wziął do ręki oprawioną w metal policyjną pałkę z dedykacjami od kolegów ze szkoły policyjnej.

–„Wampir” Ashcroft narzędzia brutalnego terroru nazywa poufnymi materiałami! Słuchacze, podatnicy, czy będziemy to dalej tolerować?

Slayton wyrwał się z kordonu dziennikarzy i wypchnął Kelly’ego na zewnątrz.

–Coś ty znowu wymyślił? Kim są ci ludzie?

Kelly rozłożył ręce.

–Czyżbyś myślał, że w tak krótkim czasie ściągnę reporterów z „Life’u” czy „US News”?

Podzwoniłem po redakcjach miejscowych brukowców.

–I coś ty im naopowiadał? Niepotrzebnie rozkręciłeś całą hecę.

–A co? Ashcroft i ten drugi nie próbowali się odgrywać za numer z oponami?

Slayton skrzywił się i westchnął.

–No dobra, wyglupilem się – w głosie Kelly’ego zadrgały nutki skruchy. –

Powiedz lepiej, o co cię pytali?

Slayton machnął ręką.

–To wariaci. Chcieli wiedzieć, czy można mordować wbijając szpilki w fetysze, czy umiem lewitować i czy nie spałem z czarownicą voodoo.

–O, cholera...

–Chodźmy się lepiej czegoś napić, zanim spławią tych dziennikarzy. Nie widziałeś gdzieś w pobliżu barmana przelatującego na miotle?

* * *

Siąpiący deszcz zmienił się w ulewę, z którą nie mogły sobie poradzić nawet pracujące na maksymalnej szybkości wycieraczki. Fontanny brudnej wody tryskały spod kół pędzących samochodów i zalewały witryny stojących zbyt blisko jezdni sklepów.

–Często macie taką pogodę? – spytał Layne.

Ashcroft pochylił się nad kierownicą, usiłując dojrzeć coś przez zalewaną strugami wody szybę. Nie zwalniał jednak ani trochę.

–To powietrze znad Zatoki. Zawsze psuje nam osiemdziesięciostopniową sielankę, jeśli ci o to chodzi.

–Znad Zatoki? Będziemy mieli tajfun?

–Może... – Ashcroft przycisnął hamulec wpadając w kontrolowany poślizg, potem znowu dodał gazu. – Spieszę się, bo pokpiłem tę sprawę – wyjaśnił.

–Dlaczego?

–Dowiedziałem się, że pod magazynem antykwariusza postawiono Barry’ego.

–No to co? Przecież ma zdjęcie Havoca.

–Zdjęcie może ma, ale nie słyszałem jeszcze, żeby Barry kogokolwiek rozpoznał. On jest z działu technicznego.

Ashcroft znowu przycisnął hamulec i sunąc prawie bokiem ustawił się między dwoma furgonetkami przy krawężniku.

–Chodź, to tutaj.

Ponure ciasne wnętrza wcale nie przypominało księgarni. Stare zakurzone meble, mroczne obrazy i wyliniałe wypchane zwierzęta zagracaające dolną salę przywodziły raczej na myśl magazyn dekoracji jakiegoś podrzędnego teatru.

–Zaraz schodzę – dobiegł ich głos z zamocowanej prawie pod sufitem żeliwnej galeryjki.

Layne i Ashcroft podeszli do zmatowiałej ze starości lady.

–Tu są same śmiecie – mruknął Layne. – Ciekawe, czy piękna Maureen nie wystawiła nas do wiatru.

Ashcroft wziął do ręki potargany numer „Esquire’a” i trzymając go w wyciągniętych rękach przerzucał wystrzępione kartki.

–Oczywiście, że nie ma sensu – z góry dobiegał ich ten sam głos. – Proszę to zostawić, a potem zapakujemy wszystko razem.

–Mam nadzieję, że mogę na pana liczyć? – odezwał się ktoś inny.

–Roth i Gellerstein to bardzo solidna firma. Zapewniam pana, że wszystko będzie w porządku...

Layne zaintrygowany trzymanym przez przyjaciela starym magazynem zajrzał mu przez ramię. Gdzieś z tyłu rozległ się loskot kroków, wzmocniony rezonansem metalowych schodków. Trzasnęły wyjściowe drzwi, a zaraz potem z tyłu padło pytanie:

–Czym mogę panom służyć?

Odwrócili się jednocześnie.

–Pan Roth?

–Nie, Gellerstein, słucham panów.

–Jesteśmy z policji – Ashcroft pokazał staruszkowi odznakę. – Podobno George Havoc zamawiał u pana książki...

Starszy mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

–Tak, zgadza się. To bardzo rzadkie pozycje. Musiałem wysłać zamówienie aż do Nowego Jorku.

–Czy ma pan je tutaj?

–Tak. Dwie dostałem już dzisiaj, a trzecią obiecali przysłać najpóźniej w piątek. – Staruszek zawrócił ku metalowym schodom. – Zaraz panom pokażę.

Wrócił po chwili dźwigając dwa opasłe tomy.

–Proszę, to „Archeologia Południowej Arabii” Cornsa z pięćdziesiątego drugiego roku. A to „Legendy perskie”. Unikatowe wydanie, oprawione w grubą cielecą skórę. Tylko sześćset egzemplarzy. Rok wydania tysiąc dziewięćset drugi.

Layne dotknął szarego grzbietu książki.

–Co jeszcze ma przyjść? – spytał.

–A to już rzecz zupełnie nowa, choć niedostępna w księgarniach. Chodzi o uniwersytecki raport z prac archeologicznych prowadzonych przez ekipę Hartmana. Pana Havoca interesuje zeszyt: „Wzgórza 1114 i 1115”.

–Musimy zarekwirować te książki – powiedział Ashcroft.

–Hm, nie prowadzę przedsiębiorstwa charytatywnego.

–Ile jesteśmy panu winni?

–Trzysta pięćdziesiąt dolarów.

–Ile?!

–Już mówiłem, że to prawie unikatowe pozycje... Ashcroft krzywiąc się wypisał czek.

–Przyjmie pan to? – spytał wyrywając podłużną karteczkę.

–Od pana oczywiście. Jak mógłbym nie wierzyć policji? Ashcroft ciągle z kwaśną miną schował książeczkę do wewnętrznej kieszeni.

–Chcielibyśmy też prosić pana o współpracę...

–Tak...?

–Interesuje nas pan Havoc osobiście. Jeśli przyjdzie odebrać książki w piątek, nasi ludzie powinni na niego czekać i...

–Czy jest poszukiwany?

–Tak.

–No to dlaczego panowie nie powiedzieli od razu. Mogliście go przed chwilą aresztować.

–Co?! Staruszek uśmiechnął się ponownie.

–Był tu przecież przed chwilą. Wszedł, kiedy panowie przeglądali magazyn... Ashcroft bez słowa rzucił się do drzwi. Layne chciał coś powiedzieć, ale chwycił tylko książki i pobiegł za nim. Dopadł do samochodu w momencie, kiedy Ashcroft zaczął krzyczeć do mikrofonu:

–Do wszystkich patroli w okolicy Pitt's Center! Na Dellen Avenue lub w jej pobliżu kręci się poszukiwany George Havoc. Natychmiast podjąć poszukiwania. Powtarzam...

–Tu „Jane 200”. Zgłaszam się na wezwanie.

–Tu „Jane 217”. Jadę wzdłuż Dellen Avenue. Brak jakiegokolwiek ruchu na chodnikach...

Ashcroft nerwowo kręcił galką odbiornika. Niestety, pochodzące od zakłóceń szumy i trzaski nie chciały ustąpić.

–Tu „Jane 200”. Widzę mężczyznę o wyglądzie odpowiadającym...

–Śledź go! Jedź za nim!

–Tu „Jane 200”. Podejrzany skręcił w zaułek obok sklepu Krugera. Wchodzi w jakąś bramę.

–Halo, „Jane 200”! Nakazuję natychmiastowe aresztowanie!

–Zrozumiałem. Opuszczamy samochód.

Ashcroft przekręcił kluczyk tak, jakby chciał wyrwać go razem ze stacyjką.

Samochód ruszył zawiadając o zderzak furgonetki i ślizgając się na mokrej nawierzchni pomknął wzdłuż metalowej siatki zabezpieczającej chodnik. Przed sklepem Krugera skręcili gwałtownie. Piszczące opony na dłuższy czas straciły przyczepność i samochód zatrzymał się dopiero zrobiwszy prawie pełny obrót.

–Do której bramy weszli policjanci? – krzyknął Layne do niskiego, zanoszącego się kaszlem mężczyzny, którego podtrzymywała drobna dziewczynka.

Pojemniki z farbą w aerozolu wystające z jej kieszeni świadczyły, że to ona była autorką fantastycznych węzowych postaci namalowanych na ścianie domu.

–Hej, słyszy mnie pan?

Mężczyzna podszedł bliżej i nie odejmując od ust chusteczki wskazał na najbliższe przejście.

–Tam – wycharczał i znowu zaniósł się kaszlem. Wyskoczyli z samochodu i starając się nie upaść pobiegli w kierunku bramy. Zanurzili się w gęsty mrok, ale już po chwili stanęli na widok

dwóch rozglądających się bezradnie policjantów.

–Gdzie on jest? – spytał Ashcroft.

–Uciekł. – Starszy policjant schował rewolwer do kabury. – Wbiegł tutaj, ale można opuścić to miejsce w co najmniej pięciu kierunkach.

Layne dopiero teraz dostrzegł rozgałęzienie korytarza.

–Wracamy?

Ashcroft skinął głową. Powlekli się z powrotem, z wściekłością rozpryskując wodę kałuży. Tuż przed samochodem Layne przystanął nagle i ruchem ręki przywołał Ashcrofta. W poprzek chodnika biegł rozmazany jaskrawozielony napis:...AND CRY -HAVOC...!

Layne spojrział na pobliski mur zaludniony również jaskrawymi, chorobliwie powykęcanymi postaciami. Ich wielkie błyszczące oczy zdawały się patrzeć wprost na niego.

–To twoja robota? – spytał Ashcroft na stojącą obok, samotną już dziewczynkę.

Mała skinęła głową.

–Dlaczego to zrobiłaś?

–Ten pan, który tu stał, prosił mnie o to – dziewczynka nagle okręciła się na pięcie i pobięła przed siebie.

Na chwilę jeszcze jej twarz pojawiła się zza narożnika.

–Jedźcie tyłem! Jedźcie tyłem! – krzyknęła i znikła bezpowrotnie.

–Jeden zero dla niego – mruknął Layne.

Ashcroft spojrział mu w oczy, potem odwrócił głowę i otworzył drzwiczki.

–Do zobaczenia w piątek, George – szepnął wsiadając do samochodu.

Zaraz jednak wysiadł znowu. Przednia szyba była zamalowana na niebiesko.

* * *

Wóz policyjny stał zaparkowany pod wysokim wiaduktem, skąd od czasu do czasu, gdy przejeżdżały wielkie kontenerowce, dobiegał głuchy łoskot. Posterunkowy Pandey palił papierosa, starannie wypuszczając dym nad skrajem ledwo opuszczonej szyby. Jedyne o czym marzył, to aby sierżant Kirkpatrick spał jak najdłużej.

Wyciągnięte w rozłożonym fotelu ciało zwieńczone było zakrywającym twarz kapeluszem. Kirkpatrick byłby całkiem miłym gościem, gdyby nie to, że bez przerwy mówił o żarciu. Ostatnio o mało nie doprowadził Pandeya do szoku i zarazem ślinotoku, opowiadając, jak się przyrządza sos cumberland na winie madera.

–Patrol „Celia 180”, zgłoś się – dobiegło od deski rozdzielczej.

Zanim Pandey wypstryknął papierosa, sierżant zgrzytając oparciem zdążył już przyjąć pozycję siedzącą. Jego palec bezbłędnie trafił w napis „odbiór”.

–Kirkpatrick, słucham.

–Jedźcie na Jefferson Square siedem, jakiś szaleniec wdarł się do ogniska opieki dziecięcej.

Sierżant uruchomił silnik i z wizgiem wycofał parę metrów.

–Lat około dwudziestu, uzbrojony w nóż. Tam jest mnóstwo dzieci...

Pedał gazu przyciśnięty do samej podłogi sprawił, że ruszyli jak rakieta, podrzuceni na dodatek bruzdą krawężnika.

–Zatrzymajcie go, broni użyć tylko w ostateczności, zrozumieliście...?

Przy kolejnym zakręceniu głowa Pandeya rozplaszczyla się na szybie, aby zaraz potem odskoczyć w drugą stronę.

–Będziemy za dwie minuty – powiedział Kirkpatrick odpychając go ramieniem.

Mężczyzna w białym pontiacu dokonał cudu, aby uniknąć zderzenia. Musiał skądś wiedzieć, że zderzaki wozów policyjnych są odpowiednio wzmocnione. Światło na dachu i jęklive zawodzenie syreny uprzedzało jednak większość kierowców.

–Trzymaj się – powiedział sierżant. – Pojedziemy na skróty.

Pandey nie zadając żadnych pytań chwycił kurczowo zamontowany nad drzwiami uchwyt. Kirkpatrick nie rzucił słów na wiatr.

Uderzając w pudło automatu z gazetami wjechali na chodnik i miażdżąc niski płotek zjechali na strzyżony trawnik parku. Sprzed maski rozprysła się grupa chłopców na wrotkach. Sierżant przesuwając językiem po wargach żonglował między stosunkowo licznymi drzewami, aby na końcu przebić gęsty żywopłot. Kiedy Pandey otworzył oczy, dojeżdżali już do krawężnika. Kilkunastoosobowy tłum wyraźnie wskazywał właściwy adres. Nie zamykając drzwiczek wybiegli z wozu. W dłoni sierżanta pojawił się czarny rewolwer o krótkiej lufie.

–Wchodzisz za mną, potem w lewo – krzyknął.

W sieni domu, przy stercie zwalonych ubrań, stała kobieta. Jej twarz była podobnego koloru co siwe włosy. Wskazała wiszące tylko na górnym zawiasie drzwi.

Sierżant wywalił je do końca jeszcze jednym kopnięciem i wpadł do dużej sali, z wysokimi, sięgającymi sufitu oknami. O mało nie potknął się o leżącego na podłodze starszego człowieka. Spomiędzy palców obejmujących głowę ciekła strużka krwi.

–Tutaj! – usłyszeli okrzyk z przeciwległego kąta.

Pośród powywracanych koników i zabawek elektrycznych stała z młotkiem w dłoni korpulentna kobieta.

–Mam go tutaj. Dzieci uciekły... Zdążyły...

Chłopak siedzący na podłodze miał zalęknione i rozbiegane oczy. Chciał chyba coś powiedzieć na widok policjantów, lecz ruch młotka zmusił go do zamknięcia ust.

–Co tu się działo? – rewolwer sierżanta nie schodził z torsu chłopaka.

Pandey przysunął do siebie leżący na podłodze nóż. Był to wojskowy bagnet.

–To wariat – kobieta wskazała młotkiem. – Wszedł zaraz za matką jednego z dzieci, myśleliśmy, że to jej znajomy. A on się rzucił na małego Phillipa...

Pokazała na trzymany przez Pandeya przedmiot.

–Nasz wychowawca próbował go obezwładnić...

Sierżant zrobił krok do przodu i chwycił chłopaka za kołnierz.

–No... – próbował go podnieść, lecz ten zawisł w jego dłoni jak szmaciana lalka.

Kirkpatrick zerknął na kobietę.

–Kto go tak urządził?

Po jej twarzy nagle pociekły łzy.

–To straszne... już prawie złapał Phillipa, kiedy raptem... – chlipnęła – stał się cud. Ten zbój nagle jakby osłabł, wypuścił nóż i siadł na podłodze.

Kirkpatrick uniósł podbródek chłopaka lufą rewolweru.

–Coś ty tu robił?

W matowym spojrzeniu chłopaka błysnęła panika.

–Nie wiem... – powiedział.

Kirkpatrick i Pandey przyglądali się jego twarzy.

* * *

Mimo że sala nie miała okien, nie trzeba było wychodzić na zewnątrz, aby przekonać się, jaka jest pogoda. Skórzane i drelichowe kurtki zbyt dobrze świadczyły, iż prognozy zapowiadające kilkudniowe ochłodzenie nie kłamały. Ashcroft stał przed siedzącymi na krzesłach dziesięcioma mężczyznami i końcem wskaźnika stukał w rozpiętą na stojakach mapę przedstawiającą Dellen Avenue wraz z najbliższą okolicą.

Sklep antykwariusza oznaczono jasnożółtym kwadratem. Layne niemal na palcach wsuwał się do sali.

–Czy są jakieś pytania? – dobiegło od strony podium.

Mężczyzna, którego twarzy Layne nie był w stanie dojrzeć, uniósł niedbale rękę. Miał twardy miejski akcent.

–Chcę się upewnić – zaczął. – Bo z tego wszystkiego wynika, że policja w ogóle nie będzie zabezpieczać okolicy.

Dennis musiał siedzieć gdzieś przy podium, ale dopiero teraz jego głowa wyłoniła się ponad ludzi.

–Sprawa kapitana Ashcrofta jest... – świadomie zrobił pauzę – powiedzmy nietypowa. Wasza firma lotnicza, na prośbę burmistrza, poszła nam na rękę odstępując nam was. Inaczej nie moglibyśmy prowadzić akcji, mamy wiele innych spraw na głowie.

Ashcroft skrobał metalową końcówką jakiegoś narzędzia klepki podłogi.

–Nie zaprzeczam – uniósł głowę. – Policja się nie nudzi, ale ujęcie tego człowieka może wyjaśnić całą serię zagadkowych morderstw.

Brygada antyterrorystyczna była wyraźnie rozbawiona tą różnicą poglądów. Dennis rozszerzył usta w nieprzyjemnym grymasie.

–Te morderstwa, Neal, ustały.

–Za szybko. – Ashcroft zwolnił przycisk, mapa zwinęła się z hałasem. – Stanowczo za szybko, jak na jakąś zaprogramowaną akcję.

Dennis zamasyście złożył dłonie.

–Ano zobaczymy... – mruknął enigmatycznie, potem obrócił się do sali. –

Niemniej raz jeszcze dziękuję waszym liniom za pomoc.

Drobnym krokiem, niezznacznie poprawiając pod marynarką uciskający go pasek, ruszył ku drzwiom. Kiedy mijał próg, Layne poczuł drażniący zapach potu.

–Myślę – głos Ashcrofta jakby swobodniej rozchodził się teraz w sali – że wszystko jest omówione i uda nam się zatrzymać George’a Havoca bez problemu.

Dlatego dziękuję panom. Do zobaczenia jutro.

Layne uniósł się z fotela i idąc pod prąd ruszających ku wyjściu ludzi przesuwiał się ku Ashcroftowi. Zanim dotarł na podium, ten zdążył już uruchomić rząd terkoczących wentylatorów, potem opadł na fotel. Po raz pierwszy Layne dostrzegł u niego worki pod oczyma.

–Rozmawiałeś z Kellym i Slaytonem? – spytał Ashcroft, kiedy już wszyscy

wyszli zostawiając ich w monotonnym hałasie wentylacji.

–Tak.

Ashcroft ciężko westchnął, tak samo jak rano, kiedy oglądał swoją twarz na pierwszych kolumnach kilku szmatławców.

–I co? Zgodzili się uczestniczyć w akcji?

–Tak, będą tutaj, w gmachu, na pół godziny przed zbiórką. Ashcroft z zadowoleniem skinął głową i pstryknął palcem w teczkę Layne’a.

–Masz tam coś ciekawego? Layne zwolnił zamek.

–Słyszałeś o... – zastanawiał się przez moment – dynastii Sasanidów? Palce Ashcrofta szperały pod szyją rozpinając koszulę. Miał przy tym minę, jakby chciał sobie odgryźć wargę.

–Nie znęcaj się nade mną. Co znalazłeś?

–Mam nadzieję, że wiesz, gdzie jest Półwysep Arabski? Ashcroft położył nogi na stole.

–Bawisz się dobrze?

–Przepraszam. – Layne przyciągnął fotel zostawiony przez Dennisa. – Poczekaj chwilę.

Zanurzył dłoń w teczce i wyciągnął opasły tom „Legend perskich” przełożony tekturową zakładką. Nie otworzył go jednak.

–Wolę opowiedzieć ci własnymi słowami. To podanie beduińskie, jak sądzę, jeszcze sprzed okresu wielkich podbojów islamu w VII czy VIII wieku.

Ashcroft zadarł głowę ku wirującym łopatom wentylatora.

–Chcesz powiedzieć, że znalazłeś odpowiedź na pytanie, dlaczego Havoc morduje ludzi?

Kaszel Layne’a był nienaturalny.

–Zaczekaj – uderzył lekko w karty książki. – Opisano tu dzieje pewnego plemienia, bogatego i trzymającego w posłuchu wszystkie okoliczne ludy. Dzięki temu opływało we wszelkie dobra i przez lata nic mu nie było w stanie zagrozić. Wszystko to zaś było zasługą władców plemienia, zawsze wywodzących się z tego samego rodu. Mieli oni dziwną moc, która zapewniała im całkowitą kontrolę nad swoim ludem, a ponieważ byli mądrzy, potrafili to wykorzystać.

Ashcroft założył stopę na stopę, ale nie odezwał się. Layne opuścił wzrok na książkę.

–Jak łatwo się domyślić, tym, co przerwało sielankę, był wewnętrzny rozłam.

Tak, tak... – Layne przytaknął dostrzegając ruch warg Ashcrofta. – Dwóch braci. Talib, ogarnięty przez zło, postanowił wykorzystać swoje możliwości dla zawładnięcia światem. Drugi z braci, Samandal, próbował go powstrzymać, oczywiście bez skutku. Nie miał żadnych szans, ponieważ Talib już od dzieciństwa przejawiał większe zdolności w kierowaniu ludźmi. Kiedy dojrzał w nim plan podboju, najpierw postanowił zabić brata, a potem ze ślepo posłusznym ludem uderzyć na sąsiednie plemiona. Nie przewidział jednego. Samandal uciekł do króla Persów i oskarżył Taliba o spisek z Bizancjum. Uczynił to świadomie, wiedząc, że musi zniszczyć swój lud, zanim ten zagrozi światu. Persowie zaatakowali Taliba i mimo twardego oporu pokonali go. A teraz uważaj...

Layne zdjął okulary i przetarł ich zachodzące za uszy końce.

–Śmiertelnie ranny Talib nakazał swoim ludziom ująć w jak najdalsze strony, mówiąc, że przyjdzie jeszcze jego czas. Nie za ich życia ani za życia ich wnuków. Kiedy jednak ta chwila nastąpi, wszyscy znów połączą się i pod przywództwem jego potomka odzyskają dawną potęgę, przy czym będzie ich wtedy znacznie więcej. Dodał, że gdy przyjdzie pora, sami znajdą swego wodza.

W ciszy wyraźnie słychać było szum wentylatorów i dobiegające zza drzwi korytarza odgłosy rozmowy. Nogi Ashcrofta uniosły się, a potem zataczając łuk opadły na podłogę.

–Nie sądzisz, że to sprawa dla psychiatry? – spytał. – Kto wie, może masz rację. Havoc rzeczywiście może uważać się za potomka Taliba...

Layne mimowolnie przetarł palcami szkła, rozmazując na nich tłuste smugi.

–Posłuchaj czegoś jeszcze – wcisnął okulary na miejsce. – Corns w swojej „Archeologii Południowej Arabii” pisze, że w 570 r. p.n.e. tereny dzisiejszego Jemenu zostały zajęte przez władcę Persów Chozroesa I Anuszirwanę, co zresztą było bezpośrednią przyczyną późniejszej wojny persko-bizantyjskiej. Corns w pracy tej wspomina również o legendzie, twierdząc, że nie jest to z pewnością apokryf. Uważa, że takie plemię, mające pod sobą obszar między Morzem Czerwonym a Zatoką Adeńską, rzeczywiście istniało. Okres jego świetności zapoczątkowany w piątym wieku zakończył najazd Persów, rzeczywiście spowodowany zdradą jednego z władców. Świadczą o tym wykopaliska, a konkretniej...

Layne śliniąc palec przerzucił kilka kartek z drugiej książki.

–Właśnie, w czasie prac prowadzonych na początku lat trzydziestych odkryto ruiny, co już samo w sobie jest zaskakujące, jeśli chodzi o plemiona beduińskie, znaleziono także płaskorzeźby. Wryte tam historie potwierdzają niemal dosłownie przekaz z legendy.

Uniósł wzrok dokładnie w chwili, gdy Ashcroft nachylał się ku niemu.

–Umówmy się nazywać rzeczy po imieniu – powiedział kapitan wyraźnie rozdzielając słowa. – Czy ty poważnie sugerujesz, że Havoc jest nowym wcieleniem Taliba, czy jak mu tam, i siłą woli rozkazuje ludziom?

Twarcz Layne’a była bez wyrazu.

–Nie, ale znając te książki może być o tym przekonany.

–I samo przekonanie wystarcza, aby działo się wokół niego to, co się dzieje? Książki zamknęły się z hałasem.

–W takim razie pozostaje uznać, że legenda jest prawdziwa i właśnie się spełnia.

Ashcroft zachnął się.

–Bzdura.

Wdusił z całej siły przycisk, obroty wentylatora ustały.

–Pamiętaj o imigrantach z początku wieku. – Layne zatrzaskał zamek teczki. – Taki napływ ludności z całego świata do jednego kraju nie miał precedensu.

–Do diabła z tym... – Ashcroft opędział się jak od natrętnej muchy. – Trudno, żebym zaczął wierzyć w wędrówkę dusz skrzyżowaną z hipnozą. Możesz to jakoś wytłumaczyć?

Ramiona Layne’a uniosły się bezradnie.

–Niemniej dla Havoca ma to znaczenie.

–Cholerny wariat, niech ja go tylko dorwę. – Ruchem stopy dotknął teczki Layne’a. –

Dowiem się, po co zaznaczył tę legendę.

Layne uśmiechnął się zza brody.

–To nie on.

–Co nie on?

–Nie on zaznaczył. Ja sam to zrobiłem.

–Dlaczego? – Brwi Ashcrofta wygięły się jak gotyckie łuki. – Dlaczego akurat na nią trafiłeś?

–Widzisz... Może dlatego, że książka sama otworzyła się w tym miejscu, a może... Sam nie wiem...

–Poczekajmy do jutra. Dziś wieczorem zajmijmy się wreszcie czymś normalnym.

Layne poruszył się w fotelu.

–Nie bój się – uspokoił go Ashcroft. – To tylko małe przyjęcie. Na konto jutrzejszych wyborów do rady miejskiej.

–To świetnie – wargi drgnęły Layne’owi w uśmiechu. – A już się bałem, że trupy to jedyna wasza rozrywka.

*** * ***

Layne, skulony na wąskiej podłodze żeliwnej galeryjki po raz kolejny zmienił niewygodną pozycję, kopiąc przy tym leżącego tuż obok Ashcrofta. Ten spojrział na niego i przyłożył palec do ust. Przebywali w starym antykwariacie od samego rana. Dawno już minęło południe, a oni coraz bardziej głodni czekali, czując, że jeśli przyjdzie im poleżeć tak jeszcze parę godzin, być może później nie będą w stanie się podnieść.

Na dole Gellerstein, oparty o szeroki kontuar, spławiał nielicznych klientów i coraz częściej spoglądając na zegarek mamrotał jakieś przekleństwa. Od czasu do czasu rzucał też niechętnie spojrzenia w stronę Kelly’ego i Slaytona, którzy z minami wyrażającymi najwyższe cierpienie przeglądali ciągle ten sam oprawiony w kolorową folię słownik.

Wielki zegar na ścianie wybijał właśnie trzecią, kiedy do sklepu weszła opięta plastikowym kombinezonym Murzynka. Powiewając prostymi, ufarbowanymi na blond włosami podeszła do kontuaru. Nie zdążyła otworzyć ust, kiedy Slayton przyłożył jej palec do płeców.

–Ręce do góry – szepnął.

Murzynka spojrziała na niego zalotnie. Slayton uśmiechnął się i podniósł wzrok ku metalowej barierce, zza której wychyliły się głowy Ashcrofta i Layne’a.

–Nie strzelajcie, to nie Havoc – powiedział.

Dziewczyna położyła swoją dłoń na jego ręce i uśmiechnęła się szeroko. Zaraz jednak odsunęła się, widząc czerwieniejącą twarz Ashcrofta.

–Slayton! Jeszcze jeden taki numer...

–Bez przesady – wtrącił się Kelly. – On nigdy nie przyjdzie.

–Właśnie... mamy tu siedzieć do końca życia? Murzynka zrobiła krok do tyłu.

–To ja już sobie pójdę!

–Stać! Zatrzymujemy panią – krzyknął Ashcroft.

–Za co?

–Przez tego idiotę. Zaczeka pani tutaj, żeby nie spalić pułapki.

–Mam ważne kolokwium. – Dziewczyna cofała się w stronę wyjścia. – Nie mogę zostać.

Kelly odprowadzający ją wzrokiem odruchowo uklonił się stojącemu w drzwiach mężczyźnie.

–Dzień dobry, panie Havoc...

–Cześć, Kelly – mruknął tamten. – O, jest i Slayton. Czekacie na mnie?

–Tak – wyrwało się Kelly’emu. – Nie, nie – poprawił się. – To jest...

–Brać go! – krzyknął Ashcroft. – Uwaga, grupa na zewnątrz blokować ulicę. – Odrzucił niepotrzebną krótkofalówkę i przesadzając barierkę zeskokczył na dół.

Dwóch żołnierzy wyskoczyło zza wielkiej szafy. Jeden poślizgnął się, ale już po chwili oba karabiny mierzyły w pierś Havoca. Murzynka okazała się jednak szybsza. Obiema rękami chwyciła lufy i skierowała na siebie. Dopiero teraz Havoc skoczył do tyłu. Udało mu się wyminąć nadbiegających żołnierzy i powalić jakiegoś przechodnia, który rozkładając ramiona zastąpił mu drogę.

–Łapcie go! – krzyczał Ashcroft. – W razie konieczności strzelać w nogi!

Oslaniając twarz wyskoczył na chodnik prosto przez wystawową szybę. Layne, który zdążył już zbiec po krętych schodach, zderzył się w drzwiach z Kellym i Slaytonem. Po krótkiej szamotaninie popchnięci przez żołnierzy wypadli na zewnątrz i ślizgając się na odłamkach szkła ruszyli biegiem w kierunku, skąd dobiegały ich najgłośniejsze krzyki ludzi. Wraz z grupą kilku sapiących pod kuloodpornymi kamizelkami członków grupy szturmowej wpadli do zatłoczonego supermarketu.

Havoc umykał wąskim przejściem między stojakami obwieszonymi mieszaniną płaszczy, futer i garniturów.

–Stój! – krzyknął któryś z żołnierzy. – Stój, bo strzelam!

Havoc przewrócił najbliższy stojak usiłując opóźnić pościg, ale było jasne, że biegnący z tyłu dopędzą go lada moment. Żołnierz, który wysforował się do przodu, w biegu zerwał z najbliższego filaru gaśnicę i stękając z wysiłku rzucił ją do przodu. Havoc upadł ugodzony w nogi, a żołnierz rzucił się na niego, kolbą karabinu przygniatając do ziemi szyję leżącego.

W tym momencie rząd wieszaków przymocowanych do grubej aluminiowej ramy wysunął się z boku, zagradzając drogę reszcie grupy. Layne naparł na nią ramieniem, ale nikt się nie przyłączył. Poczul nagle, jak ktoś wskakuje mu na plecy i

wykorzystując jego ramiona przedostaje się górami. Ashcroft z resztą żołnierzy rwąc i tratując skłębioną masę luksusowych ubrań przedzierali się na drugą stronę. Layne upadł na ziemię i z trudem, obcierając plecy, przeczołgał się dołem.

Żołnierza, który złapał Havoca prawie nie było widać spod góry kłębiących się i krzyczących coś niezrozumiale ciał.

–Ludzie, co robicie?! – płakał z boku jakiś staruszek. – Przeszkadzacie policji w ujęciu przestępcy...

Trzech obwieszonych projektami studentów stało pod ścianą, z pewnym przerażeniem obserwując rozgrywającą się przed nimi scenę. Jeden z nich przełamał się nagle, skoczył do przodu i chwycił za włosy jakąś kobietę kopiając skuloną na ziemi postać. Usiłował odciągnąć ją do tyłu, ale kobieta ugryzła go w rękę i ciosem łokcia w splot słoneczny pozbawiła oddechu. Kolega podtrzymał go, ale nie zamierzał angażować się w bójkę.

–Tam! Tam uciekł – krzyknął histerycznie, wskazując dział spożywczy. – Utyka

na lewą nogę!

Ashcroft spojrział w tamtym kierunku. Szerokie, całkowicie otwarte drzwi zastawione były trzymającymi się za ręce ludźmi. Mimo że wyglądali na przypadkowych klientów, było pewne, że nie rozejdą się na wezwanie. Zanim Ashcroft zdołał zanalizować sytuację, rozwścieczeni pobiciem kolegi żołnierze błyskawicznie sformowali klin i z ustawionymi na sztorc, jak przy ataku na bagnety, karabinami ruszyli do przodu. Na wzór szarżującej konnicy posuwali się najpierw powoli, potem coraz szybciej, by wreszcie daleko przed stłoczonymi ludźmi ruszyć biegiem. Layne skrzywił się odruchowo, kiedy przy akompaniamencie nieludzkich wrzasków wyciągnięte lufy wbiły się w żywy mur łamiąc żebra i wybijając zęby. Ława żołnierzy skłębiła się, ale prawie nie tracąc impetu rozerwała desperacką obronę i przetaczając się po przewróconych ludziach wtargnęła do środka. Ashcroft, Layne, Kelly i Slayton rzucili się w ich ślady. Slayton wspiał się na najbliższą półkę.

–Jest! – krzyknął. – Tam!

Gdzieś w środku ogromnej sali, zastawionej stertami artykułów spożywczych, co chwilę pojawiała się i znikła kuśtykająca postać. Tutaj też zbity tłum kupujących zastąpił im drogę. Żołnierze, wyrabując przejście kolbami, powoli szli do przodu. Layne chwycił jakieś kartonowe pudło i osłaniając się nim przed lecącymi zewsząd puszkami i butelkami szedł tuż za ich plecami.

Jakaś kobieta trzymając się filara krzyczała rozpaczliwie:

–Ludzie, przestańcie! Przecież to policja!

Tuż obok młody chłopak wisiał na automacie telefonicznym. Przez ogólny hałas do Layne’a dobiegały tylko strzępy rozmowy:

–Przyjeżdżajcie natychmiast... biją waszych... nie tylko radiowozy, ale i ci ze szpitala dla wariatów...

Linia żołnierzy pod naporem tłumu wyginała się i łamała. Rozległ się łoskot ostrzegawczej serii i z sufitu posypały się fragmenty plastikowych płyt.

–W ten sposób nic nie osiągniemy – krzyknął Layne chwytając Ashcrofta za ramię.

Ten wskazał mu Kelly’ego i Slaytona, powoli przepychających się przez szalejący tłum.

–Bić policję! Bić policję! – krzyczeli obaj i wydawało się, że nikt ich nie atakuje.

–Może to jest jakaś metoda? – Huk rozbijanych opakowań prawie zagłuszał głos

Ashcrofta.

Layne raczej niepewnie spojrział na obłąkane twarze ludzi.

–Wezwijmy posiłki – powiedział.

Ashcroft schował pistolet do ukrytej pod marynarką kabury i, wykorzystując chwilowe zamieszanie spowodowane seria niecelnych rzutów kogoś z tyłu, wmieszał się w tłum.

–Bić policję! – krzyknął.

Cios, który otrzymał w czoło, odrzucił go z powrotem pod nogi Layne’a.

Mówił coś, ale jego słowa ginęły w potężniejącym z każdą chwilą jazgocie. Layne, czując, jak drżą mu ręce, podniósł wytracony jakiemuś żołnierzowi karabin i wspiał się na półkę. Z trudem utrzymując równowagę, zrzucając nogami dziesiątki słoików i worków, szedł naprzód, czuł, jak uderzają go rzucone zewsząd opakowania. Na szczęście tak groźne na początku

dwukilogramowe puszkę z wołowiną musiały się skończyć, bo zdołał dotrzeć za pierwszą nieprawdopodobnie ściśniętą linię tłumy tylko z lekkimi stłuczeniami. Zeskoczył niezgrabnie z półki i osuwając się po ustawionych w przyzmy pudełkach z odżywką dla niemowląt wylądował na podłodze. Gdzieś obok słyszał głosy Kelly'ego i Slaytona, którzy również wydostali się na wolniejszą przestrzeń.

–Łapcie go! To groźny bandyta!

Layne podniósł się strzepując ketchup ściekający mu po karku. Za najbliższym filarem mignęła pomięta marynarka Kelly'ego. Pobiegnął w tamtym kierunku i zobaczył Havoca, któremu jakiś marynarz wykręcał rękę.

–Tego gonicie, szefie? – spytał drugi mężczyzna, również ubrany w rozdarty i poplamiony musztardą marynarski mundur.

–Tak, trzymajcie go! – krzyknął Layne.

–Stać! – Zza lady chłodniczej wyłonił się młody chłopak w nienagannym szarym garniturze. – Jestem porucznikiem policji. Ci ludzie – wskazał na Layne'a i Kelly'ego – to kryminaliści. Stojący obok marynarz błyskawicznie wyrwał Layne'owi karabin.

–To nieprawda! – krzyknął Layne. – To nie ty, tylko my jesteśmy z policji!

–Tak? Pokażcie legitymacje – odezwał się tamten.

–Jestem tylko doradcą...

–Doradcą z karabinem? Nie słyszałem, żeby komuś takiemu wydawano broń.

–W takim razie ty pokaż legitymację!

–Stul pysk! – krzyknął tamten. – Panowie, uwolnijcie Havoca – zwrócił się do marynarzy. – To mój człowiek.

–Nie! – Kelly zacisnął pięści, ale lufa karabinu celująca w jego głowę sprawiła, że nie zrobił ani kroku.

–Szybciej, panowie! – powiedział obcy. – Musimy wreszcie zrobić tu porządek.

Marynarze spojrzeli po sobie niezdecydowani. Ten trzymający Havoca zaczął już rozluźniać chwyt, kiedy zza kotary osłaniającej palarnię wyłonił się Slayton.

–Degraduję pana, poruczniku!

–Co? – mężczyzna w szarym garniturze odwrócił się zaskoczony.

–Degraduję pana – powiedział wyniośle Slayton. – Wykazał pan zastraszającą nieudolność. Wyjął karabin z rąk osłupiałego marynarza i wycelował w Havoca.

–To pan jest winny wszystkiemu – zaczął, ale mężczyzna w garniturze rzucił się na niego przewracając go na podłogę.

Havoc wyrwał się nagle z rozluźnionego chwytu i skoczył w wąskie przejście pod przestrzenną kratownicą podtrzymującą sklepienie. Tylko Layne wykazał dostateczną dozę refleksu, by odzyskać swój karabin i ruszyć z nim. Zaraz potem ryczący tłum odciął pozostałych, blokując dojście do metalowych drzwi.

Layne wbiegł na ażurowy pomost wznoszący się kilka metrów nad poziom sali i rozejrzał wokół. Grupa żołnierzy od dawna nie posuwała się ani naprzód, ani w

jakąkolwiek inną stronę. Zwróceniu do siebie plecami, walczyli z determinacją o utrzymanie się razem. W panującym wokół ścisisku, nawet gdyby chcieli, nie mogli już użyć swych karabinów. Odgłosy tej walki zagłuszały wszystkie inne dźwięki, tak że Layne nie mógł się zdecydować, w którym kierunku ma pójść. Już miał zejść z powrotem, kiedy ktoś chwycił go za

rękaw.

–Tam uciekł – powiedziała skulona za wielką lodówką ekspedientka. – Jest w magazynie!

Layne ostrożnie uchylił szerokie, kryte azbestem drzwi. Potem powoli wszedł w panujący tu półmrok rozjaśniany tylko małymi świetlikami pod sklepieniem. Zrobił ostrożnie kilka kroków do przodu, nieprzyjemnie ogłuszony przez nagłą ciszę. Gdzieś pod ogromną stertą kartonowych pudeł mignął mu rozmazany cień. Złożył się błyskawicznie i strzelił, czując, jak lufa podskakuje wysoko w górę.

–Nie strzelać! Poddaję się! Nie strzelać! – Z mroku wyłonił się nieprawdopodobnie zarośnięty mężczyzna trzymający wyciągnięte do góry ręce.

–Przyznaję się – mówił drżącym głosem. – Kradłem wykorzystując zamieszanie... Niech pan nie strzela.

–Kradłeś? – mruknął Layne.

–Tak... tak. – Ręka tamtego powoli sięgnęła do kieszeni.

Layne uśmiechnął się nerwowo na widok kilku plików banknotów zawiniętych jeszcze w kasową banderolę. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni poplamionej marynarki kudłacza i wyciągnął z niej prawo jazdy.

–Dobra – powiedział chowając dokument do własnej kieszeni. – Stój tu przy drzwiach i pilnuj, żeby nikt nie wychodził. Jeśli zwiejesz, odnajdę cię później...

–Jasne! Będę czekał do dnia Sądu Ostatecznego. A ten facet, którego pan szuka, pobiegł tam!

Layne dużo bardziej pewny siebie ruszył we wskazanym kierunku. Nie miał zbyt dużej nadziei na odnalezienie Havoca, toteż prawie krzyknął z radości, widząc kulejącą postać w drzwiach pomieszczenia dla personelu. Przyspieszył kroku i wpadł do jasno oświetlonej sali w momencie, kiedy Havoc dobiegał do szeroko otwartego okna.

–Stój! – krzyknął przykładając kolbę do ramienia.

Havoc zawahał się i spojrział na jakąś kobietę układającą niemowlę w wózek.

Potem uśmiechnął się i przelożył nogi przez parapet. Palec Layne'a dotknął spustu, ale zupełnie nagle poczuł, że coś ścina go z nóg. Kiedy ochłonął z szoku, odepchnął

wózek z płaczącym dzieckiem z powrotem w stronę matki. Ta ciągle jeszcze patrzyła na niego z zimną nienawiścią, ale po chwili rysy jej twarzy złagodniały, a później zamieniły się w wyraz przerażenia. Layne wstał i wrócił do magazynu nie chcąc patrzeć, jak kobieta tuli do siebie niemowlę.

–Hej, jest tu ktoś? – zawołał, ale odpowiedziała mu cisza.

Zły, wyjął z kieszeni zabrane kudłatemu złodziejowi prawo jazdy, ale rzut oka na okładkę powiedział mu, że dokument należał do Joanny Whitman. Odrzucił bezużyteczny papier i przemierzając tą samą drogę, którą tu przyszedł, dotarł do sali z artykułami spożywczymi.

Wyglądało na to, że walka skończyła się już dawno. Wściekli żołnierze z grupy szturmowej w odwecie brutalnie zagarniali pod ściany przerażonych ludzi. Layne minął Kelly'ego, pakującego do wszystkich możliwych kieszeni puszki z piwem, i podszedł do Slaytona napelniającego plastikową torbę pierśiówkami z whisky.

–Gdzie Ashcroft?

–Na zewnątrz. Kieruje nadjeżdżającymi patrolami. Nie chce dopuścić tu telewizji, zanim nie wymyślą czegoś z Dennisem.

–A ty? Co robisz? Przecież to grabież...

–Mam sobie żalować? Przez to wszystko i przez nią – wskazał na stojącą obok płaczącą dziewczynkę – o mało nie straciłem oka.

Rzeczywiście, jego brew puchła powoli, nabierając nienaturalnych kształtów.

Layne, przeskakując poprzewracane półki i ślizgając się na zaścielającej podłogę mieszaninie potłuczonego szkła, różnych płynów, proszków i różnokolorowych substancji, wyszedł na zewnątrz. Ashcroft siedział na przewróconej reklamie, od czasu do czasu wydając rozkazy uwijającym się policjantom.

–I co? – spytał przekrzykując syreny policyjnych wozów.

–Prawie go miałem – mruknął Layne patrząc na gromadzących się gapiów. Ludzie przepychali się bliżej utyskując na policję i byli w zwykły, sympatyczny sposób agresywni.

–Prawie... – powtórzył Ashcroft. – A więc dwa zero dla niego.

Ktoś złośliwy musiał powiedzieć wronom za oknami, że jest właśnie niedzielny poranek, bo uporczywe krakanie prawie całkowicie zagłuszało dźwięki płynące z głośnika telewizora. Layne'a co prawda nie interesował marny film dla młodzieży, w którym dwóch kilkuletnich szczeniaków rozmawiało o sprawach, o jakich dzieci w ich

wieku nie powinny raczej mieć zielonego pojęcia, ale uważał, że ta forma spędzenia czasu jest jedyną możliwością pozbycia się uporczywego bólu głowy. Siedział właśnie skulony nad filiżanką kawy i pierwszym w tym dniu papierosem, kiedy z góry zszedł Ashcroft, nawet o tej porze i we własnym domu walący podbitymi metalem obcasami.

–Znowu źle spałeś? – spytał opróżniając kilkoma haustami potężną szklankę soku owocowego. – Podać ci coś do picia? Jogurt, kefir, mleko, sok?

–Piwo, jeśli już jesteś taki uprzejmy. Ashcroft rzucił puszkę w kierunku siedzącego.

–Kawa, papieros i piwo przed śniadaniem. Wiesz, co to jest degeneracja?

–Wiem, degenerat to ja. Ashcroft wzruszył ramionami.

–Później się nie dziw, że przez całą noc przewracasz się tylko z boku na bok.

Mogę zmienić program?

Layne skinął głową. Miejsce smarkaczy rozprawiających o miłości, polityce i istocie bytu zajął uśmiechnięty mężczyzna mówiący z grubsza o tym samym. Podobnie jak dzieciaki nie sprawiał wrażenia, że wie, o czym mówi.

–Mamy jakiś konkretny plan na dzisiaj? Ashcroft odwrócił się.

–Człowieku, przecież jest niedziela.

–A dzień święty święcić... – zacytował Layne. – Daj głośniej! Przez te cholerne ptaki nic nie słyszę.

–...czymś w rodzaju kompromitacji. Ani „Wampir” Ashcroft...

–O, mówią o tobie!

–...ani tajemniczy doradca z Waszyngtonu ukrywający się pod pseudonimem Marty Layne nie potrafili doprowadzić do ujęcia sprawców. Sprawa zdemolowania supermarketu przy Dellen Avenue w dalszym ciągu nie schodzi z pierwszych stron lokalnych i ogólnokrajowych gazet, policja jednak trwa ciągle przy swojej podanej wczoraj do publicznej wiadomości wersji zdarzeń. Przypomnijmy ją w skrócie. Patrick Dennis twierdzi, że grupa szturmowa wtargnęła do supermarketu w pogoni za kilkunastoma terrorystami, na których urządzono zasadzkę w pobliżu antykwariatu Rotha i Gellersteina. Podczas walki elementy przestępcze, wykorzystując powstałe zamieszanie, zajęły się grabieżą na szeroką skalę. Niestety obywatele, którzy stanęli w obronie zagrożonej własności prywatnej, powiększyli tylko rozgardiasz, i w pewnym momencie siły policyjne przestały panować nad sytuacją. Wszystkich komentatorów dziwi fakt, że policja usiłuje nie dopuścić dziennikarzy do naocznych świadków wydarzeń...

Ashcroft uderzył w wyłącznik i obraz zgasł momentalnie, ustępując miejsca jarzącym się cyfrowym zegara.

–Zdaje się, że ten nieszczęsny „Wampir” przylgnął do ciebie na stałe -powiedział Layne nie wiadomo dlaczego nagle bardzo rozbawiony. – Ale wersja, którą wymyśliście z Dennisem, jest jakby trochę naciągana.

–Miałem ogłosić, że Havoc kieruje ludźmi?

–Owszem. Przecież to fakt.

Ashcroft westchnął ciężko.

–Abstrahując już nawet od burzy, jaką by to wywołało, i pomijając wszystkie jej konsekwencje, to wcale nie jestem tego pewny... Boże, co ja mówię. Przecież to niemożliwe.

–Jednak trzeba było chociaż ogłosić fakty.

–Myślałem, że to my na Południu jesteśmy prostolinijni.

Layne zdjął okulary i rozmasował sobie twarz, a przynajmniej tę część, której nie zasłaniała gęsta broda.

–To, że facet uważa się za Sardunapala – kontynuował Ashcroft – nie upoważnia nas jeszcze...

–Samandala – poprawił go Layne. – Z tym że Samandal był właśnie tym dobrym. Havoc chce być potomkiem Taliba.

–Wszystko jedno. Przecież i tak ani ja, ani nikt inny nie uwierzy w tę legendę.

–Jak w takim razie wytłumaczysz zachowanie ludzi w supermarkecie?

Ashcroft spojrzał na Layne'a marszcząc brwi.

–A jak ty wytłumaczysz na przykład zachowanie się ludzi w Centrum Studiów Atomowych?

–Myślę, że te fakty się łączą.

–Tak? I sprawcą wszystkiego jest Havoc?

–Nie – Layne zapalił drugiego papierosa. – Podczas pierwszego, nazwijmy to „szalu” w CSA Havoc uległ ciężkiemu wypadkowi. Nie sądzę, żeby sam to na siebie sprowadził. Nawet nieświadomie.

Papieros dymił potwornie, ale nie można było zaciągnąć się tym dymem. Gdzieś przed filtrem musiało go coś zatykać.

–Przypadki w CSA różnią się od tego, co nastąpiło w supermarkecie, przede wszystkim tym, że podczas ucieczki Havoca ludzie działali według jakiegoś planu, konsekwentnie przeciwdziałali pogoni, a w Centrum wszystko pozbawione było jakiegokolwiek sensu. Dlatego sądzę, że obydwa wypadki miały dwie różne przyczyny. Layne zgasił dopiero co napoczętego papierosa i zapalił nowego.

–Jednak zarówno w supermarkecie, jak i w Centrum, można wyróżnić sporo podobieństw. Na przykład w obu przypadkach nie wszyscy ludzie ulegli szaleństwu.

–Chcesz powiedzieć, że tajemne siły mają wpływ tylko na złych – uśmiechnął się Ashcroft. – Nad dobrymi czuwa moc niebieska, tak?

–Nie. Podczas ostatniej akcji widziałem na przykład normalnie zachowującego się złodzieja. Marynarze, którzy zatrzymali Havoca, również nie wyglądali na potulnych baranków. Określiłbym ich raczej jako zapijaczonych zbirów włączających się do każdej rozróby, obojętnie po jakiej stronie...

Ashcroft wyjął z lodówki nową szklankę soku i usiadł w fotelu kładąc nogi na stole.

–Dobrze – powiedział cicho. – Przyjmijmy, że coś, nazwijmy to czynnikiem X, powoduje niezrozumiałą panikę w CSA. Wiemy, że czynnik X działa tylko podczas uruchamiania nowej procedury. Nie wiemy, co to jest, czy jakieś pola magnetyczne, czy infradźwięki, czy... mniejsza z tym. Dobrze byłoby jednak ustalić, jaki procent personelu uległ panice w obu przypadkach...

–Już to zrobiłem – przerwał mu Layne. – Wczoraj nieopatrznie zostawiłem mnie samego z twoim własnym aparatem telefonicznym. Rachunek, jaki przyjdzie pod koniec miesiąca, nie będzie należał do najniższych, ale udało mi się ustalić, że po pierwsze, w obu przypadkach dziwnie zachowywały się te same osoby, i po drugie, „szał” ogarnął mniej więcej trzy czwarte personelu.

Ashcroft zdjął nogi ze stołu.

–Ile...?

–Trzy czwarte. Z przesłuchań przeprowadzonych przez twoich ludzi wynika, że podobny procent klientów „zwariował” w supermarkecie. Mówią ci coś te liczby?

Ashcroft zastanawiał się przez moment.

–Z tego, co mówileś, wynika, że to trochę więcej, niż wynosi stosunek ludności napływowej do stałych od kilku pokoleń mieszkańców miasta. O to ci chodziło?

–Właśnie.

–Paranoja – mruknął Ashcroft odsuwając od siebie pustą szklankę. – Chcesz przez to powiedzieć, że czynnik X i to, co emanuje Havoc, niczym się nie różnią?

Layne wstał i podszedł do zbudowanego z surowych rzecznych kamieni kominka.

–Kiedy leciałem do was z Waszyngtonu, znajoma stewardesa opowiadała mi, jak pewien człowiek z ochrony linii lotniczych strzelił kiedyś do niewinnego człowieka zbyt szybko sięgającego pod marynarkę po papierosy. Sąd go uniewinnił. Sprawa była zresztą swego czasu głośna w prasie, ale nie o to mi chodzi. Czasem dwie różne przyczyny mają podobny skutek. Sąd w tamtym przypadku tłumaczył się tym, że skuteczność działania agentów ochrony byłaby znikoma, gdyby mieli czekać, aż wszystko stanie się jasne. Stąd wniosek, że każdego roku musi ginąć pewien odsetek niewinnych ludzi tylko dlatego, że nie sposób szybko rozróżnić dwóch różnych przyczyn powodujących ten sam skutek.

–I co z tego wynika?

–Tylko tyle, że gdyby udało nam się znaleźć przyczynę, która powoduje „szał” w CSA, być może moglibyśmy określić, jacy ludzie podatni są na wpływ Havoca.

Ashcroft w zamyśleniu potarł brodę.

–Czy ty naprawdę wierzysz w tę legendę?

–W legendę? Nie. Ale skoro Havoc wierzy, myślę, że powinniśmy ją zanalizować.

Layne dokończył piwo i odstawił pustą puszkę na gzyms kominka. Wrony za oknem były wyraźnie zbulwersowane, bo przestały krakać i przepychać się na zewnętrznym parapecie. Kręciły za to głowami, od czasu do czasu zerkając z niesmakiem na ludzi.

–Zalóżmy, że rzeczywiście istniało kiedyś arabskie plemię, w którym wodzowie mieli absolutną, ponadzmysłową władzę nad swoim ludem. Cechy genetyczne, zarówno wodzów jak i poddanych, które na to pozwalały, powielaly się przez wieki w kolejnych pokoleniach rozproszonych po świecie członków plemienia. Ród wodza o czystszej garniturze genetycznym przyciągał do siebie potomków dawnych poddanych, ale ciągle nie było człowieka, którego geny byłyby identyczne z genami Taliba, i który mógłby odzyskać dawną władzę. Ktoś bliski ideałowi pojawił się w miasteczku w Michigan, ale albo nie był jeszcze dostatecznie silny, albo ktoś w rządzie czy policji zorientował się przedwcześnie, co jest grane. W każdym razie miasteczko zostało zalane, a ludzie rozproszeni ponownie. Idealnie powtórzone cechy

Taliba ma dopiero Havoc, i to do niego ściągają nieświadomie ludzie, dając mu władzę i siłę. Wspomnij tłumy pod Wojskowym Ośrodkiem Medycznym. Na początku Havoc działał nieświadomie, tak jak czynnik X, i stąd przypadkowe morderstwa. Ale morderstwa ustały, Neal. Havoc od dawna wie, co robi i czym dysponuje! Ashcroft zaczął bić brawo.

–Wspaniały wykład, Marty – powiedział. – Ale to wszystko jest stekiem nonsensów...

Layne machnął ręką.

–Myślę, że masz rację – uśmiechnął się. – Ale coś powinniśmy jednak zrobić.

–W porządku. Jeśli chcesz, to zastrzelę Havoca kiedy go tylko zobaczę. Bez sądu, bez przesłuchań, bez dochodzenia. Rodzice zostawili mi tyle forsy, że znajdę takiego adwokata, który mnie później wyciągnie z celi. Havoc nie zdąży użyć czarów i wszystko będzie dobrze. Kwestia w tym tylko, że muszę go spotkać.

–Nie żartuj, Neal – Layne usiadł z powrotem w fotelu. – Musimy kogoś zawiadomić i powiedzieć, o co podejrzewamy Havoca. Co myślisz o Dennisie?

Ashcroft roześmiał się głośno.

–Łatwiej byłoby dojść do ładu z prezydentem Stanów Zjednoczonych niż z nim.

–A burmistrz?

–To jest jakaś myśl – powiedział wolno Ashcroft.

–Zadzwonisz do niego?

–Nie. Znamy się tak dobrze, że na pewno przyjmie nas osobiście. Wieczorem pojedziemy do niego do domu.

–Chociaż to ustaliliśmy – Layne wstał i pociągnął Ashcrofta w stronę kuchni. – Człowieku obdarzony wszelkimi talentami, czy mogę liczyć na śniadanie?

* * *

Dom Malle'a był rozświetlony jak w czasie przyjęcia noworocznego. Nie był to jednak Nowy Rok. Potwierdziła to panująca cisza, w której kroki Ashcrofta i Layne'a rozbrzmiewały zbyt wyraźnie.

–Może wyszli i zostawili światła – szepnął Layne sunąc wzrokiem od jednego do drugiego oświetlonego okna.

–To nie w jego zwyczaju – Ashcroft wsunął dłonie w kieszenie kurtki. – Chyba że dostali wyniki wyborów i pojechali do ratusza.

Z równo przyciętego żywoplotu wyślizgnęło się coś czarnego i przeszło w poprzek ścieżki. Wydłużony koci pyszczek tylko przez moment obdarzył ich spojrzeniem.

–Kici, kici... – zawołał Layne, lecz zwierzę zlało się już z powlekającym trawnik mrokiem.

Weszli na ganek i przyjrzeni się wiszącej na drzwiach metalowej kolatce. Ashcroft ujął ją w palce, mocno zastukał.

–Dobry wieczór, pani Malle – powiedział w stronę szczupłej kobiety, której sylwetka pojawiła się na tle rozległego hallu.

–Witam, Neal – delikatny uśmiech musnął jej wargi.

–Zastaliśmy burmistrza?

Powiodła wzrokiem po ścianach, gdzie na okrągłych tablicach tkwiły grube

poroża.

–Burmistrza? – w jej głosie zadźwięczała nutka ironii. – Tak, jest na górze w gabinecie. Trafisz...?

Ashcroft skinął głową, potem wskazał przyjaciela.

–Marty Layne z Waszyngtonu.

Layne niepewnie zakolysał się w miejscu, wreszcie gwałtownym ruchem wyciągnął rękę. Kobieta uśmiechnęła się przez moment, gdy potrząsnął jej dłonią. Ruszyli ku schodom, gruby chodnik tłumił kroki. Na piętrze zakręcili, od razu dostrzegając smugę światła w głębi korytarza. Gdzieś zza ich pleców sączyła się oddalona, jakby dobiegająca wprost z sal Nowego Orleanu jazzowa muzyka. Ashcroft zastukał we framugę.

–Tak...

W głębi fotela, z dłońmi splecionymi przed twarzą, siedział Malle. Pałaca się na biurku lampa stanowiła jedyne źródło rozproszonego światła. Błysnęły w nim oczy burmistrza.

–Już wiesz...? Nasza miejscina to jednak dziura... Ashcroft stanął w progu i Layne z trudnością wcisnął się do środka.

–Mówisz o Havocu? – spytał Ashcroft.

–Jakim Havocu...?

Odpowiedział najwyraźniej mechanicznie, gdyż dalsze słowa biegły jakby bez udziału woli.

–Coś się zmieniło... – mruzczał. – Miasto jest inne, inni ludzie, inne charaktery.

Layne zerknął na Ashcrofta, lecz ten niemal z hipnotycznym natężeniem obserwował Malle'a. Człowiek w fotelu uśmiechnął się bezradnie.

–Zawsze liczyłem się z porażką, lecz kiedy przyszła – rozłożył ręce – jakbym dostał czymś po głowie.

–Przegrałeś wybory – stwierdził Ashcroft tonem, w którym było więcej zdziwienia niż w zwykłym pytaniu.

–Jak to...? – wtrącił się Layne. – Przecież były sondaże...

Malle patrzył na Ashcrofta.

–Dostałem trochę ponad dwadzieścia procent głosów, Griffiths miał ich siedemdziesiąt.

–Griffits... – Ashcroft przeszedł pokój. – Kto to jest Griffiths?

–To jest nikt – powiedział Malle. – A przynajmniej był nikim jeszcze do wczoraj. Teraz będzie burmistrzem naszego miasta.

–Boże! – Layne stanął za Ashcroftem. – A my jak na złość potrzebujemy pańskiej pomocy.

Malle uniósł głowę, jego włosy były bardziej rzadkie i bardziej siwe niż do tej pory.

–Te zabójstwa – powiedział Ashcroft...- Wiemy, że ich sprawca przebywa w mieście, ma przy tym zadziwiające zdolności...

–Neal – Malle przeciągnął dłońmi po twarzy. – Nie dzisiaj. Może jutro, może za parę dni, jak dojdę do siebie... porozmawiamy. Wiem, że będę zastępcą Griffitsa.

Uśmiech przekory zabląkał mu się na wargach.

–Mimo wszystko nie pozbędą się tak szybko starej gwardii. Ashcroft zerknął w atramentową taflę okna.

–Dobrze... Przyjdziemy. W drzwiach usłyszeli jeszcze jedno zdanie:

–Nie dziwię się, że nie ufasz Dennisowi. Zmienił się.

* * *

Layne zapinał właśnie mankiet koszuli, a z łazienki dobiegał monotony dźwięk maszyny do golenia, kiedy rozległ się sygnał telefonu.

–Odbierz – dobiegło zza uchylonych drzwi.

Zdjął słuchawkę ze ściany i przystawił do ucha. To, co usłyszał było na tyle zaskakujące, że zaprzestał manipulacji przy rękawie.

–Neal! – zawołał. – To do ciebie. Osuszając twarz ręcznikiem Ashcroft wkroczył do środka...

–Kto?

–Jakieś dziecko... Ashcroft złapał słuchawkę.

–Słucham... Cichy stuk po paru sekundach świadczył, że rozmowa się skończyła. Opuścił rękę wzdłuż ciała.

–Kto to był? – Layne nieufnie przyglądał się jego palcom ściskającym aparat.

Oczy Ashcrofta powędrowały za okno, na pusty tego dnia parapet.

–Nie wiem, dziecko mówiące jak dorosły, chociaż... – zawiesił głos. – To jednak nasz znajomy. Radził przyjrzeć się składom Gwardii Narodowej.

–Aha – mruknął Layne i ostatecznie urwał guzik. Chwilę jeszcze obracał go w palcach.

–Gwardia ma u was składy? Ashcroft ruszył do wnęki z garderobą.

–Wydzierżawione okresowo w chłodni Burnside’a. Ubieraj się szybciej...

–Nie zadzwonisz po chłopaków? – przytrzymując rękaw koszuli Layne wsuwał się w kurtkę.

–I co im powiem? Że miałem telefon od małego chłopca? – nachylił się do kuchni, sprawdzając, czy wszystkie palniki są wyłączone. – To śmieszne, że dotąd cię nie spytałem. Nie nosisz broni?

Layne pokręcił głową.

–Sądziś, że się przyda?

–Może... Kiedy wyjechali z garażu, deszcz bębniący całą noc o szyby przestał padać.

Ruch był niewielki, właściwie, jeśli nie liczyć kontenerowców, prawie żaden. Po jakimś kilometrze monotonnej jazdy Ashcroft mocno nadepnął hamulec i zanim Layne odepchnął się od deski, wysiadł z wozu. Tu między niskimi domami stała pierwsza budka z gazetami. Pomarszczona z wilgoci twarz Malle’a wisiała za drucianą siatką. Co dziwniejsze, twarzy Griffitsa nie było widać.

Trzasnęły drzwiczki i rzucony przez Ashcrofta zwitek dzienników spadł na tylne siedzenie.

–Daleko jeszcze?

–To jest w starej części miasta, bliżej zatoki – Ashcroft wskazał leżące na prawo od wieżowców śródmieście.

Przejechali jeszcze dwa duże skrzyżowania i wpadli w wąską ulicę o ponurych ścianach bez okien. Prześwit u góry mąciły biegnące między domami belki i wysięgniki. Layne przyłożył nos do szyby.

–Gdybym zobaczył jeszcze jakiś kanał, to uwierzyłbym, że jesteśmy w Wenecji

–chuchnął białym oparem.

Skrećili w jeszcze węższą uliczkę. Była krótka i od razu w oczy rzucił się szyld „Burnside and Son”. Ciężka, zrobiona z pospawanych na krzyż prętów brama była uchylona. Wóz Ashcrofta wjechał bocznymi kołami na chodnik i kolebiąc się stanął. Zapanała cisza, jedynie gdzieś za murami terkotał daleki transporter.

–Idziesz czy zostajesz? Layne poślinił końce palców, jakby miał otwierać czyjś sejf.

–Idę. Przeszli arkadę bramy i stanęli na owalnym podwórku. Białe zatarte linie wyznaczały miejsce postojowe dla ciężarówek. Wszystkie były puste, tylko na jednym widniała tłusta plama oleju.

–Chyba coś słyszę – szepnął Layne.

Ashcroft wyciągnął broń spod pachy. Prostopadłościan budowli miał tylko jedno wejście. U góry pod dachem biegł rząd zakurzonych wywietrzników. Kiedy wsunęli się do środka, hałasy stały się konkretniejsze. Ashcroft namacał kontakt i w świetle rzędu gołych żarówek dojrzeli leżącą na korytarzu stertę cienkich desek. W głębi ktoś zapamiętało lomotał. Ashcroft uniósł fragment rozbitej skrzynki, jeszcze połączonej gwoździami. „Property of US...” głośił urwany napis. Layne położył dłoń na desce, potem ruszył głową. Wydrapany na murze napis odsłaniał czerwień cegieł: „Property of Havoc”. Poniżej błyskał wygięty gwóźdź.

–W tym trzyma się broń?

–Tak – Ashcroft opuścił szczątki. – Karabinki M-16.

–Otworzyć... – dobiegł tym razem bardziej zrozumiały okrzyk, a potem seria ciężkich uderzeń.

–Trzeba ich wypuścić – mruknął Layne. – Ciekawe, ile Havoc tego zabrał... Rozgniatane okuciami butów resztki skrzynek pękały momentalnie.

–Bardziej mnie interesuje, po co to zabrał. Nietrudno było trafić do właściwego pomieszczenia. Sądząc z hałasu, ten ktoś

na dole musiał mieć kafar. Po zapaleniu światła dojrzeli metalową klapę w podłodze. Zwalono na nią stojaki pełne beczkowatych pojemników. Ashcroft zabrał się do odsuwania. Łoskot zrazu umilkł, potem wrócił ze zdwojoną mocą. Wreszcie odsunęli

zapadkę i odskoczyli. Jak się okazało, słusznie. Twarze czterech mężczyzn, którzy z małą zręcznością wyskoczyli z otworu, były sine z wściekłości. Ashcroft stał już z wyciągniętym do przodu znacznikiem.

–Kapitan Ashcroft, policja.

–Kurwa... dopiero teraz? – barczysty mężczyzna nachylił się groźnie. – Te sukinsyny zamknęły nas jeszcze wczoraj.

–Niecałe pół godziny temu mieliśmy anonimowy telefon. Kto was zamknął?

Mężczyzna obrócił twarz w stronę rudzielca dzierżącego łom o stępionym końcu.

–Tak jest zawsze, kiedy przyjmuje się miejscowych...

Dwóch pozostałych strażników wyszło na korytarz. Sądząc z odgłosu trzaskania drzwiami, sprawdzali inne pomieszczenia. Dowódca gwardzistów ponownie zwrócił się do Ashcrofta:

–Mieliśmy dwóch nowych strażników z tego miasta. Zameldowali wczoraj o odkryciu podkopu w piwnicy – wskazał ręką na ciemny prostokąt włazu. – Zeszliśmy i faktycznie... był zamaskowany otwór w ścianie i wyglądało na to, że ktoś chce się

dostać z zewnątrz przez stary kanał.

Sierżant z żalem potarł swoje bicepsy.

–Idioci wleźliśmy tam wszyscy... po kilkunastu metrach okazało się, że kanał musiał być zamurowany chyba jeszcze przed Rooseveltem. Wyczułem od razu, że sprawa śmierdzi, ale te sukinsyny zamknęły zejście i byliśmy gotowi. Tak nas podejść...

Rudy kiwał do wtóru głową. Ashcroft zerknął na jego łom.

–Co było potem?

–A co miało być? Macie papierosa...? Layne podsunął paczkę, widząc, że rudy także nie przepuszcza poczęstunku.

Żarłocznie zaciągnęli się dymem.

–Latarki siadły, a ci hałasowali przez noc w magazynach. Musiało ich być znacznie więcej.

–Ciężarówka – westchnął rudy.

–Prawda – dowódca kaszlnął. – Zdawało nam się, że na podwórze zajechał jakiś ciężki samochód.

Dwóch mężczyzn wróciło do sali z ponurymi minami. Jeden trzymał w rękach jakiś świstek i krótki ołówek.

–Co zginęło?.

–Wszystkiego po trochu. Trzydzieści skrzyń M-16, skrzynka AR-10, czterdzieści granatników M-79, cztery komplety miotaczy ognia wraz z dwudziestoma butlami, masa amunicji...

–To wszystko? – warknął dowódca.

–Nie, jeszcze ładunki wybuchowe, zestaw kabli lontowych.

–Żeby szlag trafił tych terrorystów... – prawie wrzasnął. – Żeby szlag trafił ćwiczenia w Nowym Meksyku i ten cholerny magazyn, który może służyć do wszystkiego, tylko nie do przechowywania broni.

Umilkł, jakby uświadamiając sobie bezsens żalów. Przetarł skronie.

–Idę zameldować – powiedział i raz jeszcze tylko zerknął na właz. – Tak mnie podejść.

Kręcąc głową zaprowadził ich do pokoju, gdzie stał telefon. Czekaając na swoją kolej Ashcroft spojrział przez okno. Na podwórzu, obok bramy, spacerowało dwóch strażników. Rudzielec miał tak samo zawziętą minę jak poprzednio, ale teraz zamiast łomu trzymał w ręku pistolet maszynowy.

* * *

Po dobrej minucie pukania, walenia, a wreszcie kopania, muzyka w środku ucichła i drzwi otworzyły się, ukazując usiłującego włożyć zbyt małą koszulę Kelly'ego. Stazzi przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu, ale bynajmniej nie dlatego, że Kelly chwiał się na nogach. Koszula, którą nareszcie wciągnął, była najwyraźniej damska.

–Eee... chciałem... – wybelkotał cofając się Stazzi, ale Kelly chwycił go za ramię i wciągnął do środka.

–Napijesz się czegoś? – Ręce Stazziego bezwiednie zacisnęły się na podanej szklance z piwem i papierowym kubku.

Powoli jego wzrok zaczął rozróżniać majaczące w mroku szczegóły -zaścielające podłogę piersiówki z whisky, puste puszki i dwie dziewczyny, z których jedna ubrana była w szeroką

koszulę Kelly'ego. Strój drugiej stanowiły dwie poduszki przyciskane rękami do ciała.

–Chyba przeszkadzam...

–Nie, skąd – z najciemniejszego rogu podniósł się Slayton poprawiając krawat będący oprócz spodni jedyną częścią garderoby, jaką miał na sobie. – Siadaj i mów, co cię sprowadza.

–Chciałem się dowiedzieć, co naprawdę zaszło w supermarkecie, bo komunikaty... ale może przyjdę kiedy indziej?

–Bez przesady – Slayton wlał mu whisky do papierowego kubka.

Siedząca bliżej dziewczyna, ta z poduszkami, położyła głowę na kolanach Staziego. Jej oczy nie wyglądały na zbyt przytomne.

–Co chcesz wiedzieć? Wszystko od początku?

–Nie, trochę już słyszałem – Stazzi siedział wyprężony nieruchomo, nie chcąc budzić zapadłej nagle w kamienny sen dziewczyny. – Tuż po akcji rozmawiałem przez telefon z szefem grupy szturmowej, ale był jeszcze w szoku i mówił nieskładnie...

–Skąd wiesz, że był w szoku?

–To, co mówił, nie mogło wyjść z ust normalnego człowieka.

Slayton roześmiał się i szybkim ruchem zabrał tańczącej na środku pokoju dziewczynie papierosa.

–Nie wiem, co slyszałeś, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że była to sama prawda.

Slayton wciągnął dym i podał papierosa Stazziemu. Ten skrzywił się, ale w końcu wziął do ust zaśliniony filtr.

–Chyba nie chcesz powiedzieć, że Havoc może kierować ludźmi albo...

–Chcę! – przerwał gwałtownie Slayton. Stazzi przyjrzał mu się uważnie, a potem opróżnił kubek i popił piwem.

–A ci dwaj z policji? Co o tym myślą?

–To cwaniaki. Podejrzewali wszystko już wcześniej. Stazzi popatrzył na tańczącą dziewczynę. Czasami żałował, że nie jest już w wieku Kelly'ego czy Slaytona, kiedy wszystko było bardziej jasne.

–Warto by się z nimi skontaktować. W tej sytuacji sprawa śmierci pielęgniarza zaczyna wyglądać trochę inaczej.

–Niby tak, ale zauważ, że u nas Havoc nie kierował tłumem...

–Może nie musiał... Ale pozostaje samochód – Stazzi delikatnie zdjął z kolan głowę śpiącej dziewczyny i dołał sobie whisky. – Czy w supermarkecie nie powodował ruchu jakichś przedmiotów?

–Nie.

–Hm, albo mu coś przeszkadzało, albo nasz samochód był jednak zdalnie sterowany klasycznymi metodami... Dziwne.

–Naprawdę dziwne jest tylko to, że uwierzyliśmy w coś tak... tak... – Slayton szukał odpowiedniego słowa -...niemożliwego.

Stazzi uśmiechnął się i stuknął swoim kubkiem w kubek Slaytona.

–Kiedy dawno temu ewakuowano mnie z bazy radiolokacyjnej w Arktyce -powiedział po chwili krztusząc się – gdzie doprowadziłem do zderzenia dwóch kutrów, ponieważ nie mogłem uwierzyć, że ich sternicy w jasny dzień mogą nie widzieć się wzajemnie, mój dowódca kazał mi

sto razy przepisywać zdanie: „W każdej sytuacji najpierw zareaguj tak, jak nakazują ci fakty, a dopiero potem zastanawiaj się, czy było możliwe, żeby takie fakty zaszły”.

–A dlaczego zerwałeś z radiolokacją?

–No cóż, pewnego pięknego dnia zorientowałem się, że w naszej bazie jest potwornie nudno. Najpierw zaprzyjaźniłem się z żoną szefa, potem z jego córką. Ścierpiałby to wszystko, bo był spokojnym człowiekiem, ale pech chciał, że nagle poczuła coś do mnie jego kochanka.

Kelly, który tymczasem zdołał przebyć drogę od drzwi do kanapy, popatrzył na Stazziego z zachwytem.

–Ale wracając do Havoca – powiedział Stazzi. – Czy wszyscy ludzie poddają się jego woli?

–Nie. Przynajmniej tak mi się wydaje – mruknął Slayton.

–W takim razie dobrze byłoby ustalić, kto w ośrodku podporządkuje się mu w razie jakiegoś wypadku...

–Tylko jak to stwierdzić?

–Zaraz – wtrącił się Kelly. – Myślisz, że on tu wróci?

–Jasne. Przecież musi wyrzucić zemstę na facecie, który wyciął mu nerkę -zażartował Slayton, widząc jednak paniczny strach w oczach kolegi, poklepał go uspokajająco po ramieniu.

–Jednego podejrzanego mieliśmy – powiedział po chwili. – Założę się, że pielęgniarz wstrzyknął sobie morfinę na jego rozkaz.

–Tak – kiwnął głową Stazzi. – A drugim był eskortujący go strażnik. Dobrze byłoby jednak znaleźć kogoś żywego.

–Jest taki człowiek – powiedział Kelly.

–Kto?

–Ten, kto skierował chorego pielęgniarza na dyżur przy Havocu. Pamiętam, jak Hutts mówił, że pielęgniarz zgłosił się do niego tamtego ranka, a mimo to, a raczej właśnie dlatego, wysłano go do pracy.

–Po co im był chory pielęgniarz? Myślisz, że tylko on w całym ośrodku był podatny na wpływ Havoca?

–Nie, do cholery. Ale w ten sposób łatwiej było upozorować wypadek i przedstawić całą sprawę jako pomyłkę.

Rozmowa została nagle przerwana, bo tańcząca sennie dziewczyna zdjęła nagle koszulę i wszyscy spojrzeli w jej kierunku. Dziewczyna zaraz jednak włożyła ją z powrotem. Zdaje się, że cała operacja została przeprowadzona dlatego, że początkowo koszula była wywrócona na lewą stronę. Mogło być jednak inaczej.

–To jest jakaś myśl – podjął Stazzi. – Najlepszym kandydatem na winnego byłby Woodward, ale znowu akurat jego nie możemy już o nic spytać...

–Myślisz, że on też popełnił coś w rodzaju samobójstwa?

–Może, ale chyba nie. Pamiętam, jak już po jego śmierci, prowadząc prywatne śledztwo w sprawie pielęgniarza, usiłując ustalić, kto go wysłał na górę, natknąłem się na zniszczony grafik dyżurów. Mógł to zrobić przedtem sam Woodward, ale sądzę, że jako fachowiec od administracji znalazłby tysiąc mniej prymitywnych sposobów na ukrycie swojego udziału w sprawie.

–Czy w żadnym innym źródle nie można odnaleźć tej informacji? – spytał Slayton.

–Było jeszcze zestawienie obciążenia nadgodzinami i założę się, że pielęgniarz zażądał

wpisania tam swojej pracy, ale jedyny egzemplarz z tego właśnie dnia zniknął z pokoju sekretarki...

–Nie zniknął. Wcale nie zniknął – zaprotestował Kelly. – Po wypadku na polecenie Wenera osobiście wysłałem go do dowództwa.

–I dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

–Odczep się. Skąd miałem wiedzieć?

Stazzi kilkoma łykami dopił piwo.

–Zadzwoń do nich zaraz. Znam kilku ludzi w dowództwie, więc powinienem się szybko dowiedzieć.

Slayton skinął głową.

–A swoją drogą warto by przeforsować u Wenera jakiś program badań...

–Myślisz o ludziach podatnych na wpływ Havoca?

–Tak. Przecież muszą się, do cholery, czymś różnić od normalnych. Kelly wstał chwiejąc się na nogach.

–Dobra. Ja pójdę do Wenera i zaraz wszystko załatwię.

–Ty lepiej zostań – Slayton zaczął kompletować swój strój. – Ja pójdę.

–A my? – zaprotestowała jedna z dziewczyn. – Mamy tu siedzieć same?

–Zaczekajcie chwilę – Slayton skinął na Stazziego i obaj zniknęli za drzwiami. Po półgodzinie prawie jednocześnie zjawili się z powrotem.

–I co załatwiłeś? – spytał Stazzi.

–Werner zasadniczo nie ma żadnych obiekcji, ale twierdzi, że samemu trudno mu podjąć taką decyzję. Obiecał, że skonsultuje się z kim trzeba...

–To już nieaktualne – wpadł mu w słowo Kelly.

–Dlaczego?

–Dzwonił tu przed chwilą i...

–Telefonował tu Werner? – oczy Slaytona zrobiły się okrągłe. – A ty oczywiście odebrałeś?

–Tak. I co z tego?

Slayton opadł na kanapę.

–No tak. Skoro usłyszał twój przepity głos, to mamy zapewnione kilka dyżurów poza kolejnością...

–Wprost przeciwnie, był bardzo grzeczny – Kelly zrobił obrażoną minę. – Pytał nawet, czy może tu wpaść... Nie, żartuję – dodał, widząc że Slayton rzuca się w kierunku stosu puszek, żeby zrobić porządek. – W każdym razie powiedział, że skontaktował się z Huttsem, a ten jako kierownik naukowy kategorycznie odmówił udzielenia swojej zgody na nasze badania.

–To było do przewidzenia – powiedział cicho Stazzi.

–Jak to?

–W dowództwie powiedziano mi, że chorego pielęgniarza skierował do pracy właśnie Hutts.

Slayton chciał coś powiedzieć, ale stojąca ciągle na środku pokoju dziewczyna ziewnęła szeroko i potrząsnęła za ramię leżącą koleżankę.

–Idziemy stąd, kochanie – powiedziała. – Znajdziemy sobie prawdziwych mężczyzn, takich, którzy potrafią coś jeszcze oprócz trzepania językiem.

Earl ziewał rozziewając, jednak na widok Ashcrofta zsunął się z biurka usilnie starając się przybrać inteligentniejszy wyraz twarzy.

–Tego brodatego nie ma z tobą? – spytał.

–Jest – dobiegło zza drzwi. Z wciąż rozłożoną gazetą do gabinetu wkroczył Layne.

–Nic nie piszą – cisnął dziennik na biurko. – Gwardia widać nie ma czym się chwalić.

–Dennis znowu zabrał Lionela i Freddie’ego – stwierdził Earl odrywając wzrok od okna. –

Jeszcze trochę, a razem z obyczajówką będziemy biegać po burdelach.

Ashcroft skrzywił się, jakby zabolalo go gardło.

–Jest coś nowego?

–Żadnych nowych morderstw, a stare sprawy bez zmian – Earl wyglądał na szczerze zmartwionego.

Ashcroft przesunął dłonią po jakiejś głębszej rysie na powierzchni stołu.

–Od dzisiaj – powiedział – musisz uważać na jeszcze jedno. Przestrzeliwanie albo ćwiczenia z bronią w okolicach miasta. Mogą się tym parać całkiem porządni obywatele.

–Broń rejestrowana?

–Nie... M-16, AR-10...

Earl cicho gwizdnął, potem zgarbiony przemaszerował kilka razy wzdłuż ściany.

–To może pasować – powiedział nachylając się nad raportami. – O...

Ashcroft rozłożył papiery, słuchając komentarza.

–Przyszło z trzeciego komisariatu. Ludzie pracujący u Manganellego słyszeli w piwnicach dziwne odgłosy. Przypominały palbę karabinową.

–Zgadza się – Ashcroft trzepnął kartkami. – Ale posterunkowy pisze, że dźwięki dobiegały jakby zza ściany. Sprawdził, czy nie ma tam innego pomieszczenia?

–Rozmawiałem z nim dzisiaj – Earl wsparł się plecami o ścianę. – To rozsądny facet, na pewno tego nie przeoczył. Wokół piwnic Manganellego nie ma nic... chyba że kanały ściekowe.

–Dobra. – Chybcząc się na krześle Ashcroft złożył na powrót sprawozdania. – Gdyby coś takiego powtórzyło się, melduj.

–O.K. – Earl skinął głową. Potem machnął im ręką i wyszedł. Layne przestał manipulować przy zapięciu zegarka.

–Gdzie jest ten market? – spytał. Ashcroft zerknął na niebo przez dawno nie myte szyby.

–Na końcu ciągu handlowego. Kilkanaście lat temu zburzono sporo domów pod centrum usługowe.

–A starej sieci kanalizacyjno-wodociągowej nie zasypano?

–Nie ruszono tam niczego. Wygląda, że będziemy musieli się rozejrzeć.

–A plany?

–Fabryka uzdatniania wody. – Ashcroft uniósł się z miejsca. – Samochodem będziemy za kwadrans.

Kompleks budynków leżał nad niewielką, jedyną w promieniu wielu mil rzeką. Można było podejrzewać, że właśnie wodzie miasto zawdzięczało swoją lokalizację na tym kawałku pustynnego wybrzeża. Budynek kontroli jakości znajdował się pół kilometra dalej. Ashcroft i Layne, idąc wzdłuż rurociągu, zbliżali się do jego walcowatego kształtu.

–To wy jesteście z policji? – dobiegł z góry głos świadczący o włoskim pochodzeniu właściciela.

Zadarli głowy. Ashcroft już sięgał po znaczek, człowiek jednak machnął ręką, że nie warto. Uniósł łokieć z barierki i wskazał schody.

–Dokąd chcecie dojść? – spytał wpuszczając ich do chłodnego wnętrza stacji. Sądząc z jego podrapanych policzków, musiał się golić przynajmniej dwa razy dziennie.

–Pod market Manganellego – Layne przyglądał się kompozycji rur i pleksi wypełniającej halę; gdzieś bulgotała woda.

Monter pomachał mężczyźnie siedzącemu w oszklonej kabinie.

–Ale to kilka ładnych kilometrów – obrócił twarz do Ashcrofta. – Nie lepiej zejść studzienką?

W korytarzu, do którego weszli, hałas był taki, że Ashcroft musiał niemal krzyczeć:

–Nie można... Pana szef mówił, że stare plany zaginęły, nikt nie wie, gdzie są te zejścia.

Monter pokiwał głową i położył dłonie na dużym kole zamykającym właz.

–To prawda! Stara sieć jest niedrożna, ale w wielu miejscach krzyżuje się z nową. Wasze szczęście, że mam swoje szkice.

Zerknął na Ashcrofta.

–Orientuje się pan, ile jest dzielnic w naszym mieście?

–Dziesięć... – Ashcroft wzruszył ramionami. – Ten market jest... Monter roześmiał się głośno.

–W takim razie... – szarpnięciem poderwał klapę – mam zaszczyt zaprosić do jedenastej, najmniej znanej. Sluag Side.

Z dołu powiało zimne i wilgotne powietrze.

–Co to za nazwa? – Layne zajrzał w głąb.

–Została wzięta z mitologii Druidów. Któryś z naszych uwielbia ich historię. Wskazał na pakiety wystające z ich kieszeni.

–Zalóżcie maski. Ja ich nie używam, ale wy jesteście nowi – dodał z wymownym uśmiechem.

Rozerwali woreczki wręczone im jeszcze w fabryce wody i nasunęli maseczki kryjące usta wraz z nosem. Potem włożyli lekkie hełmy z dużymi reflektorami, a Layne uruchomił wiszące na pasku urządzenie rejestrujące drogę. Przewodnik miał ich zostawić przy starej sieci, wracać będą sami. W paru ruchach zsunęli się na betonowe podłoże.

–Pana szef twierdził, że jest tu oświetlenie – mruknął Layne zamiatając strugą światła.

–Tylko w okolicach węzłów i punktów kontrolnych – monter opuścił mu lampę. Ashcroft nie mógł się wyprostować, korytarz był za niski.

–Neal – powiedział Layne, kiedy zostali parę metrów z tyłu – głupio pytam, ale dlaczego nie wzięliśmy większej grupy, jeśli sądzisz...

Umilkł osłaniając twarz.

–Głupio... – dobiegło zza kręgu światła. – Myślałem, że zauważyłeś, tak naprawdę jedynie my dwaj zostaliśmy przy sprawie.

Rury brzęczały wokół, szemrząc płynącą wodą. Pokryte izolacją grube korpusy błyskały

tam, gdzie główne cieki dzieliły się na mniejsze. Przewodnik sobie znanymi sposobami wyszukiwał drogę, odczytując wskazówki z setek znaków i tabliczek.

–Zaraz będzie weselej – odezwał się niespodziewanie, wskazując wylot korytarza.

Zostawiając po bokach wąskie betonowe ścieżki, środkiem kanału płynęła jakaś nieokreślona substancja.

–Kanalizacja – stwierdził Layne uchylając maski. – Czy ja wiem... wcale tak nie śmierdzi.

–Były duże opady – monter oświetlił z bliska powierzchnię zawieszistej cieczy.

–Zdejmuję... – zdecydował Layne, dla którego, z powodu brody, filtr od początku był utrapieniem.

Zwolnił zatrząsk i schował całość do kieszeni. Ashcroft bez zachwyty poszedł w jego ślady. Na twarz montera ponownie wpłynął znajomy im uśmiech.

Dalsza droga stawała się coraz bardziej monotonna. Płynące ścieki, drobne ciekące szczelinami strużki wody i szare powierzchnie ścian. Szli ostrożnie jeden za drugim, uważając na wyszczerbione krawędzie ścieżki, przechodzili na krzyżówkach po trzęsących się kładkach i już od dawna zapomnieli o towarzyszącym im zapachu. Miasto czasami przypominało o sobie szumem restauracyjnych pomp czy zduszonym klekotem ciężarówek.

Miejsce, gdzie plan się kończył, a dalej były jedynie stare zapomniane odnogi, znaleźli po godzinie marszu. Częściowo zamurowany otwór ział mdlą stęchlizną, lecz kanał za nim był suchy, i kiedy Ashcroft przechylił się nad niestarannie położoną warstwą cegieł, dojrzał w świetle lampy dwa szczury. Wpatrywały się w niego beczelnymi czerwonymi ślepiami.

–Mam nadzieję, że nie jesteście obrzydliwi – mruknął monter drapiąc się po szyi. – Muszę was tu zostawić.

Wskazał głową kanał.

–Macie nie więcej jak sto metrów do waszych magazynów. Ashcroft wskazał aparat Layne'a.

–Myślę, że nie zginiemy.

–No to powodzenia – monter zagrzechotał torbą. – Tylko idźcie powoli. Patrzyli za nim, póki reszta światła nie zniknęła w jakimś odgałęzieniu.

–Żebyśmy chociaż wiedzieli, czego szukamy – wysapał Layne forsując ceglany mur.

Ashcroft przesadził przeszkodę w dwóch ruchach.

–Broni bądź śladów jej użycia. – Stał i pociągnął nosem. – Śmierdzi...

–Dziwisz się jeszcze jakimś zapachom... Layne nie dokończył. Dopiero teraz usłyszeli dźwięk odmienny od dotąd

spotkanych. Ruszyli nasłuchując. Spod palców, między szczelinami muru, sączyło się ciepłe powietrze. Raz jeszcze mignęły ślepia gryzoni, potem Ashcroft zgasił lampę. Błądząc dłonią Layne poszedł w jego ślady.

–Tam są ludzie... – usłyszał szept.

Stali u wlotu wysokiej sali, powstałej z zawalenia się wyższej kondygnacji.

Wzrok nie sięgał drugiego krańca. Ludzie, ubrani w cudaczne czarne stroje, krążyli wokół świec ustawionych na fragmentach stropu. Chybotliwe blaski kładły się na centralnie ustawionym stole i ciele rozkrzyżowanej tam dziewczyny. Była naga.

–To sukinsyny... – wycedził Ashcroft, lecz Layne stał z wpółotwartymi ustami.

Kapłan poklonił się dotykając czołem brzucha dziewczyny. Z podanej czary zaczął wylewać ciemny płyn. Wokół wszyscy unieśli sękate kije. Kapłan deklamował słowa bez związku, i dopiero kiedy Ashcroft ruszył powoli do tyłu, Layne zrozumiał, że to jakaś modlitwa recytowana na wspak.

–Spływamy...

Decyzja Ashcrofta była słuszną, lecz spóźnioną. Dziewczyna dostrzegła obce sylwetki. Jej histeryczny wrzask wytrącił naczynie z rąk kapłana, a wszyscy obejrzeli się. Ashcroft pociągnął Layne'a, słysząc jak tłum zawył z wściekłości. Biegli ścigani licznymi krokami. Layne uderzony kijem pod kolana potknął się już po paru metrach. Momentalnie wskoczyło nań kilka postaci, wciskając mu twarz w gruz i boleśnie wykręcając ręce. Poszturchiwanego i zwymyślanego zaciągnięto przed ołtarz. Dziewczyna owinięta w poplamione prześcieradło zerknęła z boku.

–Na Księcia Ciemności, kim jesteś? – zapytał kapłan, wznosząc dłonie patriarchalnym gestem.

–Puśćcie mnie... – wykrztusił Layne, ale nowe okrzyki sprawiły, że nie zwrócono na to uwagi.

Rozciągnięty między kilkunastoma rękami, w stronę stołu wędrował Ashcroft. Nie próbował się wyrwać. Zobaczywszy jego twarz kapłan jakby spokorniał. Gestem dłoni kazał puścić Ashcrofta. Ten wyprostował się, poprawił koszulę i pewnym ruchem wyjął świecę z ręki jednej z zakapturzonych postaci.

–Pearson – powiedział prawie szeptem. – Jednak nie posłuchałeś.

Człowiek pod kapturem westchnął i poplamionymi dłońmi ściągnął nakrycie głowy. Był lekko łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, o nieprzyjemnie nalanej twarzy. Layne przesunął się za Ashcrofta.

–Panie kapitanie – wymamrotał Pearson miętosząc kaptur. – Przecież nikomu nie przeszkadzamy, umyślnie schodzimy tu, do podziemi.

–Słuchaj – Ashcroft spojrział mu prosto w oczy – jeśli o mnie chodzi, możecie nawet nago tańczyć sambę, ale reprezentuję mieszkańców tego miasta. Wiesz, co było w tej petycji przed rokiem. W oczach grubasa zapłonęły ognie.

–On przyjdzie, Asmodeusz i sługi jego...

–Zamknij się – Ashcroft nawet nie podniósł głosu. – Twoje szczęście, że mam tu inne sprawy do załatwienia.

Świece otaczających ich ludzi nachyliły się niebezpiecznie, kapiąc z przepelnionych podstawek. Pearson potarł koniec nosa.

–Nie będzie aresztowań?

–Nie, ale najpierw dwa pytania – unosząc wzrok, Ashcroft dostrzegł, że dziewczyna wciąga obcisłe dzinsy. – Był tu wczoraj ktoś od ciebie?

Pearson poruszył wargami.

–Był... szykowaliśmy dzisiejszą uroczystość.

Zsuwały się kolejne kaptury, ukazując oblicza przeciętnych urzędników, pomocników sklepikarzy czy gońców biurowych.

–Chcę wiedzieć – Ashcroft mówił wolno i dobitnie – gdzie ćwiczą z bronią.

–A nie będzie raportu?

–Pomyślę o tym. Przed kapłana wysunął się młody chłopak o końskiej szczęce.

–Jeśli pan nie złoży, to pokażę, gdzie byli ci ludzie – powiedział glucho i zerknął przez ramię. – Tak, mistrzu?

Layne tłumiąc śmiech patrzył, jak Pearson bezradnie potrząsa głową.

–Zobaczycie, on nadchodzi, a wtedy policzone zostaną... Ashcroft odepchnął go lekko.

–Prowadź – zwrócił się do chłopaka. – A wy splywajcie, i to szybko. W szybkim tempie przebyli kilkaset metrów. Potem chłopak zatrzymał się i skierował przed siebie promień latarki.

–Tam – stwierdził i już chciał odejść, kiedy Ashcroft powstrzymał go rozwartą dłonią.

–Chwilę... pokaż, jak stąd wyjść – spojrzał na rozbity aparat Layne'a. Promień latarki uniósł się, ukazując, o dziwo, zamiast sufitu wąski szyb z klamrami.

–Tędy.

–Magazyny Mangellego są gdzieś tutaj? Końska szczęka ponownie wskazała ciemną salę.

–Za tamtą ścianą. Chłopak odwrócił się i zniknął za załomem, gdzie przez moment jeszcze migaly niewyraźne cienie.

–Co to za typy? – Layne rzucił jakby w powietrze.

–Jakaś zboczona sekta – Ashcroft przestąpił próg. – Pearson przyjechał z Los Angeles, chce założyć u nas filię...

Umilkł. Po drugiej stronie, pod ścianą, stał rząd podziurawionych tarcz. Podeszli do przeciągniętej kredą linii, co parę metrów leżały kupki lusek. Ashcroft nachylił się i podniósł jedną, potem powąchał.

–Oni – powiedział i uniósł głowę. – Szkoda, że puściłem Pearsona, mógł coś wiedzieć.

Ashcroft z namaszczaniem licząc kroki ruszył w stronę tarcz. Stał i zafrasowany potarł brodę.

–Dziwne...

–Co?

–Trzydzieści metrów. Najkrótszy dystans wojskowy to pięćdziesiątka. Coś chrobotalo pod butem Layne'a, więc pochylił się.

–I co z tego?

–Trzydzieści to tyle, ile strzela się u nas, w policji.

Layne spojrzał na przedmiot w dłoni. Podrzucił go kilka razy i podszedł do Ashcrofta.

–Patrz.

Była to policyjna oznaka. Ashcroft obrócił ją w palcach.

–Havoc... – uniósł oczy. – Havoc ma długie ręce. Mrok zgęstniał jak czarna pajęczyna.

–Trzeba będzie obejrzeć wasze kartoteki – szepnął Layne. Ashcroft raz jeszcze przyjrzał się krypcie.

–Chodźmy... On trzyma broń gdzie indziej.

Przeszli pod studzienkę. Ashcroft ujął najniższy ze szczebli.

–Idę do biura. Nie... – zaprzeczył widząc poruszenie Layne’a. – Muszę ustalić kilka spraw z naszym prawnikiem. O tym pogadamy u mnie w domu.

Słyszając rosnący szum ulicy, wspięli się do wjazdu. Wychodził na obskurny i zagracony zaułek na tyłach marketu Manganellego.

* * *

Woda w położonym obok garażu warsztacie zaczęła ściekać wartkim strumieniem, kiedy Layne zrezygnował ze szmat i wiader, decydując się na ogromną metalową balię, którą zauważył gdzieś w kącie. Z trudem uniósł ją w górę i ustawił na chwiejnej drewnianej półeczce tuż pod pękniętą rurą. Że popełnił błąd, zrozumiał

dopiero wtedy, gdy balia była już pełna i stało się jasne, że sam, bez pomocy Ashcrofta, nie zdoła ściągnąć jej na dół. Wściekły zakręcił główny zawór. Woda co prawda przestała płynąć, oddalając niebezpieczeństwo zalania piwnic, ale zarazem znikła perspektywa gorącej kąpieli, o której marzył od rana. Layne zapalił papierosa i żeby się uspokoić włączył radio. Cicha, nastrojowa muzyka sącząca się z głośnika pozwoliła mu zapanować nad nerwami na tyle, że zdołał szybko osuszyć podłogę i obejrzeć rurę. Pęknięcie nie było duże, a pobliskie złącze miało tyle luzu, że można je było naprawić bez wzywania ekipy technicznej. Wybita na kolnierzu wartość roboczego ciśnienia wody nie pozwalała na użycie żadnych plastrów, pakul ani szmat. Odpadał również gips, a cementu nie było w żadnej z licznych szafek. Layne nie lubił partaniny. Odrzucił papierosa i sięgnął po aparat spawalniczy. Odbezpieczył wyłącznik, ale nad uchwytem nie zapaliła się lampka kontrolna, nie było też słyhać charakterystycznego warknięcia stabilizatora. Czując, jak nad brwiami zbierają mu się kropelki potu, zaczął systematycznie sprawdzać wszystkie części aparatu.

–Dobry wieczór państwu! – radio nagle odezwało się ze zdwojoną mocą. –

Przerywamy program muzyczny, żeby zaprezentować państwu tegorocznych laureatów telewizyjnej nagrody Emmy...

Layne ruszył ręką – zielona kontrolka zapłonęła na chwilę i zaraz zgasła. Kiedy ujął kabel doprowadzający prąd, lampka zamigotała jeszcze kilkakrotnie i zgasła na dobre.

„A więc to kabel – pomyślał. – Cholera, pewnie poszło jakieś lutowanie”.

–... Nasz sprawozdawca przepycha się przez gęsty tłum wiwatujących ludzi i być może zaraz usłyszymy...

Layne ruszył w kierunku tablicy z bezpiecznikami, ale zaraz wrócił znowu do zbitego z surowych desek biurka.

„Jasny szlag, jeśli wykręcę korki, nie będę mógł użyć lutownicy”.

Sięgnął do wtyczki tkwiącej w specjalnie obudowanym gnieździe wysokiego napięcia.

–Wiedziałem – mruknął. – Wiedziałem, że nie da się wyciągnąć. Czy wszystko w tym domu musi być zepsute?!

–Witam wszystkich miłośników sztuki telewizyjnej. Kłania się Mile Walters, a zaraz usłyszycie państwo głos laureata nagrody za najlepszą rolę drugoplanową, Johna Ashcrofta.

„Co za zbieżność nazwisk...” – Layne starając się nie dotykać odkrytych przewodów powoli odkręcił śrubki przytrzymujące osłonę.

–... Tak, czuję się naprawdę bardzo zaszczycony, tym bardziej że rola w „Ostatecznym rozstrzygnięciu” była moim debiutem.

Layne, trzymając rozcapierzony na końcu, podłączony do prądu kabel tuż przed miejscem, gdzie kończyła się izolacja, delikatnie wyjął go z obluzowanych szczęk aparatu i ostrożnie położył na ziemi. Przezornie odsunął się z krzesłem w drugą stronę, choć wiedział, że wykonana z dobrego izolatora wykładzina podłogowa nie stwarza większego niebezpieczeństwa.

–To dziwne, że sam film nie zdobył nawet wyróżnienia. Myślę jednak, że słynna już scena u prawnika przejdzie do annałów sztuki filmowej jako niezwykle osiągnięcie...

„Cholera, Neal jest właśnie u prawnika – pomyślał Layne. – Pewnie wróci po północy, a mnie tu szlag trafi z tymi naprawami”.

–Panie Ashcroft, proszę nam opowiedzieć o realizacji tej sceny.

–To było rzeczywiście bardzo trudne. Siedziałem związany i zakneblowany w fotelu widząc zbliżającego się mordercę. W tych ciężkich warunkach musiałem samymi oczami zagrać telepatyczne przekazanie przyjacielowi prośby o ratunek...

Layne spojrzął na odbiornik.

–Trzeba przyznać, że wykazał pan znakomity kunszt aktorski.

–To zasługa mojego nauczyciela z New Actor’s Studio.

–Wydaje mi się, że zawsze najtrudniej jest pokazać stan zagrożenia tak, żeby wypadło to naturalnie...

Layne sięgnął po lutownicę. Tuż nad szufladą na wąskiej, pochylej desce ktoś przykleił reklamówkę znanej firmy rusznikarskiej.

„Nasz najnowszy model trafia sam! Specjalny celownik zapewnia dużą skuteczność ognia bez względu na pogodę, ciemność czy mgłę. Kup model B-500! Używają go najwyższej klasy snajperzy!” – głosił jaskrawy napis.

Krawat Layne’a opadł bezgłośnie na podłogę.

–Wracając jeszcze do pańskich umiejętności, panie Ashcroft. We wspomnianej scenie potrafił pan nie tylko pokazać strach czy zagrożenie. Zdołał pan przekazać widzom nieuchronność własnej śmierci, gdyby przyjaciel spóźnił się choć o sekundę...

–Co za bzdury! – powiedział głośno Layne. Czuł jednak podświadomie, że powinien natychmiast wyjść z tego domu i jechać do Neala.

–To tylko splot przypadków...

Wziął do ręki lutownicę, ale jej koniec drżał tak, że nie mógł nabrać ani grama cyny.

„Muszę stąd wyjść! Muszę stąd wyjść!” – kołatało mu w głowie. – „Nie, do cholery. Przecież Ashcroft mnie wyśmieje”.

Wywiad w radiu skończył się, ale muzyka, która znowu płynęła z głośnika, nie działała już na niego kojąco. Sięgnął do wyłącznika. Ruch był jednak tak nieostrożny, że mały tranzystor spadł ze stołu i roztrzaskał się na podłodze.

„Co się ze mną dzieje?” – pomyślał patrząc na porozbijane części.

Przyłożył rozedrgane ręce do twarzy i podskoczył na krześle, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

–Kto tam?

–To ja, Kathreen Burns. Proszę otworzyć. Layne zupełnie odruchowo schował do kieszeni klucz francuski i uchylił drzwi.

Stojąca na zewnątrz kobieta uśmiechnęła się jakby z lekkim wstydem.

–Przepraszam, że niepokoję, najpierw starałam się dostać do mieszkania na górze... myślałam, że dzwonek jest zepsuty... Potem zobaczyłam światło tu na dole.

–Proszę... – Layne wpuścił ją do środka.

–Naprawdę przepraszam, że przeszkadzam w ważnej pracy...

Burns spojrzała na klucz obciążający kieszeń Layne'a. Ten uśmiechnął się z zażenowaniem i odłożył narzędzie na półkę.

–Nic nie szkodzi. Zaraz przejdziemy do mieszkania, tylko umyję ręce... No tak – Layne przypomniał sobie o braku wody. – Nawet nie będę mógł zrobić pani kawy.

–Nie chciałabym sprawiać kłopotu. Przyszłam przeprosić za moje zachowanie... wtedy w Centrum.

–Ależ doprawdy to drobiazg. Przecież nie było w tym pani winy.

–A ja myślę, że jednak zawiniłam – Kathreen Burns spuściła głowę patrząc na swoje długie, pomalowane na czarno paznokcie. – Nie wiem, co się ze mną stało, to było okropne...

–Proszę pani...

–Mówmy sobie na ty. Przecież wiesz, że na imię mi Kathreen, w skrócie Kate.

–To mi bardzo pochlebia, proszę pa... to znaczy Kate. Bardzo mi miło i podałbym ci rękę, ale...

–Nie przeszkadza mi, że jest brudna – kobieta podeszła do niego, prezentując głębokie rozcięcie w spódnicy. – Zresztą masz chyba nie tylko rękę, Marty – pocałowała go w policzek.

Layne poczuł zapach jej perfum i delikatne muśnięcie gęstych, puszystych włosów. Chciał ją objąć, ale jakieś podświadome przeczucie dręczyło go, pozbawiając możliwości trzeźwego myślenia.

–Skąd wiesz, że na imię mi Marty? – spytał nagle.

–Przedstawiłeś się będąc u nas.

–Tak?

–Jesteś taki jak wszyscy mężczyźni. Okropnie zasadniczy – Kathreen podeszła do ukrytych we wnęce wąskich schodków. – Tędy idzie się do mieszkania?

–Tak, ale drzwi są zamknięte na klucz z tamtej strony. Neal ma manię zamykania wszystkiego, co mu się nawinie pod rękę.

–Przestępców też?

–To jego zawód. Musimy stąd wyjść tą drogą, którą przyszłaś. Naokoło.

–Chyba ci się nigdzie nie spieszy, co, Marty?

Layne zupełnie nagle poczuł, że jeśli natychmiast nie opuści tego domu i nie dotrze do Ashcrofta, stanie się coś straszego. Irracjonalne uczucie opanowało go do tego stopnia, że co chwila zerkał na zewnątrz przez małe zakratowane okienko.

–Wiesz, Kate... – zaczął przelykając ślinę – bardzo cię przepraszam, ale muszę na chwilę wyjść. Dosłownie na sekundę.

–Co ci się stało?

–Nie wiem. Niedobrze mi.

–Zostań, Marty. Czy tak bardzo ci się nie podobam?

Kathreen zdjęła marynarkę rzucając ją niedbale na ziemię. Powoli, sięgając tylko jedną ręką, zaczęła rozpinać guziki bluzki.

–Przeستاń. Przepraszam cię, ale ja naprawdę muszę...

Ręce Kathreen przesunęły się do góry, chwilę później bluzka leżała obok marynarki.

–To głupie, bardzo chciałbym zostać... – Layne ruszył w kierunku drzwi. Kathreen była jednak szybsza. Skoczyła przed niego, błyskawicznie zamknęła obydwa skrzydła i przekręciła klucz.

–Kate!

–Stój i nie ruszaj się – powiedziała zimno.

–Kate, o co ci chodzi? Kobieta stała bez ruchu patrząc na Layne’a z uwagą.

–Kate! Oddaj natychmiast klucz!

Wyraz jej twarzy pozostał nie zmieniony. W przeciwieństwie do Layne’a oddychała spokojnie.

–Kate, muszę wyjść i zrobię to, choćbym miał odebrać ci klucz siłą.

Żadnej reakcji.

Layne zrobił krok do przodu, a później rzucił się na nią usiłując chwycić dłoń.

Kathreen kopnęła go w kolano i uderzyła z taką siłą, że przeleciał pod przeciwległą ścianę.

–Kate, zachowujesz się tak, jak wtedy w Centrum – wydyszał. – Opanuj się!

Kiedy zobaczył, że kobieta w ogóle nie reaguje na jego słowa, pragnienie wydobycia się na zewnątrz stało się tak silne, że podniósł ciężki łom i powoli ruszył w jej kierunku.

–Oddaj to! – wysyczał. – Oddaj to, albo połamię ci wszystkie kości.

Uniósł łom i napiął mięśnie, ale Kathreen zwinnie uskoczyła w bok i celnym

rzutem umieściła klucz na najwyższej półce. Layne klnąc przez zęby przystawił krzesło do ściany, wskoczył na nie i stając na palcach wyciągnął rękę. Przez chwilę jego dłoń błądziła w zwałach kurzu, wreszcie wymacała mały metalowy przedmiot. Z okrzykiem triumfu odwrócił się i zamarł z przerażenia. Kobieta biegła w jego stronę trzymając ciężką zardzewiałą siekierę.

–Nie! – krzyknął i targnął się w panice, usiłując uniknąć ciosu.

Tracąc równowagę chwycił się półki, kątem oka widząc, jak metalowa balia spada na ziemię. Kiedy kilkadziesiąt litrów wody zalało podłogę, rozległ się potworny, świdrujący bębenki wrzask. W sekundę potem zgasło światło.

„O Boże, tam był przecież ten odsłonięty kabel... wywaliło bezpieczniki” – pomyślał Layne.

Zeskoczył na dół i po omacku otworzył drzwi. Potem chwycił drgające ciało i sapiąc z wysiłku ściągnął je po zboczach, aż do szosy. Słyszając płytki, nierówny oddech kobiety, przewrócił ją na wznak i pobił wzdłuż drogi-„Ashcroft! Muszę ostrzec Ashcrofta!” Zatrzymał się po kilkadziesiąt metrów. Przemożne uczucie zagrożenia towarzyszące mu przez ostatnie chwile gdzieś znikło i czuł się zupełnie spokojny. Gdyby nie zajście z porażoną prądem Burns i to, że był kompletnie wypompowany, wróciłby do domu i zasiadł przed telewizorem.

„Zwariowałem – pomyślał. – Co mi strzeliło do głowy z tym zamachem na życie Ashcrofta? Co za głupi splot przypadków”.

Kiedy oddech powrócił do normy, Layne zawrócił i ruszył z powrotem. Eksplozja, która dosłownie rozniosła dom Ashcrofta, na wiele metrów wokół pokryła teren potrzaskanymi

deskami i szczątkami konstrukcji. W miejscu, w którym stał, Layne był jednak zupełnie bezpieczny.

* * *

–Nie. Nie zgadzam się – powiedział Stazzi. – To dziecinne zagranie, które nas tylko ośmieszy w oczach Wenera.

Slayton westchnął ciężko.

–To jedyna rzecz, która może nam dać przewagę nad ludźmi Havoca.

Przynajmniej tutaj, w ośrodku.

–Nie, Wener nigdy na to nie pójdzie...

Kelly wstał z łóżka i nachylił się nad Stazzim.

–Zrozum wreszcie, że Hutts jako kierownik naukowy skutecznie sparaliżuje wszystkie nasze poczynania. Musimy skłonić Wenera, żeby go odsunął albo zawiesił. To nasza jedyna szansa.

–Dobrze, ale nie w ten sposób. Poza tym, nawet jeśli Wener nabierze podejrzeń w stosunku do Huttsa, to przecież nigdy nie zgodzi się na użycie profesora w charakterze królika doświadczalnego.

–Mamy jeszcze Kathreen Burns – powiedział Slayton. Stazzi obrócił fotel w jego stronę.

–To ta kobieta, którą przysłali Ashcroft i Layne? – spytał.

–Tak. Zamiast na pogotowie przywieźli ją tutaj mając nadzieję, że wykonamy badania, które wyodrębnią wreszcie cechę powodującą podporządkowanie się Havocowi.

–Co jej właściwie jest?

–Szok po porażeniu prądem o wysokim napięciu. Drobiazg. Ale Layne dołączył szczegółowy opis zajścia i wszystkie swoje uwagi. To naprawdę świetny materiał do doświadczeń.

–Ale jednostkowy – wtrącił Kelly.

–Może uda nam się zbadać Huttsa.

–Na to nie liczcie – mruknął Stazzi w zamyśleniu.

–Dobrze – podjął po chwili. – Spróbuję. Dajcie mi pół godziny i spotkamy się w gabinecie szefa.

Wener nie był ani zaskoczony, ani zdziwiony zarzutami i oskarżeniami wysuwanymi pod adresem Huttsa. Patrzył spokojnie na Kelly'ego i Slaytona paląc papierosa, którego dym prawie zasłaniał jego twarz.

–Można by uznać – powiedział wreszcie – że wszystko, co usłyszałem, brzmi dość przekonująco, abstrahując oczywiście od zupełnie fantastycznych założeń, które poczyniliście. Ale chciałbym jednak dysponować jakimiś dowodami.

–Czy formularz, który świadczy, że to Hutts posłał chorego pielęgniarza na dyżur, nie jest dowodem? – spytał Kelly.

–Nie.

–Myślę, że gdyby pan z nim porozmawiał – powiedział Slayton – wszystko wyszłoby na jaw.

–Mam go wezwać? Nie wiem nawet, gdzie jest w tej chwili.

–Czeka przed drzwiami. Stazzi już go przyprowadził.

Wener uśmiechnął się i zdusił papierosa.

–Mam nadzieję, że nie trzyma nabitego rewolweru przy jego skroni – nachylił się nad komunikatorem i szepnął coś sekretarce.

Po chwili Hutts i Stazzi zajęli miejsca w głębokich fotelach.

–Usłyszałem przed chwilą – zaczął Werner – kilka poważnych oskarżeń dotyczących pana...

Hutts spojrział na Slaytona, ale ten odwrócił wzrok.

–Między innymi pojawiła się kwestia pańskiej odmowy na przeprowadzenie badań zaproponowanych przez Kelly’ego i Slaytona.

–Nigdy nie zgodzę się na te badania – powiedział ostro Hutts. – Nie przyłożę swojej ręki do topienia rządowych pieniędzy w tak idiotycznym programie.

–Chciałbym usłyszeć, dlaczego?

Twarz Huttsa poczerwieniała.

–I pan mnie jeszcze o to pyta? Przecież to bzdury! Stek wyssanych z palca bajek!

Werner nie spiesząc się zapalił drugiego papierosa.

–A jak pan wytłumaczy śmierć pielęgniarki? – spytał zaciągając się dymem. – Albo to, co stało się z Woodwardem i jednym z żołnierzy...

–Wszystko ma swoje wytłumaczenie i na pewno je znajdziemy. W odpowiednim czasie.

–To wszystko?

Hutts prawie poderwał się z fotela.

–Czego pan ode mnie chce? Chciałbym poznać wreszcie...

Przerwał mu sygnał telefonu.

–Przepraszam panów – Werner podniósł słuchawkę i długo milczał przybierając coraz bardziej zaskoczony wyraz twarzy.

W końcu powtórzył kilka razy: „tak jest, panie pułkowniku” i delikatnie, jakby bał się głośniejszego trzasku, odłożył słuchawkę z powrotem na widelki.

–No cóż – podjął po chwili – myślę, że nasz problem jest przynajmniej w części rozwiązany.

–Co się stało? – spytał Stazzi.

–Nasze dowództwo – Werner ruchem głowy wskazał na telefon – zawiadomiło mnie, że Havoc został ujęty dziś w nocy.

W zapadłej ciszy słychać było ciężki oddech Huttsa.

–Pytali, czy podejmiemy się – kontynuował Werner – zbadania Havoca...

–Co pan postanowił? – spytał Hutts.

–Odpowiedź mam dać jutro. Jednak przywiezienie tutaj zbiega uzależnili od podjęcia przez nas kompleksowych badań o charakterze... no, mniej więcej takich, jakie proponowali już wcześniej Kelly i Slayton.

–Myślę, że powinniśmy się zgodzić – powiedział Hutts.

–Słucham?

–Powinniśmy przyjąć tu Havoca znowu!

–Przecież już raz stąd uciekł – Werner spojrział zdziwiony na profesora.

–Ale będziemy mogli zacząć badania...

–Jeszcze przed chwilą był pan im przeciwny.

Hutts drżącą ręką rozpiął kołnierzyk.

–Muszę to przyznać, tak... Ale teraz sytuacja się zmieniła, będą dotacje, a poza tym myliłem się. Każdy człowiek popełnia błędy.

–Jakie jest więc ostatecznie pańskie zdanie? – wtrącił się Slayton.

–Jestem za sprowadzeniem do nas Havoca i natychmiastowym przyjęciem proponowanego przez panów programu badań.

Slayton opuścił głowę, jakby nagle zainteresował go deseń wykładziny pod ogromnym ciemnym biurkiem. Stazzi również odwrócił wzrok.

–Myślę, że powinniśmy panu coś wyjaśnić, panie dyrektorze – powiedział Kelly.

–Tak?

–Ten telefon z dowództwa to był nasz pomysł, Stazzi ma tam kilku znajomych...

–To przerażające! – krzyknął Hutts. – Jak mogliście zrobić coś takiego?

–Chcieliśmy w ten sposób wyjaśnić czy raczej udowodnić, że pan Hutts działa pod czyjś wpływem – Kelly odgarnął z czoła kosmyk włosów. – Havoc oczywiście nie został zatrzymany.

–To straszne! – Hutts podniósł się z fotela i zaczął krążyć po pokoju. – Zakpiono z nas w okropny sposób. Pan chyba nie wierzy w te bzdury, jakobym był pod wpływem Havoca? – zwrócił się do dyrektora.

–Nie.

–Mam nadzieję, że cała trójka zostanie ukarana! – Hutts podszedł do drzwi i otworzył je na całą szerokość.

–Chwileczkę, panie profesorze. Hutts zatrzymał się w progu. Werner dłuższy czas patrzył na niego, a potem powiedział sucho:

–Przykro mi. Zawieszam pana w pełnieniu wszystkich funkcji.

–Jak to? – wstrząśnięty Hutts odruchowo oparł się o framugę. – Przecież powiedział pan...

–Podtrzymuję to, co powiedziałem. Niemniej pańskie zachowanie jest więcej niż dziwne.

Huk wywołany trzaśnięciem drzwiami sprawił, że wypalony do filtra papieros wypadł z dłoni Wernera. Kelly wyjął z kieszeni nową paczkę i nachylił się w stronę biurka z wyciągniętą ręką. Werner odmówił ruchem głowy. Przerwał ciszę dopiero po kilku minutach.

–Chcecie prowadzić te badania?

–Wyraża pan zgodę? Tak, chcemy.

–Co jeszcze?

–Dobrze byłoby nawiązać ściślejszą współpracę z Ashcroftem i Layne'em -powiedział Slayton.

Werner skinął głową.

–Mam tylko nadzieję, że będą to kontakty o charakterze prywatnym. Nie chciałbym sporu kompetencyjnego na wyższych szczeblach.

–Chcielibyśmy też – dodał Kelly – móc sami dobrać współpracowników.

–Dobrze, przedstawcie listę, a wtedy razem coś ustalimy. To wszystko?

–Tak. Dziękujemy – Kelly i Slayton podnieśli się z foteli. Kiedy wyszli, Stazzi spojrzał na Wernera.

–Prawdę powiedziawszy, nie sądziłem, że okaże się pan tak... tak... elastyczny.

–To pana dziwi?

–Nie... Chociaż może tak. Trochę. Werner zdmuchnął z blatu resztki popiołu.

–A ja myślę – powiedział – że jedyną naprawdę dziwną rzeczą jest fakt, że Kelly i Slayton przez nikogo nie namawiani sami rwą się do pracy.

* * *

Powietrze nad pustynią dygotało w gorączce. Na jednej balustradzie siedzieli Layne i Ashcroft, naprzeciw, twarzą w stronę miasta – Freddie, Lionel i Earl. Cała trójka miała uduchowione miny, lecz bardziej za sprawą słońca, niż ich wewnętrznych przeżyć.

–Neal – Earl mrużył oczy. – Ci partacze doszli wreszcie, co było w twojej chałupie?

Ashcroft opuścił głowę, jakby chcąc ukryć wyraz twarzy.

–Grupa dochodzeniowa stwierdziła wybuch gazu. Winą obciążyli instalatorów...

Earl przesunął się, widać poręcz była za wąska.

–Grupa dochodzeniowa... – prychnął. – Zawsze zwołuje się ją dobierając przypadkowych ludzi.

–Ma płakać...? – wtrącił sennym głosem Lionel. – Dostanie takie odszkodowanie, że...

–Ale ci z ubezpieczeń mogą zlecić własne śledztwo...

–Nie sądzę. W takiej sprawie... Ashcroft i Layne wymienili spojrzenia.

–Gdzie teraz mieszkacie? – niespodziewanie zainteresował się Freddie.

–W hotelu – odparł Ashcroft i zeskoczył na platformę otaczającą stację. W wejściu stał monter. Sądząc po policzkach, nie zdążył się dzisiaj ogolić.

–Nic nie ma... – wychrypiął i parę razy odkaszlnął. – Byłem w tej sali, którą opisałeś przez telefon, na podłodze została tylko linia z kredy.

Stukot opadających butów niemal zagłuszył słowa. Trzech poruczników z wyraźnym zaciekawieniem przyglądała się wilgotnemu kombinezonowi. Freddie pociągnął nosem, lecz tamten spojrzał na niego ze znużeniem.

–Wpadłem do kanału. Poszła kładka – zerknął wymownie na Ashcrofta. – Przyjrzałem się jej dokładnie... była podpiłowana. Myślę, że powinien pan o tym wiedzieć. Lionel wyskoczył do przodu.

–To można podciągnąć pod usiłowanie morderstwa – stwierdził zacierając ręce. – I to bez motywu. Czy podejrzewa pan kogoś?

Monter ominął go wzrokiem.

–Jest jeszcze jedno, o czym musi pan wiedzieć.

Lionel nie był w stanie znów przeszkodzić, palce Ashcrofta ścisnęły jego obojczyk.

–Proszę mówić...

–Nie – monter przetarł twarz. – Musi pan zejść i sam to obejrzeć. Ashcroft przez chwilę jakby analizował ton wypowiedzi, potem skinął głową.

–Dobrze, zejdziemy tam. Pochłonęło ich ascetyczne wnętrze stacji. Mężczyzna siedzący przy konsoli nie

był tym, co poprzednio. Nerwowo odpalał papierosa od papierosa i na widok montera bezradnie uniósł dłonie.

–Coś się dzieje? – Layne wskazał stanowisko.

–Wczoraj wieczorem zaginęło dwóch techników, szukamy ich – wyjaśnił monter kaszłąc ochryple.

–Miełicie takie przypadki przedtem? – zapytał z tyłu Ashcroft.

Tamten odpiął kieszeń i wyjął przemoczony, nierozpoznawalny zwitek.

–Miełimy – ścisnął kulkę, aż pociekła woda – Za moich czasów jeden się utopił, znaleźli go w osadniku, a drugiego zastrzelili jacyś gówniarze bawiący się bronią.

Uklęknał nad włazem.

–Tę drugą sprawę pamiętam – powiedział Ashcroft Półgłosem. – Tym razem, to chyba nie gówniarze?

Człowiek w kombinezonie z podejrzaną gwałtownością odkręcał właz, wreszcie uniósł głowę.

–Też tak myślę.

Minęła jeszcze chwila zanim dopasowali helmy, a monter nie tłumacząc się zwinął i schował pod połę worek z grubej folii.

Dopiero kiedy ruszyli mrocznymi czeluściami podziemi, Lionel zebrał w sobie odwagę, aby ponownie się odezwać.

–Neal – zaczął na tyle głośno, żeby usłyszał również przewodnik. – Ten pan miał się rozejrzeć, czy gdzieś może być przechowywana broń.

Z tyłu plusnęło i Freddie zlorzcząc wytarł nogawkę. Monter odpowiedział spokojnym, nieco dudniącym głosem.

–Dzisiaj od samego rana kilkanaście osób, wszyscy wolni instalatorzy, szukają tamtej dwójki. Myśli pan, że przegapiliby skład broni?

Mówiąc, nawet nie odwrócił głowy. Layne, nauczony doświadczeniem, miał dzisiaj masywne, sznurowane na łydkach buty.

–Sprawdzają również stare kanały, tam gdzie pana wysłaliśmy?

–Niektórzy... – mruknął enigmatycznie monter i przed wejściem na kładkę tupnął silnie nogą.

Później, gdy przecinali dalszy odcinek wnętrza miasta, zerknął na ścianę. W kolistym kręgu lampy widniało kilka symetrycznie wybitych otworków.

–Ktoś zrywa znaki – rzekł jakby do siebie. – Coś się dzieje tutaj od paru dni.

Ludzie, którzy wyszli na poszukiwania, zgłaszali o uszkodzeniu instalacji oświetleniowej, gdzieś tam zostały odblokowane stare przejścia, nawet jedno ślepe prowadzące za miasto.

Ashcroft starannie badał butem drogę przed sobą.

–To wygląda na robotę większej grupy – mruknął wpatrzony w chodnik. – Nie wiem, czy orientuje się pan, ale w starej części urzęduje pewna sekta...

–Nie – szybkie ruchy światła zaprzeczały równie wymownie jak głowa. – To ktoś inny... Nie dokończył. Z labiryntu korytarzy dobiegł stłumiony huk.

–Niech to szlag... – wycedził Earl. – Mówcie co chcecie, ale ktoś tu lata ze spluwą.

–Może rzeczywiście Havoc trzyma tu broń? – szepnął Freddie.

Monter stanął ciężko oddychając.

–Nie wiem, po co ich szukacie – zaczął – ale jacyś ludzie kręcą się tutaj, na terenie starych kanałów... A teraz zobaczycie, dlaczego jestem pewien, że tej dwójki już nie zobaczymy.

Wskazał świeżo wybity otwór w ceglanym murze, odsłaniający wilgotny, na wpół zawalony korytarz. Obok leżały zręby cegieł i kilof o wyszczerbionym końcu.

–Gdzie idziemy? – spytał odruchowo Layne.

W świetle reflektorów monter wyglądał jak monstrum z filmu grozy.

–Zobaczy pan.

Ashcroft wysunął broń z zawieszanej na szelkach kabury, reszta poszła za jego przykładem. Schyleni, w niektórych miejscach podpierając się rękoma, pelzli zniszczonym przejściem. Zewsząd, jak przy odwrotnie działającej wentylacji, napływał ostry i kwaśny zapach nieokreślonego pochodzenia. Lampa montera zadrżała, znak, że trafili na schody, potem zastygła w bezruchu.

–Jesteś tu? – usłyszeli jego głos odbijający się od ścian przestrzennego pomieszczenia. – Ty...

Ashcroft odepchnął Layne'a, sam z rewolwerem uniesionym na wysokość głowy przesunął się do przodu. Zgasił reflektor.

–Odezwij się – powtórzył monter. – Wróciłem z pomocą.

W głębi sali, za pordzewiałymi belkami, opierającymi się jednym końcem o podłogę, ktoś siedział. Blade plamy oczu gorzały strachem. Niewidoczny Ashcroft przeskoczył stertę gruzu i zadarł głowę siedzącej postaci. W skoncentrowanym blasku dojrzeli znajomą końską szczękę.

–On przyszedł – zaszeptał młodzieniec głosem nakręconej pozytywki. – On, szatan, i sługi jego...

Cementowa bladeść twarzy nie mogła jedynie być zasługą oświetlenia. Ashcroft uderzył go wolną dłonią w policzek.

–Opamiętaj się.

–Mistrz mówił... – chłopak zamrugnął oczami. – Mówił, że przyjdzie. Czekaliśmy, ale... Zaczął się jąkać. Monter położył dłoń na jego ramieniu i uniósł swoje opuchnięte oczy.

–Kapitanie... – szepnął. – Tam.

Skierowali lampy za ruchem jego brody. Z opuszczoną głową i rękoma wzdłuż tułowia siedział tam oparty o ścianę Pearson, jeszcze z kapturem w dłoni. Dopiero kiedy podeszli, wyjaśniło się, czemu zawdzięcza swoją dziwną pozycję. Ciemny wojskowy bagnet, który przebijał serce, musiał tkwić w jakiejś szczelinie muru.

–Tak ich zastałem – powiedział monter. – Chłopak mówił, że pilnuje ciała tego... mistrza.

Zaszeleściło, kiedy wyjmował zza kombinezonu plachtę folii.

–Trzeba ich stąd zabrać.

–Dobrze – Ashcroft machinalnie włączył lampę. Pomóżcie mu.

Lionel i Earl zaczęli rozprostowywać worek, jedynie Freddie stał bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w górze. Ashcroft spojrział tam. Na suficie widniały długie zawijasy z kopciami świeczki.

–Nie wiem! – krzyknęła Kathreen Burns. – Nie pamiętam, co się ze mną działo!

–Przypomnij sobie – powiedział Slayton.

–O Boże! Dajcie mi spokój. Ja naprawdę nic nie wiem.

–Kelly! Zrób pani zastrzyk.

–Nieeee!!!

–Weź najgrubszą igłę, jaką masz. Założę się, że pani ma bardzo twarde żyły.

–Nie możecie tego zrobić. Boję się zastrzyków – w oczach Kathreen pojawiły się łzy.

–W takim razie słucham. Co masz do powiedzenia?

–Nic. Naprawdę nic.

–Kelly – Slayton zapalił papierosa i dmuchnął dymem w twarz kobiety. – A może zamontujemy jej igłę na stałe w żyle? Co o tym myślisz?

–Niezły pomysł – Kelly z uśmiechem podniósł do światła coś, co na pierwszy rzut oka przypominało kilkucalowy gwóźdź.

–Nie macie prawa tego robić! – krzyknęła Burns. – To nie przesłuchanie! Żądam kontaktu z moim adwokatem.

–Masz rację, nie jesteśmy policją – powiedział spokojnie Slayton. – Ale my cię tylko leczymy...

–Nie macie prawa!

Slayton nagle stracił panowanie nad sobą i zerwał się z krzesła.

–Wiesz, gdzie mam prawo w stosunku do takich jak ty?! – krzyknął.

–Nie, Slayton. Nie zdejmuj przy pani spodni – Kelly nachylił się nad łóżkiem, na którym leżała kobieta. – Popatrz lepiej na jej oczy. Coś mi to wygląda na niewydolność nerek.

–Myślisz o dializie?

–Tak, tylko to cholernie bolesny zabieg. Nie wiem, czy ona wytrzyma...

–Nie!!! – krzyknęła Kathreen potrząsając przymocowanymi do głowy kablami EEG. – Co chcecie wiedzieć? – chlipnęła.

–No widzisz, kotku – mruknął Slayton. – I po co było zaczynać z lekarzami?

–Co czujesz w momencie, kiedy zaczynasz działać wbrew swojej woli? – spytał Kelly.

–O Boże, nie wiem! Czuję się tak, jakbym działała zgodnie ze sobą, dopiero potem...

Przerwało jej wejście Stazziego.

–Moglibyście badać ją trochę ciszej, chłopcy? Te wrzaski słyhać na całym korytarzu...

–Niech mnie pan ratuje! – Kathreen poderwała się, ale oplatające ją pasy zaciągnęły się automatycznie i rzuciły z powrotem na posłanie.

–Przecież muszą panią leczyć. Zdrowie to bardzo delikatna rzecz i trzeba o nie dbać.

–Ale to są tortury! Sam pan mówił, że wszędzie słyhać moje krzyki...

–Ja mówiłem coś takiego? Musiała się pani przesłyszeć.

–To szok – powiedział Slayton. – W tym stanie mogą występować różne omamy.

Stazzi skinął głową i wyszedł zamykając drzwi. Kelly zbliżył się do łóżka zerkając na mrugające zielonymi cyferkami ekrany aparatów.

–Słuchaj, a może damy jej trochę odsapnąć? – powiedział.

–Zmiękleś? Co, znowu obsunęła jej się koszula...

–Przestań – Kelly nachylił się nad leżącą tak, że jego krótkie włosy dotykały prawie jej czoła.

Podniósł rękę i rozcapierzając palce dość brutalnie odchylił obie powieki, na których widniały jeszcze ślady tuszu.

–No, słucham, co czujesz, kiedy... – zaczął Slayton, ale zamilkł, widząc jak kobieta nagle tężeje i po chwili potwornym zrywem własną głową uderza w czoło Kelly’ego.

Rzucił się, żeby podtrzymać kolegę, ale zawadził kolaniem o kant stołu i obaj runęli na ziemię pociągając za sobą spiętrzone w stertę papiery. Ciało Kathreen trzęsło się i drgało konwulsyjnie, a z gardła wydobywał się ochrypły ryk:

–Nigdy!!! Nigdy!!! Nie dowiecie się niczego!

Drzwi otworzyły się i do pokoju ponownie wpadł Stazzi. Widząc, że jeden z krępujących kobietę pasów zaczyna puszczać, podbiegł do łóżka, ale zanim zdążył złożyć się do ciosu, ona nagle zupełnie spokojna patrzyła już w górę wzrokiem przerażonego normalnego człowieka. Stazzi rozluźnił rękę i spojrział na leżących na podłodze Kelly’ego i Slaytona.

–Tak to jest, jak się zostawi dwóch supermanów ze związaną kobietą – powiedział cicho.

Slayton klnąc wściekle i kulejąc dopadł do konsoli z głównym ekranem sumującym dane z większości aparatów.

–Co z wykresem EEG? – warknął.

Kelly trzymając się za pulsujące bólem czoło sięgnął po papierową taśmę.

–Lepiej niż świetnie – powiedział po chwili trochę drżącym głosem. – Jest wyraźna zmiana. Bardzo charakterystyczna.

–No to jesteśmy w domu. Dziękujemy za pomoc, panie Havoc.

Slayton zwrócił się do Stazziego:

–Jeszcze trochę czasu i nie będziemy błądzić po omacku. To nie są czary, Carlo. Wszystko da się zmierzyć.

–Nic z tego, chłopcy. Zwijamy interes.

–Co?

–Nie wiecie, co się od rana dzieje. Nie widzieliście zajeżdżających ciężarówek? – Stazzi włożył ręce do kieszeni.

–Co się stało? Wojna? – spytał Kelly.

–Gorzej. Epidemia.

Dopiero teraz zauważyli, że czoło Stazziego pokryte jest drobnymi kropelkami potu.

–Jakaś supergrypa czy coś takiego. Szpitale w mieście są przepelnione i dowództwo podjęło decyzję, żeby do czasu opanowania sytuacji przerwano wszystkie badania w naszym ośrodku i przyjęto chorych.

–Nasze też?

–Wszystkie. I Werner musi to zrobić, jeśli nie chce stracić posady. – Stazzi zapalił papierosa. – Myślę, że lepiej nie denerwować go petycjami i odwołaniami. Wolę, żeby szefem był przychylny nam facet, niż Bóg wie kto, kto zajmie po dymisji jego miejsce.

Kelly skinął głową.

–O co w tym wszystkim chodzi? – szepnął.

–Nie wiesz? – powiedział Slayton. – Nasz przyjaciel Havoc kazał pozarażać się czymś swoim ludziom, słusznie przewidując, że armia włączy się do akcji ratowniczej i tym samym zablokuje naszą pracę.

Podszedł do leżącej kobiety i patrzył na nią przez chwilę.

–Żałuję, że nie zastosowaliśmy „Żelaznej Dziewicy”. Mielibyśmy trochę więcej informacji... – Slayton nagle odwrócił się w stronę Stazziego.

–To, co zrobił Havoc, świadczy jeszcze o czymś – powiedział powoli. – Jeżeli musiał uciekać się do czegoś takiego, to znaczy, że nie ma swoich ludzi ani w dowództwie, ani nigdzie wyżej.

–To jest myśl – podjął Kelly. – Może dobrze byłoby zawiadomić szczyh na górze o wszystkim, co się tu dzieje?

–Nie, to nie ma sensu – powiedział zdecydowanie Stazzi. – Nikt nie uwierzy w takie bzdury. Zaszкодzilibyśmy tylko sami sobie.

–A może jednak...

–Nie. Nawet gdyby ktoś zainteresował się tym, zaczęłyby się przesłuchania, przewlekłe śledztwo, setki komisji... A Havoc w tym czasie mógłby już zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Slayton zwinął taśmę elektroencefalografu i wrzucił ją do kieszeni.

–W takim razie chodźmy do Wenera.

Ledwie zdążyli wyjść z pokoju, zatrzymał ich jakiś żołnierz.

–Panie majorze, ktoś przeciął kable łączące główny budynek z wartownią.

–Zaczyna się – mruknął Kelly.

Stazzi rozejrzał się po korytarzu. Jacyś ludzie rozstawiali łóżka pod ścianami, a z głębi przepelnionych chorymi sal dobiegał gwar głośnych rozmów.

–Coś jeszcze?

–Tak, nie wiem, czy to ważne. Ktoś otworzył klapę do bunkra.

–Mamy tu bunkier? – spytał Slayton.

–Tak, ale opadowy. To rodzaj kolektora, który łączy się z kanalizacją. Stazzi odwrócił się do żołnierza.

–Kłapa otwiera się od dołu? – spytał.

–Nie. Tylko od góry, czyli z naszej strony.

Stazzi nie spiesząc się zgasił papierosa i wrzucił do kosza w załomie muru.

–Proszę przy każdej sali postawić uzbrojonego wartownika – powiedział. – Na skrzyżowaniach korytarzy ma stać po dwóch ludzi kontrolujących pozostałych. Dowódcy mają zdawać mi raport co dziesięć minut... No, powiedzmy co pół godziny -dodał widząc rozszerzone zdziwieniem oczy wartownika.

–Tak jest.

–Dyrektor Werner jest u siebie?

–Nie, panie majorze, właśnie tam idzie – żołnierz ręką wskazał kierunek. Rzeczywiście dostrzegli jego korpulentną postać przeciskającą się wśród tłumu sanitariuszy podtrzymujących prowadzonych do sal pacjentów. Na ich widok przełożył trzymane papiery do drugiej ręki i uwolnioną dłonią kiwnął na powitanie.

–Wiecie już o wszystkim? – spytał.

Skinęli głowami.

–Muszę przerwać prace – powiedział zdecydowanie. – Ale nie tak łatwo mnie zastraszyć. Przydzielam was – zwrócił się do Kelly’ego i Slaytona – do grupy policyjnej. Oczywiście jeśli tego chcecie.

Uśmiechnął się – na widok aprobaty malującej się na ich twarzach.

–Jeśli będzie potrzeba, zapewnię wam pieniądze, ludzi i sprzęt. Wystarczy, że zadzwonicie.

Zatrzymał się na chwilę myśląc nad czymś.

–Życzę powodzenia – powiedział wreszcie. – Ze swej strony postaram się zapewnić pomoc w miarę moich możliwości.

*** * ***

Layne z rękoma w kieszeniach nerwowo przemierzał chodnik przed gmachem policji. Za każdym razem, gdy mijał strażnika, ten z przebiegłą miną obserwował okap przeciwległej kamienicy. Widać było, że daje z siebie wszystko. Kiedy wreszcie zielony wóz wynurzył się z za rogu, Layne dopadł wysiadającego Ashcrofta.

–Jeść będziesz później – powiedział, widząc, że wzrok tamtego wędruje w stronę baru.

Ashcroft zatrzasnął drzwiczki za wysiadającym Earlem.

–Zlituj się... od rana siedzę w fabryce wody.

–Musimy pogadać – Layne był stanowczy... Earl, widząc wahanie Ashcrofta, podrzucił monetę.

–Idę – stwierdził i przeszedł na drugą stronę.

–Mam nadzieję, że to coś ważnego... – zaczął Ashcroft idąc ku wejściu, lecz Layne chwycił go za rękaw.

–Otwórz wóz. Pogadamy w środku.

Ashcroft przyjrzał się jego kurtce zapiętej pod szyję, potem wsunął dłoń do kieszeni.

–Havoc – stwierdził, nie nadając temu nawet tonu pytania.

Layne zerknął na strażnika. Był szybki, tym razem sumiennie oglądał płyty chodnika.

–Zaraz po twoim odjeździe przyszedłem tutaj – Layne wskazał brodą za szybę.

–Nie było wciąż decyzji Dennisa w sprawie kartotek personalnych, ale za to... Obejrzał się.

–Krótco mówiąc, spotkałem na korytarzu dziwnego człowieka.

Ashcroft ciężko odwrócił głowę.

–Co to znaczy dziwnego? Jeśli bierzesz Havoca za punkt odniesienia, to ten musiał co najmniej latać.

Layne przerwał mu nagłym ruchem dłoni.

–Facet, na którego czekam, pracuje w Zakładach Farmaceutycznych, kontroluje leki – zsunął okulary spoglądając na Ashcrofta jakby nagimi oczami. – Sprawdza działanie uboczne, zgodność z normami i temu podobne.

–I co?

–Facet przyszedł do nas, bo odkrył w zakładzie karygodne nadużycie.

–Jakie? – Ashcroft trącił zwisający ze stacyjki brelok.

– Testował tabletkę nasenną, taką jakich miliardy zje się w tym kraju. Wyglądała na zwykłą mutację poprzedniej wersji.

Na powrót założył okulary.

– Ten środek to trucizna – powiedział zimno. – Mało, to perfidna trucizna.

Wywołuje zmiany genetyczne. Rozumiesz?

Ashcroft gwałtownie odwrócił głowę przestając się przyglądać widocznej w oknie baru sylwetce Earla.

– Moment... – przez chwilę szukał odpowiednich słów. – Dlaczego ten facet przyszedł z tym do ciebie?

– Wcale nie do mnie – Layne ponownie zerknął przez tylną szybę. – W fabryce odrzucono mu ekspertyzy, a nowy tester zaakceptował lek. Ale Sandez ma dowody. Przyszedł na policję, tylko że nikt nie chciał go słuchać. Łaził od pokoju do pokoju, aż trafił do mnie.

Tym razem Ashcroft obejrzał się za siebie.

– Ma tu przyjść?

– Tak, z materiałami, które udało mu się wynieść z laboratorium. Ashcroft poślinił palec i przetarł lampkę na kierownicy.

– Jeśli dobrze rozumiem, to sugerujesz, że przez swoich ludzi Havoc wprowadza lek, wywołujący zmiany genetyczne. Po to, aby mieć... – zawahał się.

– Więcej osób mu posłusznych, więcej osób o genotypie X – dokończył Layne.

– Talib nie miał pojęcia o genetyce, Havoc już je ma.

– Wierzysz w to?

Palce Layne'a zastukały na klamce.

– Myślę, że nie ma sensu zadawanie tego pytania. – Milczał przez chwilę. –

Sandez mówił, że produkcja miała być skierowana na cały kraj.

– Miała być?

Layne przekręcił się w fotelu.

– Tak, bo kilka dni temu, już po serii sygnałnej, zastopowano produkcję, tuż przed rozruchem linii. Sandez nie wie, dlaczego.

Ręka Ashcrofta nie zdążyła unieść się zbyt wysoko.

– Nie... – powstrzymał go Layne. – Oni to będą produkować, tylko że później.

Ten człowiek wyglądał na zorientowanego.

Jakby rozpędem Ashcroft złapał uchwyt nad drzwiami.

– Pewnie pytałeś go o rodzinę?

– Naturalnie. To rdzenni mieszkańcy, chyba jeszcze od czasów kolonii hiszpańskich.

Żaden nawet się nie uśmiechnął.

– Co miał przynieść?

– Kasetę ze zdublowanych testów – Layne w zamyśleniu spoglądał na tarczę zegarka. – Powinien już być, pojechał tylko do domu...

– Masz adres?

Ashcroft poczekał, aż Layne rozepnie zamek kurtki. Ujął wizytówkę w dwa palce i zdjął mikrofon.

– Kapitan Ashcroft – odezwał się.

Hałas przejeżdżającej furgonetki o naderwanym błotniku zagłuszył odpowiedź

dyżurnego.

– Wyślijcie jakiś patrol na Elizabeth Park 6, mieszka tam... – Ashcroft uniósł wizytówkę wyżej. – William Sandez. Niech sprawdzą, czy jest w domu.

Layne poczekał, aż mikrofon wróci na miejsce.

– Myślę, że jednak trzeba będzie pójść na... – zaczął sięgając w głąb kurtki.

– Nie pal, chociaż nie w wozie – przerwał mu Ashcroft. – Masz na myśli to, o czym dzisiaj w nocy mówili Kelly i Slayton?

Layne przymknął oczy.

– Wygląda zachęcająco, a Havoc nie marnuje czasu. Drgnęli obydwaj, kiedy o szybę zastukały palce Earla.

– Taaki befszytk wyszedł dzisiaj staremu!

– Jesteśmy zajęci – sucho stwierdził Ashcroft, lecz Earl bynajmniej tym się nie zraził.

Nachylił się i oparł ramiona o okno.

– Neal? – zapytał uśmiechając się przebiegle. – Co ci goście ze szpitala mają na Havoca?

Ashcroft rzucił Layne'owi szybkie spojrzenie.

– O co ci chodzi?

Nie zdejmując rąk z szyby Earl wyprostował ciało.

– W porządku – zaśmiał się szorstko... – Ale jeśli już musicie być tacy tajemniczy, to nie gadajcie o tym w barze.

Layne nachylił się, by widzieć jego twarz.

– Ci lekarze twierdzą, że opracowali metodę wykrywania ludzi, którzy są podatni na działanie Havoca. Ale...

– Ale... – powtórzył Ashcroft. – Na odprawie dowiesz się więcej niż od barmana.

– O.K., O.K... – Earl uniósł dłonie obronnym gestem. – Nie strzelać do pianisty.

Puścił oko i ruszył w stronę gmachu. Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

Ciszę przerwał dopiero brzęczyk radiostacji.

– Kapitan Ashcroft.

– Facet jest w domu, ale chyba... – dyżurny odchrząknął. – On nie żyje, kapitanie.

– Jak?

– Zatrul się obiadem. Grzyby czy coś takiego...

– Rozumiem. Dziękuję.

Ashcroft dopiero za drugim razem trafił mikrofonem we wgłębienie deski.

Layne siedział z nisko pochyloną głową. Wyglądało, że już tak zostanie, wpatrzony we własne buty.

– A mogłem z nim pójść... – wyszeptał.

– Mogłeś – Ashcroft obserwował go kątem oka. – Ale równie dobrze mogłeś zostać poczęstowany obiadem.

Layne wyprostował się zadzierając głowę ku sufitowi.

– Te taśmy...

– Nic z tego – Ashcroft uruchomił silnik. – Pojedziemy tam, ale bądź pewien, że niczego nie znajdziemy.

–Jestem pewien – wychrypiął Layne po chwili.

* * *

Za pomocą scyzoryka i plastikowej legitymacji wyciągnął gazetę z ulicznego automatu.

–Patrz – powiedział rozprostowując pierwszą stronę. – Zamieścili zdjęcie Cernana.

–A kto to jest? – spytał Slayton.

–Był na naszym roku. Cholera, ludzie się wybijają, robią forszę, a my tu zgnijemy za życia...

–Cernan... Cernan... – powtarzał Slayton. – Ach, tak, przypominam sobie. Strasznie go kiedyś zbilłem.

Kelly przysunął bliżej oczu zdjęcie z gazety.

–A tak miło wygląda... Dlaczego to zrobiłeś?

–Poderwałem jakąś dziewczynę i poszedłem z nią na przyjęcie. Ten idiota od razu zaczął się stawiać, więc dostał w zęby. Dopiero później się okazało, że dziewczyna była jego żoną.

–Smutne. Masz papierosa?

Slayton rzucił mu paczkę patrząc z obrzydzeniem na nielicznych przebiegających przed nimi w pośpiechu przechodniów. Gdzieś zza rogu wysunęła się mała furgonetka i mrużąc leniwie na niskim biegu zawróciła w ich stronę. Kierowca zatrzymał swój samochód dokładnie przed Slaytonem i nie gasząc silnika wystawił głowę przez boczne okno.

–Przepraszam, czy panowie Slayton i Kelly?

–Tak – powiedział Kelly unosząc w zdziwieniu brwi. Slayton od dobrej sekundy biegł już w przeciwnym kierunku. Po

kilkudziesięciu metrach, nie słysząc żadnych odgłosów pogoni, zatrzymał się i odwrócił. Mężczyzna z tyłu albo biegł boso, albo miał trampki podbite najlepszą i najbardziej miękką gumą na świecie. Jego uzbrojona w skórzaną pałkę ręka była już o kilka cali od głowy Slaytona, kiedy ten desperackim skokiem wykonał zwrot i ruszył w poprzek ulicy. Niestety, po drugiej stronie potknął się o krawężnik, przebiegł kilka

metrów prawie w pozycji horyzontalnej i runął uderzając ramieniem o czyjeś nogi.

–Co się panu stało? – głos w górze był pewny i spokojny, więc Slayton nieśmiało uniósł głowę.

–Ratunku! – krzyknął widząc schylonego nad sobą policjanta. – Tam z tyłu mordują!

Mężczyzna z pałką zbliżał się powoli. Slayton stanął niepewnie na nogi...

–To on. Niech go pan aresztuje! Tamten uśmiechnął się w odpowiedzi na pytający wzrok policjanta.

–Musimy ich zabrać – powiedział gardłowym głosem. – I to w miarę szybko. Slayton targnął się w tył, ale dłoń policjanta zacisnęła się na jego ramieniu.

–Gdzie się spieszysz, chłopcze?

–Przepraszam. Mam zamówioną wizytę u dentysty.

–Nie szkodzi. Jeśli chcesz, to ten pan zrobi ci zabieg. Pięść Slaytona musiała trafić w klamrę paska od munduru, bo krzywiąc się z

bólu rozcierał rękę, kiedy rzucono go obok Kelly'ego na podłogę furgonetki.

* * *

–Zaparkujcie maszyny pod ścianą i siadajcie – Ashcroft musiał znacznie podnieść głos, żeby przekrzyknąć panujący w małym pomieszczeniu gwar.

Earl, Freddie i Lionel złożyli na podłodze produkty firmy Colts Patent Firearms i otoczyli zawalone papierami biurko. Ashcroft po raz kolejny wykręcał ten sam numer.

–Prędzej doczekam się emerytury niż połączenia z tego aparatu. Hej! – klasnął w dłoń. – Tutaj jest stanowczo zbyt głośno!

Kilkanaście par oczu spojrzało na niego z niemym wyrzutem.

–No, nareszcie. Tak, to ja, szefie... Nic nie poradzę, że źle słyhać.

Jedna z sekretarek wylała kawę wprost na rozłożone teczki z dokumentami.

Ktoś z tyłu, z drugiego aparatu, wywoływał centralę. Miał mocne gardło.

–Czy lecimy do szpitala po ten wynalazek Kelly’ego i Slaytona? – spytał Freddie.

Ashcroft spojrzał na niego.

–Tak... Nie, to nie do pana, szefie.

Przeciąg otworzył nagle drzwi i druga filiżanka kawy wylądowała na plecach Earla.

–Tak, to naprawdę konieczne – krzyknął do słuchawki Ashcroft zdejmując z twarzy pomięte papiery. – Nie klóćcie się, do cholery, możesz lecieć bez koszuli... Słucham, szefie? – przelożył słuchawkę do drugiej ręki i kiwnął kilka razy w kierunku stojącego za panoramiczną szybą Layne’a, dając do zrozumienia, że widzi dawane przez niego znaki.

–Uważaj z tym flakonem, Jocelyn. Zalejesz karabiny. Głos w słuchawce odezwał się ze zdwojoną mocą:

–Tak. Ja osobiście za wszystko odpowiadam. Wyciągnął pan to wreszcie ode mnie... Jaki hałas? Naprawdę słyszy pan jakieś krzyki?

Layne przestał wymachiwać rękami. Wyjął z kieszeni monetę i zaczął stukać nią w szybę.

–Naprawdę, szefie, nie wiem, co tu się dzieje – Ashcroft dłuższą chwilę bębnił nerwowo palcami o blat stołu, potem rzucił słuchawkę Freddie’emu.

–Mów cokolwiek.

Sam wstał i roztrącając zbierające coś z ziemi policjantki przeszedł do drugiej sali.

–Co się stało, Marty? Ciągłe bawisz się z tym komputerem?

–Nie, do cholery. On się świetnie bawi sam ze sobą i wcale mnie nie potrzebuje.

Ashcroft spojrzał na mrugający różnokolorowymi światełkami ekran z naniesioną na jego powierzchnię segmentową mapą miasta.

–Co z namiarami? – spytał.

–No właśnie. Oba nadajniki zboczyły z trasy...

–Gdzie są w tej chwili?

–Krążą w kwadracie B 340. Chyba powinniśmy już wystartować.

–Po co? – Ashcroft mocnym kopnięciem zamknął przezroczyste drzwi sali łączności.

Dźwięk tłuczonego szkła nie wpłynął kojąco na jego nerwy.

–Skoro krążą, to znaczy, że chcą zgubić ewentualną pogoń. Jeśli wystartujemy teraz, szybko skończy się nam paliwo i niczego nie osiągniemy.

–Nie mogę już tu wytrzymać...

Ashcroft usiadł na poręczy fotela.

–Dobra, zastąpię cię, a ty skocz na górę i pogadaj z pilotami. Postaraj się ich

zjednać... Dodatek za ryzyko nie załatwia sprawy.

Layne skinął głową.

–Podaj mi ich nazwiska.

–Przykro mi, ale nie wiem, jak się nazywają. Wynająłem ich przez telefon i, tak jak kazałeś, pytałem tylko o miejsce urodzenia.

–Nie widziałeś ich jeszcze?!

–Nie.

–O Boże – Layne ruszył w kierunku schodów.

Przechodząc przez pustą ramę drzwi zderzył się z Dennisem.

–Co się tu dzieje? Co to za pobojuwisko?! – krzyknął tamten tracąc panowanie nad głosem.

Layne bez słowa minął go, słysząc jeszcze, jak Ashcroft proponuje szefowi kawę. On sam dałby Dennisowi raczej zastrzyki Pasteura.

Kręte schody zaprowadziły go wprost na płytę startową na dachu budynku. Layne rozejrzał się, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo. Gdzieś z dołu dobiegał tylko odgłos nerwowej krzątaniny.

–Szuka mnie pan?

Layne odwrócił się, ale przestrzeń przed pomieszczeniem kontroli lotów była również pusta. Dopiero po chwili zza lśniącej oślepiającym blaskiem szyby wyłonił się mężczyzna z lotniczym kaskiem w ręku.

–Tak, jestem Marty Layne. Tamten wyciągnął wolną dłoń.

–Greg Brodowski.

–Przepraszam, a gdzie drugi pilot? Brodowski wskazał drzwi toalety.

–Już lecimy? – spytał.

–Nie, nie – Layne nie miał pojęcia, w jaki sposób zjednać sobie pilota. –

Przyszedłem tak tylko... Czy maszyny są dobrze przygotowane do lotu?

Brodowski zerknął na dwa śmigłowce Bell 222 zaparkowane na przeciwległych narożnikach dachu.

–Czas pokaże – mruknął. Layne poczuł, że miękną mu nogi.

–Ale wybraliśmy chyba dobre maszyny do tego zadania? – spytał niepewnie.

–Można było wybrać lepsze. Osobiście wziąłbym AH-64 Apache, albo chociaż Hueycobry.

–Ale zdaje się, że to są wojskowe śmigłowce... Niezdatne do transportu.

Brodowski uśmiechnął się lekko.

–Służyłyby tylko jako eskorta. Ładunek wziąłby Boeing Vertol CH-47 Chinook. I tak cały zespół rozwijałby większą szybkość od tych dwóch gratów.

–A z cywilnych? Co wybrałby pan z cywilnych? – spytał prawie drżącym głosem Layne.

–Na przykład Aerospatiale AS 332 Super Pumę, tylko najpierw trzeba byłoby ją ściągnąć z Francji. Albo Westlanda 30 z Anglii. Ten pierwszy jest szybszy i ma większy zasięg, a ten drugi... Hm, nie wiem dlaczego, ale mam zaufanie do konstruktorów z Yeovil.

Drzwi za plecami Brodowskiego otworzyły się i Layne zobaczył drugiego pilota. Najpierw cofnął się, potem wyjął chustkę i nerwowo przetarł czoło.

–Co jest, Greg, lecimy? O, jest pan Layne...

Maureen Havoc zręcznym ruchem przerzuciła swój niesamowicie długi warkocz na plecy.

–Wygląda pan jak ktoś, kogo nieboszczyk złapał za ramię.

Layne przestąpił z nogi na nogę.

–Nie mówiłam panu, że jestem pilotem? – głęboki głos Maureen zniżył się jeszcze bardziej.

–Nie, chyba nie. Na dole rozległ się tupot wielu nóg.

–Dlaczego przyjęła pani naszą propozycję?

–Kiedy ogłosiliście w Mountain Helicopters, że szukacie doświadczonych pilotów do niezbyt bezpiecznego zadania, od razu wiedziałam, że to coś dla mnie. Chyba jestem doświadczona, co, Greg?

Brodowski tylko machnął ręką.

–On lubi kobiety tylko w spódnicach – uśmiechnęła się Maureen. – Szkoda, że nie widział pan, jak się zachowuje, kiedy jestem bez kombinezonu. W porównaniu z nim można śmiało nazwać Rudolfa Valentino gburem.

Drzwi z tyłu otworzyły się z hukiem. Biegący na czele grupy uzbrojonych mężczyzn Ashcroft skwitował widok Maureen tylko krótkim uniesieniem brwi.

–Lecimy! – krzyknął do Layne’a.

Rzucili się do maszyn. Ashcroft, Layne i jeszcze jakiś policjant zajęli miejsce w śmigłowcu prowadzonym przez Maureen Havoc. Layne nachylił się w stronę przyjaciela.

–Skąd ten nagły pośpiech? – spytał starając się przekrzyczeć ryk zapuszczanego silnika.

Ashcroft spojrział na zegarek.

–Kierują się na lotnisko. Nie przewidzieliśmy tego.

–No to co?

–Jeśli wsiądą do jakiegokolwiek samolotu, nie będziemy mieli żadnych szans, żeby ich dogonić. Musimy być tam wcześniej.

Ashcroft zdjął pokrywę z ekranu radionamiernika i włączył prąd.

–Cholera, niezbyt się znam na obsłudze tego modelu, a Earl jest w drugiej maszynie.

–Dlaczego?

–Nie wiem. Koniecznie chciał być razem z Freddie’ym i Lionelem.

Layne odruchowo chwycił poręcze fotela, kiedy silnik zagrzmiał nagle ze zdwojoną mocą. Śmigłowiec trzęsąc się i wibrując uniósł się w powietrze.

–W tamtej kabinie nie ma ekranu? – spytał.

–Nie, tylko antena i automatyczny przekaźnik grupujący dane w naszym komputerze – Ashcroft stuknął palcem w ciemną skrzynkę za siedzeniem pilota. – Poza tym przecież ustaliliśmy, że do końca zachowamy przynajmniej jaką taką tajemnicę. Myślę, że chłopcy niezbyt orientują się we wszystkim, co jest grane.

–Ja też niezbyt się orientuję – mruknął Layne. – Przynajmniej tak czuję. Ashcroft roześmiał się głośno.

–Nie martw się. Ta sama myśl prześladuje mnie od początku. Ciągłe wznosząc się minęli ostatnie wieżowce centrum. Layne odwrócił się i

spojrzał w kierunku zielonych parków poniżej. Gdzieś w dole za nimi startował jeszcze jeden śmigłowiec. Layne nie znalazł się zbyt dobrze na latającym sprzęcie, ale skądś przyszło skojarzenie, że to transportowy Sikorsky Black Hawk. Odwrócił wzrok i włożył ciemne, przeciwsłoneczne okulary. Ich własna maszyna przestała się wznosić i Bell 222 prowadzony przez Brodowskiego odskoczył kilkaset metrów w bok. Na ekranie radionamiernika pojawił się wyraźny obraz.

–Lotnisko. Miałem rację – powiedział Ashcroft, potem dotknął lekko ramienia Maureen. – Proszę zatoczyć łuk i zbliżyć się do płyty z drugiej strony. Musimy tam być przed nimi.

Śmigłowiec błyskawicznie pochylił się w lewo i lekko zbliżając się do ziemi pomknął we wskazanym kierunku. Maszyna Brodowskiego w sekundę później powtórzyła ten manewr, ciągle jednak utrzymując nie zmieniony dystans.

–Ciekawe, który z nich... – rzucił Layne obserwując rząd samochodów na szosie poniżej.

Ashcroft poprawił słuchawki.

–Musi być duży. Ciężarówka albo furgonetka, bo sygnał jest trochę stłumiony.

Layne podniósł dużą lornetkę z grubymi gumowymi ochraniaczami na oczy.

Nagły zwrot śmigłowca uniemożliwił mu jednak obserwacje. Obie maszyny ustawiły się za hangarem na skraju lotniska. Hałas i wicher wywołany przez pracujące tuż nad ziemią rotory wywabiał kilkanaście osób z pobliskiej stołówki. Ashcroft nie zwracał uwagi na ich rozpaczliwe gesty.

–Są – powiedział wyciągając rękę w kierunku zwalniającej przy jednym z baraków furgonetki. – To oni.

Ciemny samochód zaparkował tuż przy rozgrzewającym silnik średniej wielkości śmigłowcu.

–Lecimy, szefie? – spytał sierżant podnosząc karabin.

–Nie. Nie wsiadają do samolotu, więc wszystko w porządku. Ashcroft całkiem wyraźnie widział wyprowadzonych Kelly’ego i Slaytona.

–Co to za typ? – zwrócił się do Maureen.

–Bell 205 Iroquois.

–Mamy nad nim przewagę?

–Tak. To konstrukcja z lat pięćdziesiątych i może rozwinąć około dwustu kilku kilometrów na godzinę, podczas kiedy my osiągamy co najmniej dwieście pięćdziesiąt – sześćdziesiąt... Poza tym on ma tylko jeden silnik, a my dwa, łatwiej go uszkodzić.

–A zasięg?

–Nasz jest większy o jakieś trzysta sześćdziesiąt kilometrów.

Ashcroft skinął głową, i spojrzał na zegarek. Kątem oka zauważył, jak wychylony przez okno Freddie wygraża karabinem coraz większemu tłumowi przed stołówką. Odwrócił głowę i, kiedy Iroquois wznosząc się pokazał im ogon, dał znak ręką. Oba śmigłowce błyskawicznie przeskoczyły hangar i tuż nad ziemią, wykorzystując bogatą rzeźbę terenu, ruszyły w ślad za pierwszą maszyną. Layne obejrzał się do tyłu. Ukośnie zamocowana szyba zniekształcała widok, ale wydawało mu się, że manewrujący nad lotniskiem Sikorsky Black Hawk również zmienił

kierunek i podąża za nimi. Schylił się i podniósł z podłogi swoją śrutówkę sprawdzając od razu zamek.

–O Boże, co to jest? – jęknął Ashcroft.

–„Przeznaczenie”, kaliber dwanaście. Według europejskiej nomenklatury oczywiście, bo konstrukcja oparta jest na licencji zakładów FN w Herstal.

–Ale dlaczego to jest takie duże?

Layne wzruszył ramionami.

–Ma 76-milimetrową komorę przystosowaną do naboju magnum i przy jednym strzale wysyła w świat czterdzieści dwa gramy śrutu.

Ashcroft uśmiechnął się sceptycznie.

–Skąd to masz?

–Kupiłem wczoraj, bo doszedłem do wniosku, że nie strzelam zbyt dobrze –Layne zdenerwowany odłożył broń. – A ty przypominasz w tej chwili tamtego sprzedawcę. On też szczyrzył zęby i proponował działo przeciwlotnicze.

–Działo przeciwlotnicze? Pewnie myślał, że wybierasz się na polowanie na kaczki – Ashcroft pokręcił głową. – Z tą strzelbą faktycznie wyglądasz bojowo.

Światła na ekranie monitora zaczęły mrugać i oba śmigłowce wzniosły się do góry, żeby przewyciężyć wpływ coraz wyższych pagórków na aparaturę radiolokacyjną. Ziemia na dole jałowiała z każdą minutą, zamieniając zieleń w coraz bardziej monotonne odcienie szarości.

Ashcroft pochylił się nad mapą.

–Gdzie oni lecą, do cholery? Layne poprawił okulary i przetarł rękawem ekran.

–Dalej nie ma żadnych zabudowań?

–Jest tylko stara fabryka Mumforda... – Ashcroft zerknął na rzędy cyfr wyskakujących w okienkach aparatu. – I zdaje się, że właśnie tam lecimy.

–To duży budynek?

–Ogromny. I nie jeden, tylko kilka. Miały tam być zakłady przerobu trujących odpadów, ale pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy wyszła stanowa ustawa, wstrzymano wszystkie roboty.

–Nie sądzisz, że mamy za mało ludzi, żeby znaleźć cokolwiek... – ostry sygnał w słuchawkach sprawił, że Layne zawiesił głos.

–Tu Freddie z dwójki. Numer jeden, słyszysz mnie?

–Tak – warknął Ashcroft zdenerwowany tym, że ktoś przerywa ciszę radiową.

–Co się dzieje, Neal? Lecimy w kierunku zupełnie innym. To nie tam jest szpital.

–Wiem, do cholery. Jeśli do tej pory nie zorientowaliście się, że wszystkie wiadomości o wynalazku Kelly’ego i Slaytona są stekiem bzdur, to jesteście durniami.

–Więc co jest grane? – głos w słuchawkach rozległ się dopiero po dłuższej chwili.

–Gonimy ludzi, którzy porwali naszych przyjaciół.

–O rany, Neal. Skąd wiesz o porwaniu?

–Stąd, że sam je sprowokowałem, a Kelly i Slayton mają przy sobie mikronadajniki.

W helikopterze Brodowskiego musiała wybuchnąć kłótnia, bo przez dobrą minutę słyszeli tylko urywki słów. Potem odezwał się Earl:

–Po co to wszystko, Neal?

–Żeby znaleźć kryjówkę Havoca, zdobywco głównej nagrody w konkursie na inteligencję.

Wylączcie się wreszcie!

Ashcroft jeszcze raz spojrzal na mapę i na monitor. – No, zaczynamy – dotknął ręką ramienia Maureen.

–Uwaga Numer Jeden i Numer Dwa. Pełna szybkość!

Silnik warknął ze zdwojoną mocą i śmigłowiec ostro pochylił się do przodu.

Majaczący dotąd w oddali Iroquois rozrósł się nagle, a zza pasma wzgórz wyskoczyły rozległe zabudowania fabryki. Iroquois zrobił zwrot i żeby oderwać się od prześladowców gwałtownie znurkował w dół. Obie maszyny prawie stykając się wirnikami powtórzyły jego manewr.

–Tam – krzyknął Layne wyciągając rękę w kierunku czarnego baraku na dole. Wokół zaparkowanej przy nim ciężarówki uwijały się maleńkie postacie.

–Z tyłu goni nas jeszcze jeden śmigłowiec! – rozległ się okrzyk w słuchawkach.

–Widzę ludzi na dole! – tym razem rozpoznali głos Lionela.

–Gonić obcą maszynę! – krzyknął Ashcroft.

–Ale tamci nam uciekną!

–To rozkaz! – widząc, że małe figurki w pośpiechu pakują się pod plandekę, Ashcroft przysunął mikrofon bliżej ust. – Uwaga, Numer Trzy! Wasz cel – biała ciężarówka. Powtarzam...

Transportowy Sikorsky Black Hawk łagodnie spłynął w dół. Layne zauważył świetlistą serię pocisków żłobiących mur tuż przed błotnikami samochodu. Zaraz

potem pojawiły się ciemne helmy grupy szturmowej. Tymczasem Iroquois wyrównał tuż nad ziemią i pomknął w kierunku wysokich budynków.

–Co za idiota to zaprojektował? – wyrwało się Layne’owi.

–Miller – powiedział Ashcroft patrząc na skomplikowaną konstrukcję, na której zdolano zamontować tylko jedną ścianę. – Nie słyszałeś o jego koncepcji ogromnych hal produkcyjnych jedna nad drugą?

–Przecież to bez sensu.

–Cóż... W prawo! – krzyknął nagle Ashcroft widząc, jak Iroquois znika za rogiem budynku. – Numer Dwa! Okrążajcie go z drugiej strony!

Bell 222 przechylił się i nabierając wysokości ostro skręcił w prawo. Przestrzeń za budynkiem była pusta, więc Maureen znowu dodała gazu i skręciła za następny róg. Ostre hamowanie zarzuciło śmigłowcem tak, że prawie uderzył w jedyną ścianę budynku. Dziób maszyny Brodowskiego prawie musnął ich wirnik.

–Gdzie on jest, do cholery?

–Nie mógł odlecieć nigdzie indziej – krzyknął Layne. – Obserwowałem przestrzeń wokół.

–Dobra – Ashcroft prawie zgruchotał mikrofon ściskając go w dłoni. – Numer Jeden! Wznies się ponad dach i obserwuj! A my lekko w górę.

Maureen poruszyła drążkiem sterowym obserwując przesuwany się powoli w dół rząd brudnych szyb. Nagle jedna z nich rozprysła się i grad pocisków uderzył w osłonę kryjącą podwozie.

–W dół! On jest w środku!!! – ryknął Ashcroft.

Maureen kopnęła lewy pedał odpychając jednocześnie drążek. Helikopter runął w dół, wyrównał nad wypełnionym mętną wodą zbiornikiem przeciwpożarowym i znowu

nabierając wysokości skręcił za róg budynku. Na wysokości czwartego piętra Maureen zręcznym manewrem wprowadziła go do wnętrza pustej hali. Layne poczuł, jak kropelki potu na jego plecach zamieniają się w gorący strumień. Śmigłowiec, chybotając się na wtórnych prądach powietrza wzbudzanych przez wirnik, z trudem odnajdował drogę między grubymi filarami. Wzbita podmuchem chmura pyłu i piasku praktycznie uniemożliwiła dostrzeżenie czegokolwiek.

–Wysokość kondygnacji nie przekracza pięciu, sześciu metrów, a ile ma śmigłowiec? – spytał Layne.

–Trzy dwadzieścia – odezwała się Maureen. – Teoretycznie.

–Są tam! Z przodu! – krzyknął nagle sierżant odsuwając boczną szybę.

Potworny hałas wraz z kurzem wtargnął do wnętrza, powodując prawie fizyczny ból osłoniętych tylko słuchawkami uszu. Sierżant wystawił na zewnątrz lufę karabinu, ale włączone reflektory Iroquoisa znikły za jakimś załosem. Po chwili zobaczył go, jak wznosi się, sunąc tuż nad gładką, łagodną pochylnią.

–Za nim! – Ashcroft przedostał się na przedni fotel obok pilota.

Śmigłowiec zachwiał się ciężko i powoli nabierając prędkości ruszył w głąb hali.

„O Boże, a ile mamy wszereż?!” – pomyślał Layne widząc zbliżające się dwa filary.

Wykorzystując wolną przestrzeń nad pochylnią, dotarli na wyższe piętro, później Layne stracił orientację. Sierżant strzelał co jakiś czas do migających świateł, ale trudno było powiedzieć, czy nie były to odbłyski własnych reflektorów.

–Tu Numer Drugi, tu Numer Drugi – rozległ się stłumiony głos. – Coś rusza się na szóstym piętrze. Czy mam otworzyć ogień? Tu Numer Drugi, gdzie jesteście?

–Jest jakiś napis na ścianie! – krzyknął Ashcroft. – Nic nie widzę.

–Tam są kable – powiedziała Maureen. – Nie mogę się zbliżyć.

Layne chwycił swoją śrutówkę i desperackim ruchem zerwał z głowy słuchawki. W przebłysku naglej decyzji otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz, ale potworny prąd powietrza rzucił nim o ziemię. Zupełnie ogłuszony, z oczami zalepionymi przez kurz i piasek ruszył przed siebie na czworakach. Otworzył oczy dopiero kiedy uderzył głową o ścianę.

–Szóste, szóste piętro! – krzyknął odruchowo, czując że zaraz dostanie torsji.

Podniósł do góry sześć palców, ale nie widząc żadnej reakcji zmienił taktykę. Z

trudem stanął na chwiejnych nogach i sześciokrotnie machnął strzelbą w kierunku ściany. Hałas, o ile to możliwe, wzmógł się jeszcze i ciemna masa z jaskrawymi punktami reflektorów zaczęła się oddalać. Zdezorientowany Layne, dławiąc się pyłem palącym mu gardło, pobiegł przed siebie. Gdzieś z boku zamigotały drobne isierki, więc zmienił kierunek i wpadł do jakiegoś korytarza. Kaszląc i trąc piekące oczy, jednym kopnięciem wywalił zbutwiałe drzwi, poczuł, jak nowa fala pyłu uderza w jego twarz. Tuż obok przeleciał jakiś śmigłowiec, ale Layne odczuł to tylko po zmianie natężenia hałasu. Gwałtowne prądy powietrza rzucały nim na wszystkie strony, więc kucnął pod jednym z filarów i koszulą obwiązał głowę zostawiając tylko szparę na oczy. Gdzieś w oddali mignęły na chwilę jakieś reflektory i grad kul rozorał betonową ścianę naprzeciwko. Layne wstał sunąc plecami po filarze i rozpoznając w nagłym błysku światła obniżony ogon Iroquoisa strzelił trzykrotnie w jego kierunku. Dwa

reflektory zgasły, a trzeci zaczął mrugać. Layne wypalił jeszcze raz i skoczył do tyłu nie chcąc tracić ostatniego naboju. Huragan wzmógł się nagle i z boku wychynęła jakaś maszyna. Miała wszystkie światła, więc Layne zataczając się ruszył w jej kierunku. Ktoś wciągnął go do środka, zdarł koszulę z głowy i zakrył uszy słuchawkami.

–... Na siódmym na pewno nie! Albo się gdzieś ukrył, albo w ogóle zatrzymał silnik!

–Dobrze, będziemy sprawdzać – to był głos Ashcrofta.

Przez załzawione oczy Layne zauważył, że skupiona twarz Maureen coraz częściej zwraca się ku wskaźnikowi opłków w głównej przekładni.

–Jest!!! Tu Numer Drugi! Cel pojawił się na wysokości szóstego piętra od strony zachodniej.

Maureen ostrożnie dodała gazu i po chwili wyskoczyli na wolną, oślepiająco jasną przestrzeń. Poniżej, z prawej strony, maszyna Brodowskiego naciskała Iroquoisa tak, że jej pilot zmuszony był lądować na dachu baraku w pobliżu ciężarówki. Maureen siadała na ziemi, ale ze schowanym podwoziem i w przeciwieństwie do tamtych zrobiła to z wielkim trudem.

–Wszystko w porządku! Mamy ich – usłyszeli jeszcze przez radio.

Wyskoczyli na zewnątrz i ślizgając się na stosach ciepłych jeszcze karabinowych łusek podeszli do skupionej wokół ciężarówki grupy.

–My też mamy wszystkich – powiedział dowódca grupy szturmowej odejmując od ucha krótkofalówkę. – Oprócz Havoca.

Ashcroft zaklął wściekle, a Maureen położyła dłoń na ramieniu porucznika i spytała:

–Czy mój mąż znowu narozrabiał?

Głęboki kask i obszerny kombinezon ukrył jednak jej kobiecą sylwetkę, a ponieważ zawsze miała niski głos, dowódca cofnął się szybko, biorąc ją najwyraźniej za mężczyznę. Layne podszedł do ustawionych pod ścianą więźniów.

–Gdzie jest Havoc? – spytał bez przekonania.

–Pan Havoc przesyła pozdrowienia dla kapitana Ashcrofta – odezwał się jeden z nich. – I dziękuje za ostrzeżenie...

–Co? – wtrącił się Ashcroft.

–Pospieszył się pan. Tuż przed atakiem powiedzieliście wszystko swoim ludziom i stąd pan Havoc wiedział, kiedy ma odejść.

–To niemożliwe!

–Tak? To proszę spojrzeć do tyłu. Ashcroft odwrócił się dokładnie w chwili, kiedy Bell Freddie’ego, Earla i

Lionela ryknął silnikami i wzniosł się do góry. Kilka serii oddanych z jego pokładu sprawiło, że wszystkie pozostałe śmigłowce, łącznie z transportowym Black Hawkiem, zapaliły się buchając smolistym dymem. Maszyna w górze zrobiła zwrot, ale zanim zniknęła za rogiem budynku, co najmniej pięciu żołnierzy zdążyło otworzyć ogień. Layne śledząc wzrokiem cienką strużkę dymu wydobywającego się z silnika zauważył, jak od kadłuba oderwał się jakiś kształt i poszybował w dół.

–To był człowiek! – Layne zderzył się z Ashcroftem w drzwiach szoferki.

Sierżant był szybszy i pierwszy zajął miejsce za kierownicą.

Na miejscu Ashcroft zeskoczył ze stopnia i ruszył biegiem, ale zaraz zatrzymał

się na widok Brodowskiego, gramolącego się ze zbiornika przeciwpożarowego.

–Gońmy ich! – krzyczał pilot otrzepując wodę. – Mają tych dwóch waszych.

–Ciężarówką czy pieszo? – mruknął Layne. – Wszystkie śmigłowce są załatwione.

–Szybciej! – Brodowski wskoczył do szoferki. – Zanim mnie wypchnęli, zdołałem odbezpieczyć spusty awaryjnego zrzutu paliwa. Starczy byle wstrząs...

Ashcroft w biegu wskoczył z powrotem na stopień.

–Nie pociągną daleko z zatartym silnikiem – wydyszał Brodowski wyrывая Layne'owi broń. – Szybciej!

Sierżant przyciskał pedał gazu do oporu, ale z najwyższym trudem udało im się dotrzeć na szczyt wzgórza. Helikopter rzeczywiście dogorywał w powietrzu buchając coraz gęstszym dymem.

–Szybciej! Szybciej! – Brodowski wychylił się przez boczne okno prawie spychając stojącego na zewnątrz Ashcrofta na ziemię.

Silnik ciężarówka zawył dobywając resztek sił i gnając teraz w dół z boczem wysunęli się trochę naprzód. Brodowski strzelił w górę nawet niespecjalnie celując. Pilot śmigłowca musiał to jednak zauważyć, bo maszyną targnęło i ujrzeli spadające na ziemię dwie strugi paliwa.

–Mamy ich!

Silniki śmigłowca zamilkły nagle, ustępując miejsca przeciągłemu świstowi łopaty. Maszyna zatoczyła się i pod ostrym kątem pomknęła w dół. Zetknięcie z ziemią nastąpiło kilkanaście metrów przed ciężarówką, tak, że jedno z urwanych kół uderzyło w przednią szybę, zasypując całą szoferkę potłuczonym szkłem. Śmigłowiec, ryjąc w ziemi głęboką bruzdę, sunął w dół po coraz bardziej stromym zboczu.

–Zbliży się do niego! – krzyknął Ashcroft. – Szybciej! U podnóża jest linia wysokiego napięcia!

Ciężarówka podskakując na wybojach zbliżyła się do pędzącego wraka. Ashcroft wykorzystując skrawek równiejszego terenu skoczył w otwór po wyrwanych drzwiach. Wewnątrz zdemolowanej kabiny trwała zacięta walka na pięści i nogi. Ashcroft nie mogąc się połapać w płataninie ciał wymierzył na oślep kilka kopniaków, a potem, kiedy na moment mignęła mu twarz Slaytona, wypchnął go na zewnątrz.

–Kelly!! – wrzasnął.

–Jestem! – rozległ się zduszony głos.

–Skacz! – Widząc, jak jasna sylwetka wyślizguje się przez okno, Ashcroft targnął się w tył i z jękiem bólu wylądował na jakimś kamieniu.

Podniósł się jednak szybko i zdołał jeszcze zobaczyć, jak pogięta kabina ścina jeden ze słupów trakcji elektrycznej. Odwrócił głowę nie chcąc widzieć stalowych lin opadających na maszynę.

–Popatrz, jak łatwo stracić milion dolarów... – rozległ się czyjś głos. – .Co?

–Tyle kosztuje śmigłowiec. Mam nadzieję, że był ubezpieczony... Ashcroft otworzył oczy. Na górze Kelly biegł do stojącej już ciężarówka.

Slayton stał kilkanaście kroków dalej patrząc na Ashcrofta.

–Nigdy panu tego nie zapomnę! – powiedział po chwili z groźbą w głosie.

–No... rzeczywiście trochę nie wyszło z tym porwaniem...

–Nic mnie nie obchodzi żadne porwanie! – krzyknął Slayton. – Nigdy ci nie zapomnę tego,

żeś mnie przed chwilą potwornie skopał. Dzięki tobie przez tydzień nie będę mógł usiąść.

* * *

Ashcroft siedział z nogą na nodze i rytmicznie stukał czubkiem buta o blat stołu. Wiedział, że denerwuje to Dennisa, tak jak tamten wiedział, że Ashcrofta irytuje dym z papierosa. Otwierał właśnie nową paczkę.

–Zgadza się – dłonie Ashcrofta klapnęły okładkami teczek. – Tak to z grubsza wyglądało.

Dennis przechylił się przez biurko i odwracając strony postukał palcem.

–Trzeba złożyć podpis.

Ashcroft zrobił nieczytelny gryzmoł.

–Dzięki Bogu, że chociaż tym razem brukowce darowały sobie „Wampira” Ashcrofta.

Twarz Dennisa ozdobił najserdeczniejszy uśmiech, na jaki było go stać.

–Akcja, w której ginie trzech naszych pracowników i cały sprzęt, nie przysparza chwały... Postaraliśmy się o maksimum dyskrecji.

Ashcroft uchylił się przed kolejnym kłębem dymu.

–Czytałem nagłówki: „Policja ratuje lekarzy z rąk porywaczy” – zerknął w stronę zamkniętego na glucho okna. – A więc odbierasz mi sprawę?

Dennis pokręcił głową.

–Tu nie ma żadnej sprawy – położył papierosa na krawędzi popielniczki. – Zabójstwa dawno się skończyły i, jak wielokrotnie powtarzałem, były jedynie zbiegiem okoliczności. A że połączyłeś to ze sprawą Havoca...

Pochylił się gwałtownie, widząc, że Ashcroft chce coś powiedzieć.

–Ten człowiek faktycznie uciekł w niejasnych okolicznościach ze szpitala, śmierć pielęgniarki także wymaga wyjaśnień, ale żeby wciągać takie siły...? – głęboko zaciągnął się dymem. – Wiesz, ile musimy płacić za helikoptery... a jeszcze uzasadnienie.

Ashcroft przestał oglądać plamy na suficie.

–Oni mieli broń.

Głos Dennisa skoczył o oktawę wyżej:

–Nie mieszajmy w to Gwardii, zresztą... – rozpogodził twarz. – W tym prowokowanym porwaniu wiele było niejasności.

Ashcroft wrócił wzrokiem do sklepienia.

–Ceniłem twojego ojca i ciebie, niech tak zostanie. Sprawę George’a Havoca poprowadzi ktoś inny. Również wyjaśni się kwestię tych podziemi... Sluag Side – dodał. Ashcroft zerknął na niego.

–Znasz tę nazwę?

–Ludzie z Sidh? To dosłowne tłumaczenie, a Sidh w mitologii Celtów było krainą zmarłych. Sluag Side oznacza po prostu ludzi z krainy umarłych.

–Aha... w związku z tym zbieżność słowa Side z jego angielskim znaczeniem jest przypadkowa.

–Tak, ale kanalarze o tym nie wiedzą – Dennis uśmiechnął się. – Skoro więc uniknąłeś upiorów, możesz zająć się odbudową domu.

–Trudno odbudować coś, czego nie ma...

–Prawda... taka piękna willa. Ale przynajmniej dostałeś pełne odszkodowanie. Ashcroft opuścił nogę i spojrzął w zapadniętą twarz Dennisa.

–Nie dałeś Marty’emu naszych akt personalnych... Miny mogłaby teraz pozazdrościć Dennisowi każda dewotka.

–Mój drogi... one są ściśle tajne. Krzywiąc się kwaśno Ashcroft wstał z fotela.

–Rozumiem – zrobił krok do tyłu, czym uniemożliwił Dennisowi wyciągnięcie ręki. – W takim razie dla mnie wszystko jest jasne... Idę odbudowywać dom...

–Naturalnie – Dennis tkwił za biurkiem jak posąg pobłażliwości.

Mijając stojącą przy drzwiach szafę biblioteczkę, Ashcroft wyszedł na korytarz i dopiero kiedy zamknął drzwi, stanął. Zrozumiał, co dojrzał w ostatnim momencie. Odbijająca się na tle książek twarz Dennisa była wykrzywiona w cynicznym uśmiechu.

* * *

Ashcroft nie odejmując rąk od kierownicy spoglądał na sunącą w poprzek jezdni grupę dzieciaków. Machały do niego chorągiewkami, coś pokrzykując.

–Havoc potwierdził moje przypuszczenia – stwierdził Layne zsuwając gazetę na kolana. – Był w Centrum czynnik X powodujący szal u jego ludzi.

Szyba obok Ashcrofta zjechała w dół, a on sam wypluł żuty kawałek gumy.

–Był... – mruknął. – Piszą, że zawałił się cały główny budynek.

Zwinięta w kulkę gazeta wyleciała przez drugie okno, Layne’owi udało się trafić do ulicznego kosza. Ashcroft mrugnął do wychowawczynie zamykającej kolumnę dzieci i ruszył.

–Pamiętasz... co ten kanalarz mówił o odblokowanym przejściu?

Layne przytaknął.

–Dziwił się, że biegnie poza miasto... wiemy teraz, gdzie. Pod Centrum -westchnął zniżając się w fotelu. – Nie uważasz, że niebo jest za czyste?

–Bywa takie – Ashcroft wzruszył ramionami, wskazując przed siebie. – Ciekawi mnie bardziej, jak tam wejdziemy.

Już z tej odległości zauważało się okaleczenie, jakiemu uległo laboratorium. Część kopuły zapadła się, a stojący obok budynek pokrywały smugi kopcia.

–Wzmocnili patrole – szepnął Layne wodząc oczami wzdłuż płotu.

Można było dostrzec co najmniej pięć dwójek strażników obchodzących teren.

Jakiś nieuchwytny wyraz na twarzach świadczył, że wydano im dzisiaj ostrą amunicję.

–Jeśli jest ktoś od Dennisa, to nie przejdziemy nawet przez bramę – powiedział Ashcroft i nadepnął hamulec.

Strażnik z uniesioną dłonią, z której wystawała antena radiotelefonu, nachylił się do okna.

–Panowie Ashcroft i Layne...? Ashcroft spojrzął na niego zdziwiony.

–Zgadza się.

–To świetnie – twarz człowieka z radiotelefonem rozpromieniła się. –

Podjedźcie do wejścia C. Pan Burchardt czeka.

Przeszedł sprężystym krokiem do budki i otworzył bramę.

–Cholera – mruknął Ashcroft zezując na Layne’a. – Może znów im odbiło. Żwir sypnął się spod kół.

–W takim razie trzeba to wykorzystać. Na ich widok mężczyzna o płowych włosach wyszedł zza szklanych drzwi.

–Mark Burchardt – rzekł wyciągając rękę. Miał zadziwiająco mocny uścisk dłoni.

–Odsunęli pana od sprawy tych podziemi, prawda? But Ashcrofta szurnął po betonie.

–Dlaczego pan pyta?

–Nie bawmy się w podchody – powiedział Mark, potem uśmiechnął się jakby przepaszająco. – U was w policji dzieje się coś niedobrego. Wiem to od mojego przyjaciela, jest waszym prawnikiem, zna go pan?

Ashcroft skinął głową.

–Właśnie... radził skontaktować się z panem... – Burchardt zawahał się. – Wasz szef odmówił mi dzisiaj pomocy.

Palce Ashcrofta objęły framugę.

–Co tu się stało?

Mark spojrział ku niebu, gdzie nad horyzontem pojawiły się wąskie pasemka chmur.

–Tąpnięcie, błędy konstrukcji i wody gruntowe to wymysły dziennikarzy. Ktoś dostał się kanałami pod dyspozytornię, dwie kondygnacje niżej, przy tej ilości ładunku wybuchowego wystarczyło... – nerwowo zakręcił obręczką na palcu. – Poszedł system komputerowy i nasz reaktor mamy już z głowy.

Umilkł, widząc zmianę na twarzy Ashcrofta.

–Czy coś...

–To był ten sam komputer, co przy poprzednich rozruchach? Mark skinął głową.

–A więc o to im chodziło... – dobiegł szept Layne'a. – Tego się bali. Dyspozytor kaszlnął nerwowo.

–Jeszcze nie wiem, o czym mówicie, ale jeśli chodzi o samą jednostkę centralną, to ocalała.

Wytrzeszczyli oczy.

–Tak... przez dwie poprzednie awarie miała nam się zwalić komisja. Chciałem sprawdzić, czy ten nietypowy w końcu układ jest w pełni sprawny. Wczoraj wieczorem kazałem go przenieść do starego budynku.

Machnął ręką gdzieś za siebie, lecz Ashcroft chwycił go za rękaw.

–Jest sprawny?

–Nie zdążyłem go przetestować...

–Nie o to chodzi – stojąc na rozkraczonych nogach Ashcroft znowu był w swoim żywiole. – Nic mu się nie stało?

–Nic.

Ashcroft spojrział wymownie na Layne'a.

–Dałoby się go zamontować na ciężarówce? Tak, żeby mógł liczyć ten program symulacyjny... byleby go liczył podczas jazdy?

Mark wytarł dłoń o szarą bluzę.

–Chyba tak, tylko... Ashcroft uniósł dłoń.

–Mieliśmy sobie ufać. Kto tu jest szefem? Spojrzenie Marka powędrowało na pusty korytarz.

–Od dzisiaj ja. Naczelną i większość załogi poszła na urlopy. Czekamy na komisję...

–Świetnie – Ashcroft ujął go pod ramię. – Myślę, że mogę opowiedzieć panu kilka ciekawostek... Nie tylko o podziemiach i opieszalej policji.

Mark zakolysał się w miejscu.

–Dobrze – powiedział w końcu. – Chodźmy do połowy mojego pokoju. Widząc grymas Layne'a uniósł kąciki ust.

–Tylko tyle zostało...

...Chile. Świeżo powołany do wojska rekrut nudził się stojąc na warcie przed hangarem i postanowił rozerwać się trochę w kabinie stojącego obok odrzutowca. Bawiąc się przyciskami i dźwigniami w pewnej chwili uruchomił katapultę i został dosłownie wstrzelony w dach hangaru. Ciekawy żołnierz przeżył jedynie dzięki stalowemu helmowi na głowie...

Layne walcząc z ogarniającą go sennością pił wolno lurowatą kawę. Przepelniona popielniczka z trudem utrzymywała równowagę na krawędzi zdezelowanego radia.

...Kanada. Montreal. Kilkudziesięcioosobowy gang zamontował na ciężarówce działo przeciwlotnicze i ostrzelał z niego pancerny samochód przewożący wypłaty dla pracowników największego koncernu stalowego w tym mieście. Niestety, jeden z przeciwpancernych pocisków okazał się zbyt celny. Stalowa kasetka została rozerwana, a pieniądze splonęły...

Głośnik rzeźił coraz bardziej, a zakłócenia chwilami uniemożliwiały zrozumienie spikera.

...Wiadomości lokalne. Od kilku dni mieszkańcy peryferyjnych dzielnic skarżą się na uporczywy nieprzyjemny zapach wydobywający się ze studzienek miejskiej kanalizacji. W okolicach Share Lane jest on tak silny, że służby komunalne rozpatrują nawet możliwość czasowego zaczopowania wszystkich wylotów. Zatrważa w tym wszystkim całkowita, jak się wydaje, bezradność pracowników zakładów oczyszczania...

Huk i wstrząs spowodowany otwarciem drzwi przez Ashcrofta sprawił, że stare radio rozregulowało się zupełnie.

–Znowu nie mogłeś zasnąć?

Layne ociężale spojrział w jego kierunku.

–Chyba niezbyt odpowiada mi klimat tego miasta.

–Koszmary?

–Jak zwykle.

Ashcroft rzucił na stół przeciwsłoneczne okulary.

–Szlag mnie trafia, że przez Dennisa nie możemy już wynająć tamtej grupy szturmowej. Cholera, oni byli dobrzy...

Layne wzruszył ramionami.

–Będziemy mieli własny oddział.

–Oddział? Zbieraninę! I tak dobrze, że Werner przysłał trochę swoich żołnierzy do eskorty, bo...

–Albo do oblężenia – wtrącił Layne.

–Co?

Layne zapalił kolejnego papierosa.

–Żeby skontaktować się z odpowiednimi władzami, musimy po pierwsze wydostać się z miasta, a po drugie dysponować przekonującymi dowodami.

Regularne kółka siwego dymu unosiły się ku sufitowi.

–Jedynym naszym dowodem jest ten komputer, a żeby go zdemontować i ustawić na ciężarówce, trzeba sporo czasu...

–Domyślam się, że żadna z rzeczy, które zamierzamy zrobić, nie jest na rękę Havocowi, ale skąd miałby się dowiedzieć, czego chcemy?

Layne uśmiechnął się wypuszczając kolejną serię kólek.

–Bezpieczniej będzie założyć, że Havoc wie wszystko.

Ashcroft skinął na Layne'a i przeszedł do drugiego pomieszczenia.

–Rozmawiałem już z ludźmi na dole. Prawie wszyscy zgłosili się na ochotnika, ale sprawdzenie ich lojalności zajmie nam cały dzień.

–Od kogo zaczynamy?

Ashcroft kiwnął głową Markowi testującemu komputer w małym pomieszczeniu odgraniczonym od sali zebrań panoramiczną szybą.

–Od najpewniejszych. Stazzi, Kelly i Slayton.

–Ich też? – Layne podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z hallem.

–Sam mówileś przed chwilą, że musimy być absolutnie zabezpieczeni... I nie sil się na tak gryząco ironiczną minę.

Kiedy Stazzi, Kelly i Slayton zdyszani wędrówką po schodach zjawili się w sali zebrań, Mark zza szyby dał znak, że wszystko przygotowane.

–Możemy zaczynać? – spytał Layne.

Stazzi skinął głową, ale rozglądający się podejrzliwie wokół Kelly powstrzymał Marka ruchem ręki.

–Zaraz, czy to coś w rodzaju wykrywacza kłamstw? – spytał.

–Nie, to coś jak średniowieczna sala tortur.

–A poważnie? – Kelly otarł pot z czoła.

–Po prostu włączymy komputer na kilka minut i zobaczymy, czy ktoś z was nie jest podatny na wpływ Havoca.

–Na pewno tylko tyle?

–Już mówilem, że poza tym przypieczemy was trochę prętami z reaktora.

–To nie jest śmieszne – mruknął Kelly. – Zaczynajmy. Mark włączył prąd. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, potem zupełnie nagle Slayton targnął się w tył uderzając głową w ramię Layne'a.

–Co... – zaczął Ashcroft, ale urwał w pół słowa, widząc jak Slayton rzuca się na podłogę i drżąc cały czas przewraca się na plecy.

–O Boże, Slayton! – Kelly nachylił się nad leżącym usiłując złapać go za rękę.

–Brać go! – krzyknął Ashcroft. – Zamkniemy go w piwnicy.

Slayton, który właśnie chodził na rękach, spojrzał na Ashcrofta zupełnie przytomnie i szybko wrócił do normalnej pozycji.

–Zaraz, do jakiej piwnicy? O co wam chodzi? Layne ostrożnie zbliżył się do niego.

–Nie czujesz nic dziwnego? – spytał.

–Niby co mam czuć? W porządku, udawałem trochę, bo Kelly mówił, że jeśli zwariuję w tym pokoju, to zwolnią mnie z wojska... Ale żeby zaraz do piwnicy...

Ashcroft i Layne spojrzeli po sobie zaskoczeni. Mark był wręcz przyklepiony do szyby dzielącej oba pomieszczenia, jedynie Stazzi zachował znudzoną minę.

–To wszystko? – spytał po chwili.

–Tak – odparł Ashcroft wciąż kręcąc głową. – Na razie jesteście wolni, chociaż... Stazzi przysiadł na oparciu fotela.

–Wiem, o co ci chodzi. Potrzebujecie broni dla tych ochotników z dołu, tak? Ashcroft potwierdził.

–Nie wiem, czy uda mi się wycisnąć coś więcej z Wenera. Dobrze, że chociaż żołnierze mają swoją broń...

–Ale bardzo mało amunicji – wtrącił Kelly. – Poza tym to tylko broń lekka. Slayton wyjął papierosa i odpalił od Layne'a.

–Na pewno coś znajdziemy – powiedział spoglądając na zegarek. – Albo przywieziemy coś wieczorem albo przynajmniej mamy znać, jak nam idzie.

–Szkoda, że nie jesteśmy w Vang A.F. Widziałem tam zaparkowanego thunderbolta.

–Co to jest? – spytał Layne.

–Taki samolot – wyjaśnił Kelly. – Ma pancierz z tytanu i sześciolufowe działko. Między innymi oczywiście.

–Chodźmy! – przerwał mu Stazzi otwierając drzwi.

Wieczorem Ashcroft miał już zupełnie dość. Wylamując zatarty zamek otworzył wąskie okno i regularnie, z dokładnością maszyny, wlewał w siebie kolejne szklaneczki whisky. Layne, który kawą zmywał z gardła papierosową smołę, był w trochę lepszym nastroju.

–Wyjdziemy? – mruknął cicho – dostanę klaustrofobii w tych małych klitkach.

Ashcroft podniósł się ociężale.

–Mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego tak duży procent ludzi podatnych na wpływ Havoca jest w policji, a tak znikomy w wojsku? – głos Ashcrofta był zdarty i ochryply.

–To bardzo proste – powiedział Layne. – Przytłaczająca większość pracowników policji jest stałymi mieszkańcami miasta, i stąd wśród tej grupy musi być identyczny rozkład procentowy „złych” jak w mieście, czyli około trzech czwartych. Co innego wojsko. Żołnierz nie wybierze miejsca swojego pobytu, wszędzie kieruje się go rozkazem z góry, i dlatego większość pracowników wojskowego szpitala to ludzie „normalni”, ponieważ przybyli do tego miasta nie na zasadzie podświadomego przymusu, ale zupełnie przypadkowo.

Powietrze na zewnątrz nie było dużo chłodniejsze, ale lekki wiatr sprawiał przynajmniej wrażenie świeżości.

–Niby masz rację – odezwał się Ashcroft. – A jednak to przykre.

–Przykre jest to, że ciągle mamy za mało ludzi, żeby w razie czego dobrze bronić tego budynku.

Z daleka dobiegł ich ryk potężnego silnika.

–I tak na początku chciałem obstawić całe Centrum...

Na widok olbrzymiego ciągnika z naczepą, wtaczającego się przez główną bramę, Ashcroft sięgnął po pistolet. Schował go jednak na widok wyskakującego z szoferki Kelly'ego.

–No, panowie. Gasić papierosy i nie zgrzytać zębami. Jedna iskra i cały ten interes wędruje do nieba.

–Co tam macie?

–Wszystko, co strzela, truje i wybucha.

Stazzi z kilkoma żołnierzami otworzyli tylne drzwi.

–Hej, to wszystko dał wara Werner?

–Jaki Werner? – jęknął Stazzi, podnosząc do góry obandażowaną dłoń. – Kelly ze strachu tak drżał, że zamiast piłować kratę chciał mi obciąć rękę.

–To twoja wina! – krzyknął Kelly. – Źle trzymałeś rurę!

–Jaką rurę? Co było z tą kratą?

–Pamięta pan, co zrobił Havoc? – wtrącił się Slayton. – Nie mogliśmy powtórzyć jego numeru, bo Gwardia zwiększyła warty na zewnątrz. Trzeba było wejść do środka przez kanały, a tam była ta kratka...

–Jak to? Nie zawalili starego tunelu?

–A skąd! Chłopcy z Gwardii są przekonani, że ewentualny rabunek odbędzie się tak, jak poprzednio. Nie mogą zapomnieć, jak Havoc wykiwał ich z tym tunelem.

Ashcroft z podziwem popatrzył na przenoszone do wnętrza budynku skrzynie.

–Co jest w środku?

–Dokładnie nie wiemy – Stazzi wyjął z kieszeni pomiętą kartkę. – Braliśmy w pośpiechu wszystko jak leci i moje dane są raczej orientacyjne...

–Gwardia stukala od zewnątrz w drzwi i trzeba było się trochę pospieszyć -dodał Slayton.

–Jak to stukala?

–No, powiedzmy waliła. Później nawet strzelala, ale wrota tej chłodni były bardzo grube.

Ashcroft zwilżył wargi końcem języka.

–Co w końcu macie? – spytał po chwili.

–Kilkadziesiąt M-16, kilka czy kilkanaście uniwersalnych M-60 kaliber 7,62 mm ze składaną podstawą dwunożną. Niestety były tylko dwie podstawy trójnożne do przekształcenia w cekaem.

–A co z amunicją?

–Jest w wystarczającej ilości – Stazzi rozprostował swoją kartkę. – Mamy jeszcze kilka granatników przeciwpancernych M-20 kalibru 88,9 mm. Donośność granatu wynosi 450 metrów i sądzę, że z tej odległości powstrzyma każdy nieopancerzony samochód. Oczywiście strzelając z przewyżką, można...

–A to? – spytał Layne wyciągając rękę w kierunku stalowych pojemników.

–Miny, granaty, środki dymotwórcze, palne, maski przeciwgazowe, drut kolczasty...

–Brakuje tylko artylerii – powiedział Ashcroft.

Kelly i Slayton spuścili głowy, a Stazzi na powrót zmiął kartkę i wsadził ją do kieszeni.

–Obawiam się, że nie brakuje – warknął. – Ci idioci wzięli stusześciomilimetrowe działo M-40, ale było za ciężkie i brakuje paru części.

–Spróbuj nieść w kanale ponad dwustukilowy ciężar i niczego nie upuścić. – Kelly pokazał obdartą skórę na swoich dłoniach. – Poza tym było ślisko i co chwilę przewracał się któryś z żołnierzy.

–Czego brakuje? – zainteresował się Layne.

–Podstawy, celownika, wyciorów i cholera wie czego jeszcze.

–Podstawy w ogóle nie było – powiedział Slayton. – Łoże montuje się bezpośrednio na samochodzie terenowym.

–W takim razie jak z niego strzelać? Mam trzymać lufę w rękach? – przestraszył się

Ashcroft.

–Drobiazg, to działo bezodrzutowe.

Kelly i Slayton ze skwaszonymi minami zabrali się do przenoszenia skrzyń. Stazzi, jakby dla usprawiedliwienia eksponując bandaż, podszedł do Ashcrofta.

–Coś niedobrego dzieje się w podziemiach – powiedział cicho.

–Przeszkadzali wam kanalarze?

–Nie. Co prawda oni też tam byli, ale raczej wiali na nasz widok.

–Więc co się stało?

–Nie wiem dokładnie. Tu na powierzchni jest taki spokój... – Stazzi przesunął ręką po nieogolonych policzkach. – Tam stale ktoś się kręci, widać jakieś ślady... Nie wiem, jak to powiedzieć... W każdym razie wśród pracowników miejskich służb komunalnych szerzy się panika.

–Myślisz, że możemy spodziewać się zagrożenia właśnie stamtąd?

–Kto wie? – Stazzi spojrzał na małe okienka piwnic ciemniejące tuż nad powierzchnią gruntu.

Potem potrząsnął głową i poszedł za róg budynku zapalić papierosa.

*** * ***

Skrawek rozdętego słońca tkwił tam, gdzie zieleń wsączała się w rudą płaszczyznę pustyni. Layne dmuchnął dymem i wypstryknął peta. Moment później przechylił się gwałtownie przez parapet. Zgodnie z przewidywaniami niedopalek lecąc po paraboli wpadł za kołnierz mężczyzny przy naczepie. Layne błyskawicznie cofnął się i usłyszał zduszony jęk. Za nim stał Slayton i z wyrzutem w oczach trzymał się za nos.

–Kocham policję – wyjęczał. – Kopia, wałą z byka...

Sądząc z okrzyków, człowiek montujący amortyzatory dla komputera miał podobne rozterki. Layne obiecał sobie, że na drugi raz staranniej zdusi żar. Powstrzymał Slaytona od wystawienia głowy.

–Co tam w dole?

Lekarz obciągnął koszmary kitel, w którym paradował już dłuższy czas. Chyba nikt nie powiedział mu o gryzmołe na plecach. Layne wparł kark we framugę.

–Sądzisz, że Havoc zdąży? Ciężarówka na rano będzie gotowa.

Slayton bez słowa pociągnął palcem po linii odległego ogrodzenia.

–Pusto... kto chce, może wleźć – odwrócił opaloną twarz. – Sam wiesz, na pięćdziesięciu strażników ponad trzydziestu podlegało Havocowi, a tylko dziesięciu odważyło się zostać.

Warstwa szarych chmur przyciągała wzrok Layne'a, wreszcie opuścił go na uchyloną bramę wjazdową.

–Tamci odeszli... z personelu też, tylko... – otarł policzek o chropawe drewno. – Podobno w parku Bradbeera nikogo nie ma cały dzień.

–Tak – Slayton podniósł lornetkę. – To gorsze niż ten tłum przy szpitalu. Ich przynajmniej było widać.

Layne ostrożnie zamknął okno.

–Licząc ochotników, jest nas ponad pięćdziesięciu... powinniśmy wytrzymać. Stał przy dużym stole służącym do rozpinania planów i zapalił lampę.

Jaskrawe światło bijące od powierzchni kalki uświadamiało, że zapadła noc.

–Swoją drogą – Layne przyjrzał się własnym dłoniom. – Ciekawe, jak udało się im dotrzeć do telefonów i teleksu?

Slayton prychnął krótko.

–Słyszałem, co mówił Stazzi... Przy tym systemie połączeń wystarczyła jedna kostka trotylu w centralce. – Wskazał za czarną szybę. – Jest gdzieś w parku. Okręcił się wirując połamami.

–Neal prosił, żebym zajrzał do tego faceta z radiostacją.

Ruszył do drzwi. Layne nie miał już teraz wątpliwości, co przedstawia gryzmoł na plecach Slaytona.

–Jeszcze się naradzają...? – spytał nachylając głowę.

–Cały czas – Slayton pchnął drzwi. – Mark boi się, że i to pudło wywałą mu w powietrze.

Mijając postacie w mundurach Layne przeszedł pod ścianę. Z mieszaniną niechęci i pożądania zerknął na lufy automatów.

–Nie dziwię mu się – wrócił spojrzeniem do pleców Slaytona. – Ktoś włóczył się dziś w nocy w piwnicy... widziałem ślady.

Po paru stopniach wdrapali się na najwyższy poziom budynku. W powietrzu czuć było jeszcze ciepło ostatnich upałów.

–Wcale nie jestem pewien, czy dobrze robimy – Slayton błysnął oczami. – Myślę o niezawiadomieniu władz.

Zza drzwi dobiegało głuche charczenie.

–Bez stuprocentowych dowodów Havoca uniewinni każdy sąd.

–Wiem, wiem... – Slayton załomotał w blachę. Ryk można było uznać za zaproszenie.

Weszli. W pokoju pracowała tragicznie

rozklekotana lodówka, tak przynajmniej pomyśleli w pierwszej chwili. Lodówką okazała się jednak drukowana płytka, garść elementów, kilka kabli z podłączonym głośnikiem. Człowiek na krześle pociągnął piwo z białej puszkii i odwrócił głowę.

–Nic z tego, panowie – pokręcił małą galką. – Nie można się porozumieć nawet ze szpitalem.

Na jasnym kitlu wyszyte było jego nazwisko.

–Słuchaj, Kennedy – Slayton potknął się i odrzucił puszkę pod ścianę. – Mówiłeś, że zrobisz nadajnik.

–Moment... – palce człowieka objęły galkę. – Ten złom do niczego się nie nadaje... zresztą posłuchajcie.

Głośnik wybuchnął mieszaniną słów i trzasków, jakby gdzieś darto olbrzymie płótno.

–... usunąć ludzi z dzielnic portowych... kwadratami... przyślijcie więcej pomp. Kennedy na powrót wyciszył hałasy, zahuśtały luźne kable.

–Czerwone pogotowie w eterze – wyjaśnił. – Może potrwać nawet dobę.

–Dlaczego?

–Huragan Floris wylazł z Zatoki – Kennedy rozłożył poplamione kwasem dłonie. – Co najmniej cztery stany są na nogach, musielibyśmy znać hasła.

–Koniecznie...?

Kennedy odsunął otwartą konserwę i kładąc łokieć na blacie z przekonaniem pokiwał głową. Slayton westchnął głęboko.

–Druga trzydzieści trzy? To niemożliwe – Layne potrząsnął zegarkiem. – Chyba kończy mi się bateria.

Wystrzelona raca rozjaśniła na chwilę mrok za oknem.

–Schodzimy? – spytał Ashcroft. Layne odrzucił koc i sięgnął po koszulę.

–Byliśmy tam przed chwilą.

–Przed dwiema godzinami. Naciągnął spodnie i sięgnął po swoją strzelbę.

–Myślisz, że jesteśmy otoczeni? – spytał wskazując ciemność za szybą.

–Cieszyłbym się z tego. Ale Havoc nie jest aż tak głupi.

–Cieszyłbyś się? Dlaczego? Ashcroft otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową.

–Dużo łatwiej byłoby obronić atak powierzchniowy. Wojny podziemnej możemy nie wytrzymać.

Schodząc w dół, mijali grupki żołnierzy. Gdzieś z boku, na poustawianych wśród skołtunionych śpiworów skrzynkach z amunicją, ktoś parzył herbatę.

–Dlaczego wszyscy są tacy zadowoleni?

–Nie słyszałeś? – ziewnął Layne. – Mark twierdzi, że komputer zabezpieczono na jakąś monstrualną sumę i jeśli go uratujemy, czeka wszystkich spora gratyfikacja.

–Mam nadzieję, że to prawda. Nie chciałbym być zlinczowany.

Layne zastukał obcasem w podłogę. Ciężka metalowa klapa ukryta pod miękką wykładziną uniosła się o kilka centymetrów.

–B jak Jakub – powiedział Ashcroft.

Klapa otworzyła się całkiem i razem z Layne'em zeszli w dół po stalowej drabince.

–O rany, tu są częstsze kontrole niż w wojsku – usłyszeli głos Kelly'ego.

–Weź tę latarkę z moich oczu! – Slayton nachylił się nad mroczną czeluścią studzienki. – Schodzicie?

–Nie – Layne ogarnięty nagłą falą chłodu podniósł kołnierz. – Co z wysuniętymi stanowiskami?

–W porządku. Chociaż Kelly twierdzi, że w głębi ciągle coś się rusza.

–Tam naprawdę ktoś chodzi – szepnął Kelly.

–Tak, szczury.

Wąskim korytarzem przeszli do barykady z worków wypełnionych wilgotnym piaskiem. Kilku żołnierzy obsługujących M-60 gazetami i płachtami z plastiku usiłowało osłonić taśmę amunicyjną przed spadającymi z sufitu kroplami wody. Ashcroft zapalił swoją latarkę, ale słaby strumień światła rozpraszał się w białawym oparze sunącym leniwie nad mulistą powierzchnią kanału.

–Gdzie się coś rusza?

–Właśnie tam – Kelly skierował latarkę w tym samym kierunku.

–Bzdury – powiedział Slayton.

Kelly otworzył jakąś skrzynkę, z której wyjął naładowaną raketnicę.

–Przekonamy się?

–Chcesz strzelać do duchów?

–To raca magnezjowa. Będziemy wszystko widzieć.

–Schowaj to z powrotem – odezwał się któryś z żołnierzy. – Cholera wie, co to za gaz wydobywa się z tych brudów.

–Boisz się eksplozji? A może pożaru?

–Przestańcie... – zaczął Ashcroft, ale Kelly wyciągnął właśnie obciążoną raketnicą rękę w kierunku białawej mgły.

–Stój! – Slayton chwycił go za ramię.

–Puść, chcę tylko...

Gdzieś w oddali rozległ się suchy trzask i zobaczyli szybującą w ich kierunku czerwoną plamkę.

–Co jest... – Layne zrobił krok do przodu, ale oślepiające magnezjowe światło, które rozbłysło tuż przed barykadą, sprawiło, że uskoczył za filar.

–Padnij! – Kelly wystrzelił swoją raketę i zwinął się w kłębek pod ścianą. Nagły huk wystrzałów targnął powietrzem prawie zagłuszając cichy szum dochodzący od strony korytarza.

–Woda! Woda! Chcą nas zalać!

Jeden z żołnierzy zerwał gazety zabezpieczające zamek M-60. Jednostajny łomot pracującego z regularnością kombajnu cekaemu zmieszał się z warczeniem rykoszetów. Layne wychylił się zza filara obserwując przez chwilę padające sylwetki.

–Do tyłu! – krzyknął. – Musimy się wycofać.

Napływająca skądś woda sięgała mu już po kolana. Przez moment mignął Slayton mocujący się ze swoim M-16. Ktoś rzucił granat, ale wszystko zagłuszyła potworna eksplozja za ich plecami.

–Stać! Stać! – brodzący po pas w wodzie Ashcroft osłaniał głowę przed spadającymi z góry cegłami. – Tyły są odcięte.

Kelly dusząc się w gęstym dymie wystrzelił w tamtym kierunku kolejną raketę.

–Tędy! – krzyknął Slayton usiłując powstrzymać atak kaszlu.

Oślizgła metalowa drabina uginała się pod ciężarem żołnierzy. Idący z tyłu Ashcroft zgniótł detonator ładunku wybuchowego i rzucił go za siebie.

Piwnice budynku również wypełniał gryzący dym, a odgłosy bliskiej strzelaniny zmuszały do porozumiewania się krzykiem.

–Czy są wszyscy? – Ashcroft na chwilę zapalił latarkę.

–Tak. – Slayton walcząc z mokrym ubraniem krępującym mu ruchy wskazał na rząd metalowych klamer.

–Musimy iść jeszcze wyżej. Ludzie Havoca przekopali kanał między naszymi liniami i ten poziom również jest zagrożony!

Layne spojrział niepewnie na migające w oddali ogniki, ale świst serii, która przeszła tuż nad nimi, sprawił, że pierwszy rzucił się na górę. Wyższe piętro było lepiej oświetlone palącymi się gdzieśgdzie żarówkami. Żółty ciężki dym docierał jednak i tutaj. Większość zaczajonych przy schodach żołnierzy miała na twarzach maski przeciwgazowe.

–Zostajemy tu? – krzyknął ktoś z tyłu.

–Tak. Trzeba zorganizować obronę. Kelly skoczył w kierunku schodów, ale nagle wiedziony jakimś impulsem

odwrócił się w ich stronę.

–Uwaga! Drzwi! – krzyknął.

Popchnięty przez resztę Layne upadł na podłogę, ale mimo piekących łez nie zamknął oczu. Błyskawicznie wycelował do biegnącego na czele rudzielca i pociągnął spust. Z tej odległości wydawało się, że człowiek z przodu dostał naglej wysypki. Jakaś siła rzuciła go w tył, ale nie mogło to powstrzymać impetu biegnących.

–Cofać się! Cofać się! – ryczał Ashcroft.

Nie chcąc dopuścić do walki wręcz, razem ze Slaytonem podpalili skrzynkę granatów i rzucili ją na środek sali.

Stłoczeni na schodach żołnierze z trudem posuwali się naprzód. Ostrzeliwująca się bezładnie tylna linia napierała tak silnie, że wpadli na wyższe piętro w zupełnej rozsypce.

–Nie stać nad schodami! – krzyknął Ashcroft. – Tam zaraz zaczną wybuchać granaty.

Kilku ludzi gorączkowo ustawiało barykadę z połamanymi szafami, biurkami i krzesłami.

–Marty! Weź paru żołnierzy do tej sali i zablokujcie klatkę przeciwpożarową!

Kelly, powiedz Stazziemu, niech trzyma ten korytarz i zatka wszystkie pionki wentylacyjne. Reszta za mną, na górę!

Ogień z dołu nasilił się, ale schyleni, skacząc po kilka stopni, zdołali dotrzeć na wyższe piętro bez strat. Ashcroft podbiegł do Marka, który z kilkoma współpracownikami za pomocą skomplikowanego systemu lin i drutów usiłował opuścić w dół lufę działka.

–Wystarczy! – krzyknął chwytając raketę i szarpiąc suwadło zamka. – Puśćcie to!

Mark chwycił go za rękę.

–Zostaw! Przy takim ustawieniu rozwalimy konstrukcję budynku!

–Nie możemy wycofać się wyżej! Jeśli oddamy to piętro, będą mogli wysadzić reaktor!

Ashcroft wsunął raketę do środka i zaryglował zamek. Gdzieś z dołu dobiegł go charakterystyczny odgłos odpalania pocisków z granatników.

–Mark! – krzyknął nagle Slayton. – Włącz komputer!

–Co? Slayton chwycił naukowca za kołnierz i zaczął ciągnąć w kierunku sali zebrania.

–Włącz komputer, do cholery! Rozumiesz? Ashcroft ostrożnie wychylił się nad poręczą, ale ciemny dym uniemożliwiał dostrzeżenie czegokolwiek.

–Co tam się dzieje, do jasnej cholery? – głos Ashcrofta zabrzmiał nienaturalnie głośno w naglej ciszy.

Po chwili z dołu dobiegł ich pojedynczy wystrzał, jakieś krzyki i brzęk tłuczonych szyb. Potem ktoś wszedł na schody.

–Nie strzelać! – Ashcroft rozpoznał głos Stazziego. – Opanowaliśmy sytuację. Ktoś z tyłu pomachał w kierunku przeszklonego pomieszczenia komputera.

–Skąd ten dym? – spytał Ashcroft.

–Płonie szósta i siódma sala. Zejdźcie tu z gaśnicami!

–Szósta sala? Tam jest Layne!

–Wiem. Moi ludzie już rozkuwają ścianę. Przynieście gaśnice! Oszolomieni naglej spokojem spoglądali niepewnie po sobie.

–No, jazda! Ruszcie się! – krzyknął Ashcroft. – Może uda się uruchomić

hydranty... Poszukajcie też Kelly'ego – dodał po chwili. – Obawiam się, że będzie zajęcie dla chirurga.

Ashcroft przepuścił dwóch żołnierzy niosących skrzynkę granatów i wyszedł za nimi na podjazd. Wiejący znad oceanu wiatr niósł słony smak soli, znak, że huragan przetacza się gdzieś niedaleko.

–Neal – usłyszał ciche wołanie Marka. – Gotowe.

Ashcroft spojrział na zaciągnięte niebo, gdzie z trudem można było wypatrzeć świt. Reflektory bezustannie myszkowały wzdłuż ogrodzenia.

–Świetnie – opuścił głowę. – Jesteś pewien, że komputer będzie pracował w takich warunkach?

–Już pracuje – Mark roztarł przeguby dłoni. – Nie sądzisz, że wszystkie drogi przez pustynię będą obstawione?

–Nie wiem, ale w mieście nie mamy szans.

Zaskwierczał aparat spawalniczy, montowano osłony na kolejnym wozie. Przez grube mury dobiegł jakby dźwięk telefonu.

–Podobno za dnia huragan ma się uspokoić – mruknął Mark próbując rozczesać czuprynę. – Ale i tak nasz nadajnik jest do niczego.

Nad nimi okno z traskiem uderzyło o ścianę.

–Gdzie jest kapitan Ashcroft?

Ashcroft zadarł głowę napotykać bladą owal twarzy Slaytona.

–Neal – twarz pochyliła się. – Dzwoni...

–Kto?

–Chce z tobą rozmawiać Havoc.

Biegając wzdłuż muru miał irracjonalne wrażenie, że wszyscy na podwórzu wpatrują się w niego.

–Gdzie? – spytał wpadając do pokoju.

Slayton stał sztywno wyprostowany ze słuchawką w ręce.

–Ashcroft.

–Havoc – odparł spokojny głos po drugiej stronie. – Gratuluję.

–Czego chcesz?

–Kompromisu. Niepotrzebnie zajmowałem się tyle wami... Przez moment tylko delikatne szmery chrobotwały w słuchawce.

–Macie komputer na ciężarówce – mówił dalej. – Szanse wyrównały się, prawda?

–Prawda – Ashcroft patrzył na podsłuchującego Slaytona. – Co proponujesz?

–Procesor jest unikalny, wiem o tym. Program mnie nie interesuje. Ashcroft zakolysał głową.

–Co w zamian?

–Dużo. Nasz nowy burmistrz zmarł nagle – Havoc milczał przez chwilę. –

Malle obejmuje stanowisko z urzędu, naturalnie jeśli...

W ciszy szeptały jakby odgłosy dalekich obcych rozmów.

–Rozumiem – Ashcroft opadł na krzesło. – Wymienisz go. Co dalej?

–Dalej? – głos Havoca zawibrował nieprzyjemnie. – Malle dostarczy wam przyznanie się do winy Dennisa i pozostałych glin. Zdjęcia, nagrania, wszystko, czym będziecie mogli mnie

obciążyć.

–Ty naturalnie znikniesz...

–Oczywiście, może usłyszysz kiedyś o mnie. Slayton pokazywał coś na migi, lecz Ashcroft kazał mu się uspokoić.

–I odradzam jazdę przez pustynię. Wystarczy, że popelnicie mały błąd...

–Dobrze – głos Ashcrofta był suchy. – Jak?

–To będzie proste, z całkowitą gwarancją dla obydwu stron. Na konto tego huraganu mamy w mieście parę zmian, o których pewnie nie wiecie.

Ashcroft czekał.

–Za godzinę na plaży „Sunset Beach” wojsko rozpocznie wyładunek sprzętu dla ofiar kataklizmu. Port jest już zbyt przeladowany. Proponuję spotkanie o dziesiątej rano koło starej latarni. Wiesz, gdzie to jest?

–Wiem – Ashcroft nachylił się chowając głowę w cieniu. – Chcesz powiedzieć, że wojsko będzie w zasięgu strzałów, gdyby...

–Gdyby ktoś z nas oszukiwał – Havoc westchnął chrapliwie. – Proponuję, żebyście wysłali Layne’a, no i oczywiście kilka osób obstawy dla lepszego samopoczucia.

–Layne’a?

–Kapitanie – uciał Havoc. – Chcę tego statystyka, a nie jakiegoś komandosa czy pana.

–On jest ciężko poparzony, może któryś z lekarzy...

Slayton wytrzeszczył oczy, lecz nie zdążył zaprotestować.

–O, co to, to nie – ten śmiech był bardziej ludzki. – Od czasu pobytu w szpitalu nie mam do nich zaufania... Ma być Layne.

Ashcroft potarł podbródek.

–Spryciarzu... ale jeśli Layne’owi coś się stanie...

–Spokojnie – Havoc starannie dobierał słowa. – Obydwu nam zależy, aby zakończyć ten impas.

–Nie wierzę ci.

–I słusznie – ten niematerialny śmiech był irytujący. – Dlatego dwadzieścia metrów od bramy Centrum moi ludzie ustawili nadajnik. Jest sprawny. Wieczorem, kiedy skończy się huragan, będziecie mogli pogadać nawet z Białym Domem.

Ashcroft ponownie potarł podbródek. Hala widoczna za oknem różowiła się wschodzącym słońcem.

–Dobrze, spryciarzu. Idę na to, jeśli nie łżesz.

Havoc odłożył słuchawkę.

–Neal – odezwał się po chwili Slayton opuszczając lornetkę. – Tam coś stoi pod drzewami.

* * *

Twarzy Layne’a nie było widać. Duże ciemne okulary, czapka z długim daszkiem i warstwy bandaży wchodzące za kołnierz firmowego kombinezonu CSA sprawiały, że wyglądał jak Niewidzialny Człowiek z filmu na motywach Wellsa. Od samego wyjścia z Centrum, kiedy dostał prostopadłościenny pojemnik chroniący od kurzu i wilgoci „kość” komputera, Stazzi z niepokojem obserwował jego ruchy.

Teraz wraz z dziesiątką żołnierzy stali przed parkową aleją, którądy biegła najkrótsza

droga na wybrzeże. Havoc nie powiedział jednak wszystkiego. Centralny parking zastawiony był samochodami, z których całe rodziny wynosiły sterty najrozmaitszych przedmiotów, koców, śpiworów, zabawek i Bóg wie jeszcze czego. Tłum krążył pomiędzy ustawionymi wokół hal namiotami, gdzie siedzące przy stołach kobiety sortowały pakunki. Dziewczyny z opaskami na ramionach kierowały ludzi w stronę tablicy „Pomoc ofiarom huraganu”. Stazzi przysunął się do Layne’a.

–Idziemy? Naokoło już nie zdążymy. Layne przytaknął. Dmuchaający od rana wiatr podrywał mu daszek czapki.

–Musimy – odparł niewyraźnie i trzymając uchwyt walizki ruszył przed siebie. Żołnierze idąc w dwóch szeregach bynajmniej nie starali się ukryć broni.

Wprost przeciwnie. Rozpychali nią tłum, który zadowolony i uśmiechnięty paradował jak podczas pikniku. Zza namiotów bez przerwy huczała muzyka. Żołnierze denerwowali się coraz bardziej.

–Panowie... – Kobieta, która stanęła między nimi, miała zalzawione oczy. – Mój mały gdzieś się zgubił, zaprowadźcie...

Zatoczyła się odepchnięta.

–Zjeżdżaj – wysyczał żołnierz zaciskając palce na kolbie. Momentalnie Layne znalazł się w pierścieniu eskorty.

–Przecież ja tylko... – głos kobiety rwał się.

–Wykonujemy rozkaz – powiedział Stazzi. – Proszę się zwrócić do służb porządkowych.

Ludzie odprowadzali ich zdumionym wzrokiem. Stazzi był pewien, że reputacja armii amerykańskiej została wyraźnie nadszarpięta. Nie miał jednak wyjścia, już samo wejście tutaj było szaleństwem. Każdy z tych ludzi mógł być człowiekiem Havoca.

Niebem gnały skołtunione warstwy chmur, skutecznie gasząc słoneczny blask. Otwarte drzwi i okna hal sportowych zamienionych na prowizoryczne magazyny postukiwały na wietrze. Layne wyglądał na zaniepokojonego, jego głowa obracała się to w jedną, to w drugą stronę.

Z przodu zatrąbiły klaksony, potem dołączyły się głośnie wyzwiska. Stazzi uniósł dłoń. Dwie ciężarówki, niebieski pick-up i stary ford skutecznie tarasowały wyjazd z parkingu. Na alei, w miejscu które powinni przejść, stał rozkrzyczany tłum. Stazzi przeniósł wzrok ponad drzewa, gdzie widać już było konstrukcję stojącą na nadmorskim pagórku wieży.

–Skręcamy – powiedział.

Chcąc przejść na tyły zabudowań wybrali drogę pomiędzy dwoma namiotami, gdzie przyjmowano koce. Kilka osób czekało w kolejce przed stolami. Niedaleko stała zaparkowana biała furgonetka. Wsunęli się w przerwę, unosząc nogi ponad linkami. Layne przytrzymał czapkę, której daszek furkotał w porywistym wietrze. Raptem spostrzegli, że płachta namiotu marszczy się i zwijając się konwulsyjnie wali na nich.

–Linki...! – ktoś krzyczał. – Smarkacze przecięli linki.

Masa zielonego materiału powaliła żołnierzy. Stazzi przeturlał się w bok i szarpiąc kogoś za kołnierz wy dostał się spod plandeki. Wokół fruwały koce i arkusze prześcieradeł. Zbiegowisko rosło. Stazzi uniósł broń na wysokość pasa.

–Layne! – krzyknął nie spuszczając ludzi z oczu. – Gdzie Layne?

Ktoś z gapiów zaśmiał się, lecz kiedy ujrzał wylot UZI Stazziego, umilkł. Nie zważając na

protesty kobiet żołnierze cięli linki i prując materiał stawali na równe nogi.

–Tam – wskazał któryś.

Przy furgonetce, opierając się o błotnik, stał Layne. Strzępiaste końce bandaża powiewały koło szyi. Stazzi znalazł się przy nim pierwszy.

–W porządku? Nic ci się nie stało? Layne pokręcił głową.

–O.K. – zachrypiał i czyniąc ręką uspokajający gest ruszył w stronę wieży. Stazzi spojrzal poprzez otaczający ich kordon. Naokoło rozbebeszonego

namiotu stali nieruchomo ludzie, jedynie dziewczyny z opaskami zbierały porozrzucane przedmioty. Kierowca furgonetki uruchomił silnik i odjechał parę metrów w bok, żeby nie przeszkadzać. Stazzi szybkim krokiem podążył za Layne'em.

Po kilkunastu minutach, trochę przed terminem, stanęli na szczycie piaszczystego pagórka ze sterzącą drewnianą wieżą. Niżej, na plaży wokół półciągarówek, krzątali się ludzie. Ich poczynania były pedantycznie celowe. Od stojących na redzie frachtowców z charakterystycznymi żurawiami na masztach przyływały kolejno barki desantowe. Z nich skrzynie były przenoszone na platformy, aby po chwili odjechać po ułożonej na piasku macie.

–Ciekawe, czy Havoc będzie punktualny... – mruknął Stazzi.

Wyglądzone nadżerki, miejsca po odlupanych wiórach i poprzestawiane deski świadczyły, że latarni już dawno nikt nie odnawiał. Kłoców fundamentu nie było widać, pokrył je piach i rzadka trawa.

–Panie Layne, co pan robi?! – okrzyk żołnierza zmusił Stazziego do opuszczenia wzroku.

Lufy automatów celowały teraz w obandażowaną sylwetkę. UZI podskoczył jak na sznurku. Zwój za zwojem sływały bandaż. Spadały tam, gdzie leżały okulary i czapka. Wiatr szarpał wstęgą owijając ją wokół słupa. Opadły przyklepione taśmą tampony, ktoś zaklął. Ten człowiek nie był Layne'em. Stazzi, patrząc na szyderczy uśmiech mężczyzny o orlim nosie, głęboko wciągnął powietrze.

* * *

Kiedy wielka płachta namiotu runęła w jego kierunku, Layne odruchowo skoczył do przodu obejmując jednocześnie walizkę obiema rękami. Lśniącobiałe drzwi stojącej obok furgonetki otworzyły się cicho, ukazując mężczyznę w firmowym kombinezonie CSA. Widok zabandażowanej głowy tamtego i walizki, którą trzymał,

sprawił, że Layne cofnął się i sprężył do skoku. Ktoś jednak był szybszy. Młody chłopak, siedzący dotąd na ławce z boku, błyskawicznym ruchem odsunął metalową klapę w ziemi, a ręce kogoś stojącego z tyłu pchnęły Layne'a prosto w otwór studzienki. Gęsty szlam złagodził co prawda upadek, ale nagła ciemność i charakterystyczny szcęk zamykanej klapy powiedziały mu, że nie warto szukać klamer. Dłuższą chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się, co ma robić, i dopiero cichy mlaskający odgłos kroków dobiegający gdzieś z tyłu zmusił go do działania.

Biegł zupełnie na oślep, sunąc wolną ręką po ścianie, ale wąski korytarz nie rozgałęział się i nie skręcał, jakby na złość pozbawiając go nadziei. Po kilku minutach zataczania się i ślizgania na mokrym podłożu zauważył w oddali nagle światelko. Przystanął, ale zaraz, zdając sobie sprawę, że wchodzi do pułapki, ruszył dalej. Jednak wbrew oczekiwaniom w dużym, prawie suchym teraz kolektorze czekał na niego tylko jeden człowiek. Siedział spokojnie na

składanym płóciennym krzeselku i patrzył wprost w syczący płomień sztormowej lampy.

–Havoc – głos Layne’a był w zasadzie szeptem. Siedzący powoli uniósł głowę.

–Czekałem na ciebie – powiedział równie cicho.

–Oszukałeś nas! Ale nie myśl, że przyniosłem ci „kość” komputera...

–Wiem, że nie jesteś aż tak głupi. No, co tam masz w tej walizce? Karabin maszynowy? Radio? Dynamit? – Poruszone drgającym płomieniem lampy cienie nadawały twarzy Havoca niesamowity wyraz. – Nie chcę waszego komputera. Jediną rzeczą jaką chciałem od was dostać, jesteś ty!

Layne zrobił krok do tyłu, lecz w dłoni Havoca błysnął automatyczny pistolet.

–Wiesz, od czasu, kiedy zrozumiałem, kim jestem – ciągnął – coś ostrzegało mnie przed groźącym niebezpieczeństwem.

–Dlatego chciałeś zabić Ashcrofta? – przerwał mu Layne.

–Ashcrofta? Gdybym chciał go zabić, wystarczyłoby, żebym splunął. Nie, Marty. Bomba w jego domu przeznaczona była dla ciebie i właśnie ciebie miała tam zatrzymać Kathreen Burns. Havoc wstał i trzymając pistolet w wyciągniętej dłoni podszedł do Layne’a.

–Tylko ty możesz mi zagrozić – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Ponieważ jesteś potomkiem Samandala. Jesteś ostatnim potomkiem „dobrej” linii naszego rodu. Zapadła ciszę przerywał tylko ostry syk lampy.

–Zrozumiałem to w chwili – podjął Havoc – kiedy zauważyłem, że jeśli jesteś w pobliżu, tracę zdolność poruszania przedmiotami. Potem dowiedziałem się reszty i wiem, że jestem silniejszy od ciebie.

–To dlaczego się mnie boisz?

Havoc zmrużył oczy.

–Martwią mnie twoje sny. Te koszmary, na które skarżysz się od czasu przyjazdu do miasta – głos Havoca stawał się coraz bardziej monotony. – Myślę, że to twoi przodkowie chcą przekazać ci metodę ujarzmienia zła reprezentowanego przez moją część rodziny. Chyba rozumiesz, że nie mogłem czekać i ryzykować, aż zwrócisz się do jakiegoś psychoanalityka czy hipnotyzera, który wydobędzie ten sposób z twojej podświadomości...

–Co chcesz zrobić?

Havoc skrzywił się lekko.

–Widzisz, Marty, ty jesteś sam, ostatni z całej linii, a nas jest wielu. Gdybym zginął, to za sto, za tysiąc lat znowu się odrodzę w kimś, kto będzie miał identyczne geny. Dlatego nie zależy mi na życiu. Chcę tylko, żebyś ty zginął pierwszy! Tylko wtedy będę pewien, że już nikt nie zdoła zniszczyć mojego rodu.

Ręka Havoca uniosła się nieznacznie. Lufa tkwiącego w niej pistoletu błysnęła, ale zaraz znikła w chybottliwym cieniu.

–Szkoda, że musisz odejść... W końcu znamy się nie od dziś ani nie od wczoraj

–uśmiechnął się.

Pierwsza kula trafiła Layne’a w brzuch. Dwie następne rozorały szary kombinezon przewracając jego właściciela na ziemię. Havoc zrobił krok naprzód i schylił się prawie przykładając lufę do głowy leżącego. Przyciskał spust raz za razem, aż rozległ się stłumiony trzask i sprężyna zwolniła pusty magazynek.

Przez dłuższy czas tylko drgające cienie burzyły idealny bezruch panujący w kolektorze. Potem ręka Layne'a drgnęła i powoli, jakby pokonując wielki opór, zaczęła sunąć do ukrytego w ręczce walizki włącznika. Havoc rzucił się na nią, przyciskając leżącą postać całym swoim ciężarem, ale nawet jego mięśnie nie mogły pokonać nacisku metalowych siłowników.

Podziemna eksplozja nie była słyszalna w odległym o kilka kilometrów Centrum Studiów Atomowych, tak że siedzący w niszy sterowniczej Layne zdjął z głowy hełm kierujący robotem dopiero kiedy urwał się sygnał radiowy. Odruchowo przyglądził włosy i trochę nieprzytomnym wzrokiem powiódł po otoczeniu. Kelly gasząc kolejnego papierosa zerknął na stojącego przy drzwiach Slaytona, potem na

Ashcrofta, ale nikt z nich nie zdecydował się na przerwanie ciszy. Jedynie Mark podniósł się ciężko z fotela, podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość, pozwalając, by łagodny już wiatr przyniósł do środka słony zapach morza.

* * *

–Tak, z całą pewnością – powiedział Malle. – Możecie zostawić wszystko na mojej głowie. Osobiście skontaktuję się z władzami i... i wszystko będzie dobrze.

Ashcroft zeskoczył z poręczy altanki i stanął tak, żeby nie oślepiało go zachodzące słońce.

–W takim razie nie będę ci teraz przeszkadzał.

–Daj spokój, Neal – Malle podniósł się również. – Co się dzieje z resztą twoich ludzi?

–Kelly i Slayton męczą Layne'a usiłując wyciągnąć od niego treść tych koszmarów. Stazzi konferuje z Wernerem, a Mark z firmą ubezpieczeniową.

Malle uśmiechnął się szeroko.

–Pomogę mu – powiedział. – A swoją drogą, to dziwne. Braliśmy udział w meczu, który zakończył się co prawda wynikiem trzy:jeden, ale wygrała drużyna, która strzeliła tylko tego jednego właśnie gola.

–Ale za to strzał był skuteczny.

Ashcroft kiwnął Malle'owi głową, opuścił ogród i ruszył wolno w dół wąskiej ulicy. Czuł się zmęczony i obolały, a na domiar złego żółty ciężki opar wydobywający się spod kratk ściekowych przywodził mu na myśl minione wydarzenia. Miał dość wszelkich zmaganiań, tylu niepotrzebnych ofiar i mrocznych zakamarków Sluag Side.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, ale nie mógł się zdecydować, gdzie jechać. Jego pokój w hotelu okupowali pracujący z Layne'em Kelly i Slayton. W gmachu policji nie miał chwilowo czego szukać, a jego dom nie istniał.

–Dokąd? – warknął kierowca.

Wzrok Ashcrofta znowu zatrzymał się na dymiących kratkach.

–Sluag Side – rzucił odruchowo.

–A gdzie to, do cholery, jest?!

Ashcroft spojrział w zaczerwienione oczy taksówkarza. Potem roześmiał się cicho.

–Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Spis treści

[Rozpocznij](#)